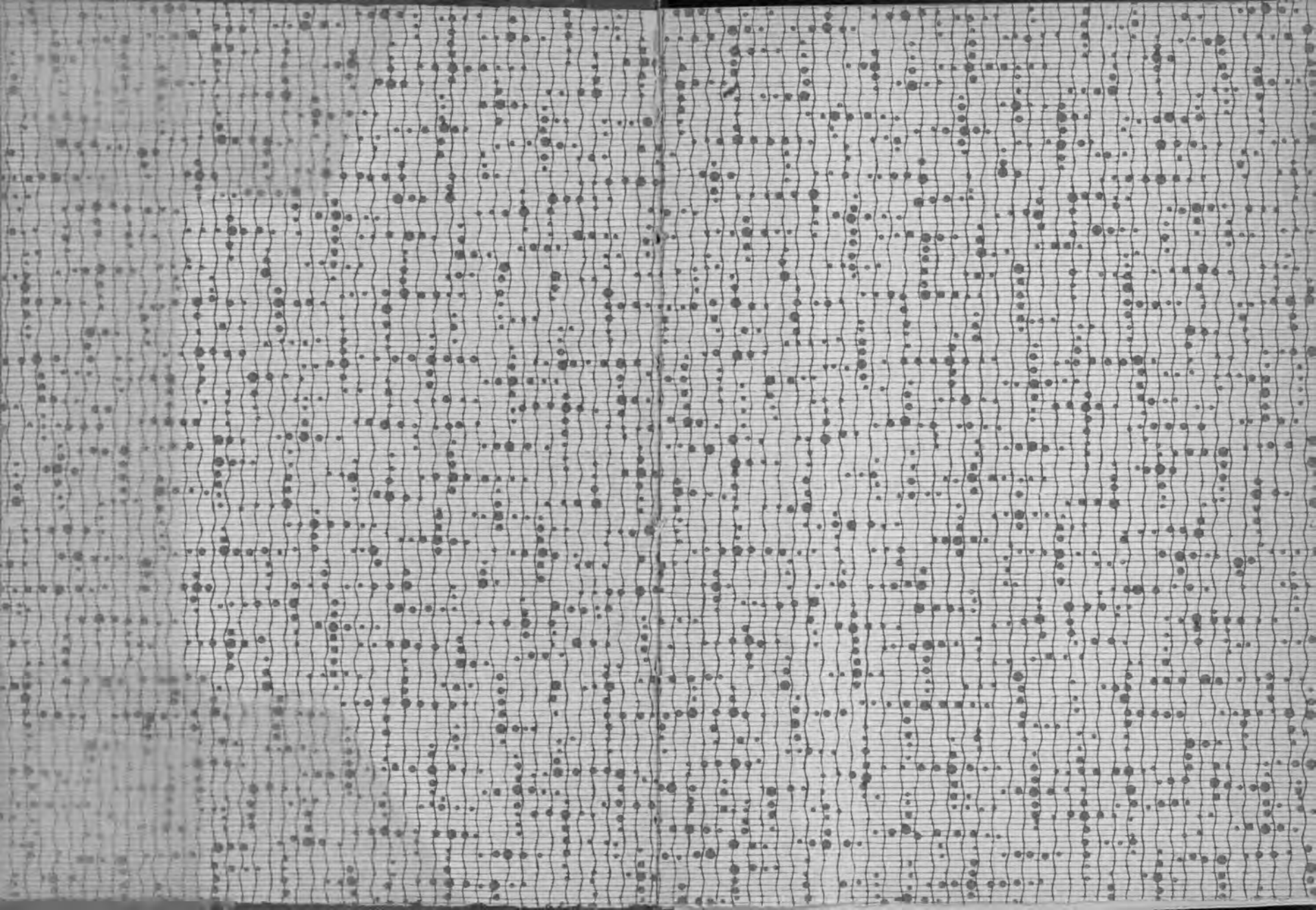


X16

MULTATVU
WYBOR PISM





MULTATULI
WYBÓR PISM

przełożyła i zaopatrzyła przedmową
Malwina Posner-Garfeinowa.

WYDANIE II.

Z. Mianowski



Księgozbiór
Z. MIANOWSKIEGO
Dział *L* No *783*.

WARSZAWA
Nakładem Księgarni Naukowej, Krucza 44.
1906.

"CZYTELNA"

Дозволено Цензурою
Варшава, 15 іюля 1905 г.

Multatuli, Jego Życie i Prace.

Druk K. Kowalewskiego, w Warszawie, Mazowiecka 8



82-1/9

1545

821.112.5-3



Słowo wstępne.



r. 1861 czasopismo „s'Gravenhaagsche Nieuwsboode” zamieściło następujące mniej więcej słowa:

„...Mamy oto współczesnego Herostrata. To — osobowość Multatuli'ego. Urąga pisarz ten wszystkiemu, co człowiekowi jest drogie. Głosi najzgubniejsze nauki moralne. Rzuca się na rzeczy, które naród przywykł kochać i czcić i deprecjuje. Zaprzecza istnieniu duszy, nieśmiertelności, zbawienia; uznaje jedynie swoje „ja” i temu bóstwu całopalne składa ofiary. Skoro więc w pysze i bezczelności swojej woła Multatuli do was: „Publiczności, pogardzam tobą szczerze i bardzo!” jaką, sądzicie, odpowiedź da naród Multatuli'emu? Wykreśli go ze swojej pamięci?”

A urągał pisarz ten kłamstwu, ono zaś było i jest najcenniejszym faryzeuszów klejnotem. Nazwali swój klejnot klejnotem ludzkim i oto urągał Multatuli wszystkiemu, „co człowiekowi jest drogie”. Głosił najzgubniejszą naukę moralną: ideę miłości i braterstwa, ta zaś od wieków gubiła swoich apostołów. Rzucił się na rzeczy, które naród przywykł kochać i czcić, deptał je. Bankierzy zaś kochali pieniądze i zyski; pośrednicy w handlu kawą czcili firmy, dające zarobek; statystyce kochali cyfry, mówiące o ogólnym dobrobycie. Był ład na świecie; ci, co czcili giełdę, odkładali rok w rok jakąś sumkę na stare lata, za cnotę żadnego nie żądając wynagrodzenia. Tym zaś, którym święte księgi kramarstwa nie objawiały zamkniętej w nich cudownej i tajemniczej mocy; tym, których dobrobyt widniał jedynie w wykazach statystycznych, tym, którzy stworzeni byli do uczciwej pracy, odjętoby przecież całą ich zasługę, gdyby odebrano im na stare lata troskę o byt. Odjętoby im zasługę wobec nieba, które taki właśnie ustanowiło ład... A oto jest człowiek, który powążył się oplwać pieniądź, giełdę i kram; człowiek, który obrzucił błotem złotodajny „fach”; człowiek, który wydał na pośmiewisko i pohańbienie tekst „fachowych” przekazów

na pozagrobową nagrodę. Zdeptał rzeczy, które „naród” przywykł kochać i czcić. Uznawał jedynie swoje „ja” i temu bóstwu składał całopalne ofiary. Nie miał nigdy najmniejszego kramiku, a ufny w siebie, nadużywał praw, przysługujących bogatym i potężnym: ośmielał się dobrze czynić. On, który miał wytarty surdut i zapytany nie potrafiłby odpowiedzieć, która jest godzina, ośmielał się książkę swoją zalecać tonem, na jaki nie pozwolił sobie nawet „pryncypał” wobec początkującego pośrednika. Kupuj, publiczności, kupuj! — wołał... Ty, która prorokom swoim żyć pozwalasz, aby się dłużej nad nimi móc znęcać. Kupuj! Za małe pieniądze kupisz sobie dużo wzruszenia. Mam moc głaskania i łaśkotania was do tego stopnia, że gotowicie oszaleć i zapomnieć o cenie waszej kawy. Kupujcie, Niderlandczycy, chrześcijanie, starego i nowego obyczaju chrześcijanie, kupujcie! Wy kupujcie, którzy za kradzione pieniądze budujecie koleje żelazne i okradzionym dajecie zapłatę w opjum, ewangielji i piółonówce. Kupujcie i płacicie wszyscy! Cierpiałem dość, by wydobyć ton, którego tak chętnie słuchacie... A gdy zadowoli was wysokość tonu, któryście wy sami z piersi mi wygniotli, rzeknijcie, jako rzekliście wczoraj i przedwczoraj i dawniej jeszcze: „Jak

ładnie pisze ten człowiek! Dam ci, przyjacielu, tyle za arkusz, tyle za piosenkę. Jeszcze coś zanuć! Jeszcze coś napisz! Jeszcze pogadaj!” „O, Publiczności, ze szczerego serca pogardzam tobą!” „Naród“ tedy miał według „s'Gravenhaag-sche Nieuwsboode“ wykreślić Multatuli'ego ze swej pamięci.

Naród jednak nic nie wiedział o Multatulim. Ta zaś nieliczna garstka, która nadużywa dla siebie imienia narodu, zbyt dotkliwie czuła jego razy, aby móc rzucić nazwisko jego na falę zapomnienia.

Zapomnienie jest aktem inteligencji i w danym razie wymagało pewnego przewyciężenia bólu. Były to zbyt ciężkie warunki dla ludzi przywykłych do wygod. Pamiętano tedy o Multatulim i dano mu do zrozumienia, że się o nim pamięta. Pamięć tę on sam najlepiej określił.

— „Tino, Tino!—pisze do żony—czy przypominasz sobie jeszcze, że niegdyś posiadaliśmy książki i dom? I że zwoływaliśmy tych, którzy domu nie mieli? Ciężko mi prawie opanować zażyć, gdy pomyślę, że tylu jest ludzi, którzy mieszkają...”

I opowiada epizod z życia Don Juana.

„Don Juan jest grubiutki, tłusciutki, jak się należy. Atoli Dimanche jest chudy.

— Rodzina moja cierpi głód, szlachetny Don Juanie! Wiecie, com dla was uczynił!

— Pięknie powiedziane, kochany Dimanche, się dździe proszę!...

— Dziękuję, szanowny Panie... chciałbym, ażebyście ten rachunek...

— Rachunek wasz jest zachwycający!... Czy wiecie, o uniwersalny Dimanche, że macie piękne pismo? Mianuje was moim sekretarzem... możecie natenczas za mnie pisać...

— Dziękuję, panie rycerzu, lecz rodzina moja cierpi nędzę... mieliżbyśmy z powodu was...

— Nędza?.. Cierpienie?.. Cierpieć nędzę?.. Cóż za wspaniałe zespolenie głęboko odczutyh dźwięków... Mianuję was moim nadwornym poetą! Mówcie dalej, o złotousty Dimanche!...

I Dimanche mówi dalej i splywa krew serdeczna w jego słowach.—„Konamy, Panie, powiada, a mam długi. Powiedzą, że nieuczciwym jestem ja, gdy tymczasem wy... wy... Zapłaćcie rachunek—czeka nas śmierć i powiedzą, że to ja...”

Boi się wymówić, co o nim powiedzą. Lecz Don Juan usłyszał „głęboki” ton—śmierć!

— „Śmierć?! Jakaż wzniosła myśl! woła. Ale źle zastosowana! Ja oto, Don Juan, darzę

was... nie wstyďte się... przyjmijcie... darzę was nieśmiertelnością!

Tymczasem mrzyj z głodu, nieś żonie i dzieciom nieśmiertelność miasto chleba do domu! Wyśmiewasz nasze „fachy” i „kursa giełdowe” i „dochody” — mrzyj więc! Patrz, jak żona i dzieci cierpią głód i ukórz się! Mielizbyśmy zapomnieć o tobie? Nie! Nie uśmiercimy cię! Cóż to jest parę godzin konania? Wołasz: „Biada ci Jerozolim!” — my pošemy ci odpowiedź przez usta woźnych sądowych. Będiesz patrzył, jak sprzedają sukienki twoich dzieci i może na ten widok cofniesz swoje „biada!” Z naszej ręki otrzymasz całą wieczność bólu i cierpienia! Aż wyżrą ci serce i ociekającymi krwią zgłoskami wypiszą na czole twoim znaki naszej pamięci...

Multatuli.



aki był stosunek „publiczności” do Edwarda Douwes Dekkera. Może nie tylko do niego... Urodził się *) w Amsterdamie 1820 r. Był synem kapitana okrętów handlowych. Chciano go poświęcić kupiectwu, do tych wszakże „święceń” miał z natury wstręt i, zakosztowawszy kupieckiego chleba, rzucił go od siebie precz. W r. 1838, a więc w 18 roku życia przeniósł się do Indji wschodnich jako urzędnik państwowy w kolonjach holenderskich. Rozpoczął służbę w styczniu 1839 r., przechodził wszystkie jej szczeble, z 1856 rokiem zamianowany został pomocnikiem rezydenta prowincji Lebak (inaczej Bantan-Kidul=południowy Bantan) i w tymże roku ze służby wystąpił. W 1860 r. ukazało się w Amsterdamie dzieło p. t. „Max Havelaar” czyli „Przetargi kawy niderlandzkiego to-

*) Daty biograficzne czerpię ze Spohra i Mischkego.

warzystwa handlowego“. Przemawiał po raz pierwszy autor, który zwał się Multatuli.

Gdy pojawiła się ta książka, deputowany van Haëvell odezwał się w te słowa w Izbie: „Dreszcz wstrząsnął krajem, dzieło to wywołało wielki niepokój, wielkie oburzenie“... Zaś współczesny Multatuli'emu Karol Vosmaër w 1874 r. pisał: „My, literaci, znaleźliśmy się między sobą wszyscy. Każdy z nas wiedział, czego się można po kim spodziewać. Aż tu nagle w maju 1860 r. spadła na nas książka jak błyskawica i jak grom wznieciła pożogę. Było to dzieło p. t. „Max Havelaar“. Skądże ów dreszcz, skąd niepokój i oburzenie? Z jakich chmur zapaliła się i spadła ta błyskawica?

Multatuli po raz pierwszy oskarżał. Fachowi przedstawiciele „cnoty“ zaniepokoiili się. W chmurach, zawieszonych nad dolą Jawańczyka zapaliła się błyskawica jego gniewu i pożoga szła od słów: „*Jawańczykowi dzieje się krzywda*“.

W czasie 17-letniej służby w kolonjach holenderskich Multatuli zdołał znakomicie zapoznać się z właściwościami ludności miejscowej, zarówno jak i z warunkami jej życia i z charakterem stosunku, w jakim pozostawała do przedstawicieli rządu holenderskiego. Trzydzieści milionów ludzi zamieszkiwało podówczas wyspy, które, wedle słów

Multatuli'ego, niby szmaragdowa wstęga opasywały równik. Przywiązał się do barwnej, bogatej przyrody kraju, pokochał mowę tuziemców, malajską mowę, którą dla niezwykłej jej melodyjności zwie włoskim językiem Wschodu, i spostrzegł, że w tym pięknym kraju żyje i tą piękną mową mówi lud nieszczęśliwy. Mógł ten lud żyć w dobrobycie — żył w nędzy; z natury cichy, potulny, oddany pracy i do swoich pól ryżowych przywiązany, coraz częściej porzucał te pola, uciekał do miast, lub na wybrzeżach Lampongu łączył się w powstańcze oddziały. Czuć było w kraju jakąś tłumioną, zaciętą rozpacz, która lada chwila spłynąć mogła w morzu krwi. Taki nastrój panował na Jawie.

Kolonje niderlandzkie miały wice-króla, t. zw. generalnego gubernatora, którego stolicą była Batawja i który dzierżył ster spraw kolonialnych. Ten wicekról w połączeniu z „Radą Indji“ i dyrektorami, to jest niejako ministrami, stanowili właściwy rząd kolonji. Kolonje były podzielone na rezydencje, z których każda swoją koleją rozpadała się na trzy, cztery lub pięć oddziałów, prowincji, okręgów. Nad rezydencjami ustanowieni byli rezydenci, nad poszczególnymi prowincjami — pomocnicy rezydentów. Według Peschla każda

provincia taka odpowiadała mniej więcej pod względem statystycznym przeciętnemu kantonowi szwajcarskiemu. Nadto każda dzielnica posiadała swojego *regienta*, który zawsze mianowany był z pośród potomków dawnych książąt kraju, powinien był stosować się do rozporządzeń pomocnika rezydenta, faktycznie jednak utrudniał tylko położenie niderlandzkiego urzędnika. Rządowi niderlandzkiemu zależało na wpływie, jaki taki regient z natury rzeczy miał nad ludnością tuziemczą. Pomocnik rezydenta winien zatem był żądać od regienta wykonywania poleceń rządu, a dbać zarazem o to, aby go nie rozgniewać, nie rozdrażnić. Instrukcja urzędowa określała stosunek pomocnika rezydenta do regienta słowami: „Urzędnik europejski winien zachować się wobec urzędnika tuziemca jak starszy brat wobec młodszego“.

Obejmując wysokie stanowisko pomocnika rezydenta okręgu Lebak, Multatuli wiedział, jak ciężkie czeka go zadanie. Ale natura jego czynna, energiczna, twórcza, lubiła trudności. Cieszył się, że otwiera mu się szerokie pole pracy i że na ziemi, którą kochał, posieje ziarno dobra. W mo- wie, którą powitał naczelników okręgu Lebak, a którą objeśliśmy naszym „Wyborem“, daje wyraz tym swoim uczuciom.

— „Serce moje — powiada — ucieszyło się, gdy gieneralny gubernator polecił mi być pomocnikiem rezydenta tego okręgu... Kazałem sobie dać pisma, w których jest mowa o waszej ziemi, i oto zobaczyłem, że dużo dobrego jest w Bantan-Kidul. Podwładni wasi mają pola ryżowe w dolinach i na górach są pola ryżowe. I pragniecie żyć w pokoju... Lecz nie dla tego rozradowało się serce moje, bowiem i w innych dzielnicach znalazłbym wiele dobrego. Oto dowiedziałem się, że lud wasz biedny jest i tym ucieszyła mi się dusza“.

Chciał być istotnie „starszym bratem“ regienta, ale chciał być też opiekuńczym duchem Lebackiego ludu. Lud rychło odczuł, że ma w nim przyjaciela. Ufano mu, zwierzano mu się z krzywd doznawanych. Cichaczem nocą schodzili się do niego ludzie z odległych siół i płynęły smutne, straszne skargi. Nakładano na nich coraz to większe podatki i kary, kradziono im z rozkazu regienta bawoły, pod groźbą batów ściągano ich do pracy w polach i ogrodach regienta, podczas gdy własna ziemia czekała uprawy. Regient na utrzymanie wielkiego dworu i nader licznej rodziny potrzebował pieniędzy. Potrzebował ich tak dużo, że radził sobie, jak umiał. Było rzeczą już przez po-

przednika Multatuli'ego stwierdzoną, że do kasy państwowej wpływała tylko część pobieranych od ludności podatków. Zwiększano je samowolnie na korzyść regienta i jego pomocników. Bawoły, stanowiące podstawę bytu ludności, znikaly w przerażający sposób. Działo się to z woli i polecenia regienta. Niepodobna go było jednak oskarżyć, doświadczenie bowiem pouczało, że regient wyprze się współwiny we wspomnianych czynach i że Jawańczyk wobec majestatu regienta zamilknie. Jeśli zaś poważył się skarżyć przed pomocnikiem rezydenta, a dowodów jasnych przeciwko regientowi nie posiadał, czekały go baty. Jeśli wreszcie pomocnik rezydenta wydawał się regientowi zbyt niewygodnym, usuwano go za pomocą trucizny. Tak uczyniono z poprzednikiem Multatuli'ego Slo-teringiem.

Multatuli spostrzegł niebawem, że mu związano ręce. Usiłował dobrocią, uprzejmością, wymóc na regencie, aby krzywdom ludu kres położył. Dawał mu do dyspozycji wysokie zaliczki w nadziei, że tym sposobem uchyli powód dokonywanego na ludzie rabunku. Ale rabunek nie ustawał, bezprawie trwało. Natenczas Multatuli postanowił oskarżyć regienta przed rezydentem. Tak uczynił. Rezydent przybył na miejsce, usiłował skłonić

Multatuli'ego, aby skargę cofnął, i przekonawszy się o daremności tego wysiłku, oświadczył, że zmuszony jest poddać skargę opinii generalnego gubernatora. Po miesiącu otrzymał pismo, zawiadamiające go, że „zachowanie jego wzbudziło w generalnym gubernatorze w wysokim stopniu niezadowolenie” i że jedynie wzgląd na dawne jego zasługi położone w służbie sprawia, iż ze służby w Indjach wschodnich nie zostaje usunięty. W tymże piśmie polecono mu objęcie urzędu pomocnika rezydenta w Ngawie.

Była to degradacja, skutek której Multatuli wniósł prośbę o całkowite zwolnienie go ze służby. Nie stracił jednakże jeszcze nadziei, że sprawa wyjaśni się, że generalny gubernator uzna, iż jako urzędnik niderlandzki pełnił jedynie swój obowiązek i że pełnił go „z rozwagą, humanitarnie, łagodnie i odważnie”. Wyjechał z żoną i dzieckiem do Batawji i starał się trzykrotnie o posłuchanie u gubernatora. Starania jego były daremne.

A Jawańczykom działa się krzywda. I gdy wszelkie drogi, zmierzające do usunięcia bezprawia, zdawały się zamknięte, Multatuli ogłosił „Maxa Havelaara”.

— „Tak—woła na końcu oskarżenia—tak, ja, Multatuli, ja, którym wiele dźwigał, biorę do ręki

pióro. Nie skomlę o pobłażliwość dla formy mojego dzieła... Chcę, aby książkę moją czytano. Chcę, aby ją czytali mężowie stanu, którzy winni baczyć na znaki czasu; literaci..., kupecy, pokojówki, generalni gubernatorowie, przeniesieni w stan spoczynku, ministrowie w czynnej służbie, lokaje tych ekscelencji... pobożni pastory... członkowie reprezentacji narodu... Powinni wiedzieć, co dzieje się w tym wielkim zamorskim państwie, które należy do państwa Niderlandów!... I będą czytali moją książkę!

Jest pstra, nierównomierna... gonię za „efektem“... nie znam stylu... jestem autorem niezręcznym... bez talentu... bez metody...

Dobrze, dobrze, doskonale! Ale: Jawańczykowi dzieje się krzywda! Zaprzeczenie tej prawdy mojej książki jest niemożliwe!“

Było niemożliwe. Generalny gubernator Indji, Duymaer van Twist, któremu bezpośrednio zawdzięczamy powstanie „Havelaara“, ustąpił, zaś następca jego, Sloet van de Beele, wyznał: „Multatuli powiedział prawdę!“ Nikt nie zaprzeczył jego słowom. On zaś czekał odpowiedzi na swoją książkę. I czekał daremnie. Ten i ów chwalił artyzm, świadczący o jego talencie pisarskim, lecz te pochwały rozgoryczały go. Uważał książkę

swoją za czyn i nie w słowach, lecz w czynie spodziewał się odpowiedzi... Po raz pierwszy zapłakała jego dusza nad strasznym głosem ludzkiego milezienia...

Tymczasem przeżył cztery męczeńskie lata. Po rezygnacji nie od razu powrócił do Europy. Wrócił w r. 1857 bez jakichkolwiek środków do życia. Bawił początkowo w Niemczech, potem w Brukseli, gdzie przez siedem miesięcy udzielał mu kredytu właściciel zajazdu. Dopiero powracający z Indji brat jego, Jan, spłacił zaciągnięty w ten sposób dług. W styczniu 1858 r. napisał ponownie list do Duymaera van Twista. List ten pozostał bez odpowiedzi. W r. 1859 przybyła do Europy żona jego z dziećmi. Położenie całej tej rodziny było beznadziejne. Byli bez grosza. Pani Dekker postanowiła tedy pojechać z dziećmi z Antwerpji do siostry do Haagi. Druga żona Multatuli'ego tak pisze o tej przeprawie: „Wsiadła z dziećmi na statek, który szedł z Antwerpji do Roterdamu, i gdy statek ruszył, oświadczyła poprostu konduktorowi, że zgubiła portmonetkę. Obiecała przytym, że uiści zapłatę za przejazd w Roterdamie. Tu wybawili ją z kłopotu ubodzy ludzie, u których mieszkał dawniej Multatuli i pożyczyci jej jeszcze 15 guldenów na podróż



do Haagi. Zamożna wszakże rodzina pani Dekker nie rozumiała, jak można dla „jakichś tam zasad” poświęcać karierę. Żądano od niej, aby zerwała z tak lekkomyślnym mężem, dano jej 20 guldenów i... polecono ją opiece boskiej...

Tej żonie swojej, Everdynie baronównie van Wynbergen, która dzieliła wszystkie jego troski i umęczenia, była mu najwierniejszą towarzyszką, przyjacielem, podporą i podzielała całą duszą wiarę jego życia i podtrzymywała w nim płomień twórczej pracy: tej żonie swojej sam Multatuli w słowach najwyższej czci i wdzięczności wznosił nieśmiertelny pomnik. Nazywa ją „Tiną” i pod tym imieniem weszła do literatury. W czasie, kiedy Multatuli pisał „Havelaara”, nędza jego była tak wielka, że atrament kupić sobie musiał za 10 pożyczonych centimów. „Jeśli nie zdołam oddać tych 10 centimów, będę złodziejem!” pisał do Tiny. „Trzeba siły, aby pisać takim pożyczonym atramentem“...

Zanim ogłosił książkę, żądał rehabilitacji swojej. Domagał się, aby powołano go napowrót do służby w kolonjach, lecz w ten sposób, aby jasnym było, iż czyn ten „wieńczy zasadę”. Postawił warunki—warunków tych nie przyjęto. Nie pozwo-

lono mu osobiście przyjść w pomoc Jawańczykom, postanowił przyjść im w pomoc książką.

Wydawca van Ruyter wydał ją w 1800 egzemplarzach. Pośrednikiem pomiędzy nim a Multatulim był znany podówczas pisarz van Lennep, którego, jak twierdził, książka zachwycała. Van Lennep wypłacił tedy Multatuli'emu, jako rodzaj zaliczki, 1200 guldenów. Tymczasem ustanowiono ogromnie wysoką cenę dzieła (4 guldeny) i rychło podano do wiadomości ogółu, że nakład jest wyczerpany.

Do Indji dostało się zaledwie kilka egzemplarzy, chociaż płacono tam za egzemplarz 100 guldenów. Okazało się, że van Lennep podszedł Multatuli'ego i że zajął się wydaniem książki, aby ją jak najprędzej z widowni usunąć. Dopiero po śmierci van Lennepa jego spadkobiercy sprzedali prawo własności „Havelaara” księgarzowi Schadd i wtedy to od r. 1870—1874 rozeszło się 20000 egzemplarzy.

Nędza, w jakiej żył Dekker, wszystkim była wiadoma. Po ukazaniu się „Havelaara” zawiązał się obywatelski komitet z zamiarem zebrania dla niego „zapomogi”. Dekker odrzucił ten akt litości. Szło mu o akt sprawiedliwości. Tej jednak nikt się dla niego nie domagał.

Nie miał, jak już rzekłem, żadnych materialnych środków, nie miał pieniędzy na najpierwsze potrzeby życia, jednak królewska jego dusza posiadała niezmierne bogactwa i sercu pozwoliła być bogactw tych szafarzem. W r. 1861 straszny wylew spustoszył część Jawy. Następstwem wylewu była nędza i mór. Multatuli napisał natenczas na dochód Jawańczyków utwór p. t. „Wskaż mi miejsce, gdzie posiałem“ i książka ta przyniosła głodnym 1300 guldenów. Tegoż jeszcze roku napisał sławne „Listy miłosne“ w celu wyratowania z nędzy rodziny, którą miłosierdziu jego polecił niejakiś Dr. Stankart. I istotnie 400 guldenów z pióra tego nędzarza-króla spłynęło w morze biedy.

Nie znam w literaturze dzieła, któreby można zestawić lub porównać z temi „Listami miłosnymi“. I żadne z pism Multatuli'ego nie odzwierciedla w równym stopniu jego duszy, nie daje tak całkowitego, a kilku rysami skreślonego duszy tej obrazu. Stała ona rozmodlona przed duchem piękna i dobra, przed duchem, który zsyła na poetę natchnienie, na upadającego—moc, na tęskniącego—złudę spełnienia.

Przyzywa ją—a sama zdaje się nie wiedzieć, kogo przyzywa. — „Jest-żeś ty przepychem czyli rozkoszą, cnotą czyli gienjuszem? Jest-żeś nie-

śmiertelnością? Spokojem? Przeszłością? Przyszłością? Jest-żeś aniołem, demonem, czyli też widmem? Widzisz-że ty słońce, Fancy? Byłaż-abyś sama słońcem, Fancy“? Jego słońcem, światem, który malowała mu wyobraźnia, do którego przenosił myśl w najcięższych chwilach życia, z którego czerpał wolę, siłę i wiarę w zwycięstwo swoich ideałów. Modlił się do słońca swoich marzeń o parę promieni dla umęczonego na ziemi człowieka, o światło dla myśli, leżącej w mrokach, o wolność dla serc, spętanych siłą pieniądza. Zdawało mu się, że razem z tą wymarzoną Fancy zejdzie na ziemię duch i że jego technienie rozwieje czarne potęgi. A kłamstwo szerzy się z przerażającą mocą, a obluda woła ku sobie głosem coraz to innego autorytetu, a Jawańczyk jęczy, a dusza skarży się i czeka wybawienia...

To są „Listy miłosne“.

Zgubiły one Multatuli'ego w „opinji publicznej“. Człowiek żonaty pisał listy miłosne i to nie do żony. I porywał się na wszystko, co było „święte“. I nie dawał nawet tego wrażenia, jakiego oczekuje się po „skandalu“. Pozwalał sobie w listach miłosnych mówić o bawoiach, skradzionych ludności jawańskiej. A nadewszystko odwa-

żył się zawołać: „Publiczności, pogardzam tobą szczerze i bardzo!”

Antychryst zaś, bez dachu nad głową, pozbawiony możności wyżywienia dzieci, na ołtarzach miłosierdzia składał daninę myśli. Suma, którą przyniosły „Listy miłosne” wybawiła istotnie ową poleconą mu przez D-ra Stankarta rodzinę.

Multatuli wszakże 31 stycznia 1862 r. podał do trzech pism następujące ogłoszenie:

„Podaję do wiadomości ludu niderlandzkiego, że leży przede mną list, w którym grożą mi przymusową sprzedażą mojego dobytku.

Cały mój dobytek, to sukienki moich dzieci. Innego dobytku nie posiadam.

Nie mnie, lecz was, Niderlandczycy, okrywa to wstydem!”

Postanowił w ten sposób zrzucić z siebie niejako brzemień coraz bardziej dokuczających mu długów. Zdawało się, że owa „Fancy”—jego gienjusz, dobry duch jego życia, rozbudziła w nim bezmiar sił twórczych, dała mu pełną świadomość misji, jaką miał do spełnienia.

— Niechaj nie powiedzą — pisał do nakładcy swego d'Ablainga — że nikt nie usiłował zdjąć z narodu ciężącej na nim kłątwy. Niech nie powiedzą, że nikt nie starał się leczyć żrącego naród

trądu: kłamstwa. Uczynię, co będę mógł. Proszę Pana tedy o wydanie dzieła, które właśnie obmyśliłem. Będę w nim szukał prawdy. Oto mój program, jedyny mój program... Będą to opowiadania, bajki, parabole, spostrzeżenia, wspomnienia, prorocstwa, paradoksy... Niech więc Pan da pracy mojej tytuł: „Myśli”... I jako godło niech pan położy słowa: „Wyszedł siewca, by posiać”...

Przeniósł się z Brukseli do Amsterdamu i tu na poddaszu domu d'Ablainga, na desce opartej o dwa kozły, przymierając głodem, tworzył „Myśli”. — „Nieszczęściem moim jest — mówił — że urodziłem się w kraju, który ma jedno prawo, jednego Boga, jedną wiarę: pieniądź.” Rozchwytywano „Myśli”, lecz pisma mileżały o nich. Zaczęło dzieło to wychodzić zeszytami i d'Ablaing nie mógł nastarczyć zamówieniom. Multatuli nie miał jednak szczęścia do wydawców. D'Ablaing zapłacił mu śmiesznie mało, po upływie zaś kilku lat żądał za odstąpienie swoich praw wydawniczych 5000 guldenów. Mimo więc niesłychanego powodzenia dzieła, Multatuli pozostał, jak był, nędzarzem.

Ukończył „Myśli” dopiero w 1877 r. Składają się one z siedmiu tomów, powiązanych jedynie idealnym łącznikiem—prawdą. Składową częścią „Myśli” jest dramat „Szkoła książąt” i powieść

dwutomowa „Przygody Walterka“. „Przygody“ te były właściwie luźno wplecione w cały szereg rozmyślań, odnoszących się do człowieka i ludzkości. W jednolitą całość złożyła je dopiero po śmierci Multatuli'ego, na żądanie wydawców, druga jego żona, pani Dowes - Dekker - Hamminek Scheppel.

Kiedy Multatuli tworzył „Przygody Walterka“, wypływały mu podobno w pamięci słowa Lamartine'a, o których spełnieniu marzył. Lamartine zaś mówił: „Epopieję serca ludzkiego niech napiszą poeci przyszłości. Poeta, który chciałby ją wyśpiewać ludziom naszych dni, nie potrzebuje pierwiastków nadprzyrodzonych i cudownych: ma świat i nieskończoność. Fabułą jego niechaj będzie prawda, lirą niechaj mu będzie własne jego serce. Poetę takiego czytać będą w pałacach i lepiankach, w polu i w warsztacie, wśród przepychu zarówno jak wśród nędzy. Poezja błądzi po ulicach, w obłokach zaś szuka ją jej poeci“...

I Multatuli napisał tę epopeję serca ludzkiego. Nie jest to serce zawieszane i dźwięczące w obłokach, lecz biedne, istotnie *ludzkie* serce, które idzie drogą męki i rani sobie skrzydła o skały głupoty, złej woli i niezrozumienia, ustrojonego w szaty wszechwiedzy. Jest to po prostu zwykła historia

walki dobrych pierwiastków w człowieku ze złością ludzką, albo — jak sam Multatuli powiada — historia tej olbrzymiej walki, jaką stacza prawdziwa święta poezja z ową prozą, z kłamstw utkaną, którą podaje nam świat pod nazwą prawdy.

W małomieszczańskiej karmionej obludą i z obludy żyjącej sferze wyrasta ten Walterek, dusza naiwna, nieświadomie za pięknem roz tęskniona, a więc u kolebki już znaczone cierpieniem. Pod wpływem pierwszych fantastycznych książek chce zwalczać olbrzymów i bandytów; pod wpływem życia widzi, że nie najgorszym wrogiem jest olbrzym. Uczy się tedy zwalczać karle pierwiastki, dusze małe, niskie, to całe plugastwo, które przeszkadza człowiekowi spełnić jego powołanie. I odzywa się zasadniczy ton duszy i dzieł Multatuli'ego.

„Powołaniem człowieka jest, aby był człowiekiem“.

Pięknemu światu, zamkniętemu w duszach Waltera i małej Femke, przeciwstawiony jest świat faryzeuszów, kramikarzy, sytych obludników; sióstr i braci owego Droogstoppla z „Havelaara“, Droogstoppla, co to „robił w kawie“ i wołał się nie spotykać z kimś, kto nie umiał powiedzieć, która jest godzina. Rysunek tego świata jest gienjalny. Ile zaś krwi serdecznej jest w tym obrazie, ocenić moż-

na, patrząc nań przez pryzmat wielkich a tak prawdziwych słów: „*Najsilniejszym wyrazem bólu jest sarkazm*“.

Istniała pogłoska, że „Przygody Walterka“ są niejako autobiografią Multatuli'ego. Pogłosce tej wszelako sam autor ze stanowczością zaprzeczał. „Myśli“ poślubiły mu duszę drugiej jego żony, pani Mimi Hamminck Scheppel. Była jedną z ich abonentek i w liście wyraziła autorowi zachwyt i uwielbienie, jakie już od długiego czasu wzbudzał w niej pisarską swoją działalnością. Rozumiała go, gdyż sama żyła w ciasnym, hamującym wszelki wzlot myśli, otoczeniu.

Jak już powiedziałam, położenie materialne Multatuli'ego nie poprawiło się mimo powodzenia „Myśli“. Przeciwnie było mu coraz gorzej.

W r. 1862 ogłosił „Rozmowę z Japończykami“ w czterech numerach „Dziennika handlowego“. Redaktor Broms miał ochotę publikować cały szereg dalszych „Rozmów“. Akcjonariusze wszakże pisma uważali, że utwór ten kompromituje pismo i uderzyli na redaktora gradem gróźb i oskarżeń. Wskutek tego Multatuli zmuszony był pracę przerwać. W r. 1866 przeniósł się do Niemiec i pozostał tu z wyjątkiem krótkich przerw do końca dni. Wędrował z miasta do miasta. Często mie-

wał buty tak podarte, że nie mógł wyjść na ulicę. Cierpiał głód, nieraz nie mógł opłacić należności za listy i posyłki. Aby podolać tym nieuniknionym wydatkom, zastawiał parasol. Zastawił go raz za 10 groszy, raz za talara. Żona i dzieci znajdowały się w równie ciężkim położeniu. W tym czasie w beznadziejności swojej próbował szczęścia w Homburgu. Grał i istotnie przez jakiś czas wygrywał. Potym jednak szczęście odwróciło się, i jedynym widomym rezultatem jego pobytu w Homburgu jest dzieło: „Studja o milionach“. Były to może czasy najstraszniejszej dla niego nędzy. Pisał do żony, że jest mu już „za ciężko“ i że, gdyby nie myśl o dzieciach, położyłby temu kres. Nie miał środków, aby połączyć się z żoną i dziećmi. Tina żyła w Amsterdamie z łaski restauratora i pisała mu: „Nogi uginają się pode mną, ilokrotnie przestępuję próg tej restauracji. Ale dziecko musi jeść!“ Co wycierpiała w tym czasie — mówi Multatuli — opisać niepodobna.

Wpadł wreszcie na myśl jeżdżenia po kraju z odczytami. Istotnie myśl okazała się dobrą. Odczyty przyniosły dużo. Tina i dzieci przyjechały do Haagi i zdawało się, że świta im wszystkim lepsze jutro. Tymczasem na skutek intryg, któremi dobrzy ludzie zdołali opleść stosunek Mul-

tatuli'ego do Mimi Scheppel, Tina potajemnie wyjechała do Włoch. Zachowanie się jednak Tiny wobec tych dwojga, którzy czcili ją i uwielbiali ponad moc wyrazu, a jednak we wzajemnej swojej miłości czuli niejako siłę przeznaczenia i niezdolni byli wyłamać się z pod tej mocy, zachowanie się Tiny jest jedynym w swoim rodzaju przykładem bohaterstwa duszy kobiecej. Dla Multatuli'ego wyjazd Tiny był ciosem tak strasznym, że nigdy go nie przeboleł. Mimi została przy nim. W r. 1870 przenieśli się do Wiesbadenu. Jest to najspokojniejszy okres życia Multatuli'ego. Trafił wreszcie na ucziwego nakładcę, który mu za „Studja o milionach“ płacił po 40 i po 50 guldenów za arkusz. Mógł zaspakajać potrzeby Tiny i dzieci. Dzieci wszakże nie przebaczyły mu cierpienia matki. Nie wróciły do niego nawet po jej śmierci. Żona Multatuli'ego umarła w 1884 r. i wtedy Multatuli połączył się ślubem z Mimi Scheppel.

W r. 1875 grany był z ogromnym powodzeniem najpierw w Rotterdamie, później w innych miastach Holandji dramat „Szkoła książąt“. W tym mniej więcej czasie pisał: „Od kilku miesięcy „Przeglądy“ angielskie i francuskie zajmują się moją osobą. W Holandji dumni są, że „literatura niderlandzka“ zwróciła na siebie uwagę zagranicy. So-

bie zagarniają pochwały, mnie zaś obrzucają oszczerstwami“.

W Wiesbadenie dokonał pracowitych dni. Zmarł 23 lutego 1887 r. Na kilka lat przed śmiercią kraj złożył mu tak zwany „akt czci“. Wyznaczono mu miesięczną pensję w sumie mniej więcej 70 guldenów i żonie jego Mimi ofiarowano 50 guldenów miesięcznie. Tak przedstawiła się w walucie pieniężnej ofiara i cześć „narodu“... Ostatnie lata jego życia upłynęły jednakże w porównaniu z poprzedniemi we względnym pokoju. Zawdzięczał go przedewszystkiem staraniom i miłości drugiej swojej żony jakoteż ofiarności przyjaciela, który mu umożliwił nabycie cichego wiejskiego domku. Zwłoki jego spalono w Gotha w obecności wdowy, kilku krewnych i dwóch z Middelburga przybyłych wielbicieli. Z Holandji nadesłano... kilka wieńców.

Po śmierci Multatuli'ego wdowa jego wydała 10 tomów listów, które, zdaniem Spohra, są najjaskrawszym dowodem, w jakim stopniu ideały, głoszone przez niego pismem, przenikały jego życie.

W r. 1875 ukazały się pierwsze przekłady pism Multatuli'ego. Ale oba przekłady zarówno niemiecki Stromera jak i francuski przekład „Have-

laara“, dokonany przez Nieuwenhuysa i Cristafulliego, były tak złe, pobieżne i niedbałe, że, wedle słów Multatuli'ego, „czyniły z jego książki nonsens“. Tak więc śmiało rzec można, że ogół niemiecki zapoznał się dopiero z Multatulim dzięki Wilhelmowi Spohrowi. Ten jego tłumacz i biograf od r. 1899 wydał 7 tomów dzieł holenderskiego autora, przyczym tłumaczy te dzieła z podziwu godnym pietyzmem, który nie dozwala żadnych dowolności, ułatwień lub opuszczeń. Zważyć zaś należy, że mowa Multatuli'ego, pełna niespodziewanych zwrotów, odcieni i skoków; mowa, w której brzmią wszystkie akcenty od najprostszych do najbardziej patetycznych, od najżartobliwszych do najgroźniejszych; mowa, która z tonów codziennych przechodzi nagle w nutę proroków: przedstawia dla tłumacza szalone trudności. Porównać je chyba można z trudnościami, jakie następuje tłumaczowi Nietzsche.

Artystą był Multatuli dzięki niepospolitej bezpośredniości, jaka dźwięczy w jego mowie, dzięki sile uczucia, potędze owego wewnętrznego głosu, który mu rozkazywał mówić i sam niejako żłobił sobie zewnętrzny bytu formę. Lecz ani z temperamentu, ani ze skłonności pisarz ten nie był „literatem“. — „Gniewa mnie — pisał — ilokrotnie

chwala literacką moją działalność. Gniewa mnie to, twierdzą bowiem, że mam inne i większe zasługi. Pracowałem, działałem, myślałem i cierpiałem. Pisanina — to rzecz podrzędna!“ Było mu życie misją, najwymowniejszym słowem tej misji wydawał mu się *czyn*. Chciał, musiał działać. A więc i wtedy jeszcze, gdy odebrano mu właściwe pole działania, gdy z konieczności chwycił za pióro, *działał* pisaniem słowem. Pracą życia i myśli usprawiedliwił nazwę często a niesłusznie dawaną utworom literatów: powoływał na świat, tworzył *dzieła*.

Nie układał formułek życia przy biurku, nie rozwiązywał na papierze misternych zagadek serca — żył. A więc cierpiał i patrzył, nie przyglądał się. Biegł z pomocą, niósł ulgę, pocieszał, dzielił się całym dobytkiem moralnym i materialnym, był jak ten siewca, który składa w ziemię ziarno, aby zebrali je głodni. A oto, nim wszedł ranek, pole jego stratowano, zniszczono. Więc oskarżał.

Oskarżał przedewszystkim obłudę, wdziwającą na siebie szatę urzędowej prawdy. Odslaniał istotne oblicze „zasad“, „dogmatów“, „cnót“, które stają się mową zaprzędanego na usługi społeczne obłudzie serca. Oskarżał owo „wielogłowe zwierzę, które karmi się najpiękniejszymi kwiatami

i owocami, a wydziela jad"—oskarżał opinię publiczną. Gdziekolwiek zwrócił się, widział szydzącą z jego apostołstwa co chwila inną twarz kłamstwa. Oskarżał tedy kłamstwo we wszystkich jego przejawach.

Starał się natomiast znaleźć prawdę życia. Z legiend, które snuła ludzkość w dzieciństwie, niezamąconym jeszcze przez strojną w cnoty i dogmaty „opinię“, wyczytał, że dusza człowieka jest prosta, dobra i żadna piękna, że ma potrzebę miłości, wiedzy, ruchu. Te jej przymioty i prawa, pokrzywione lub wykreślone przez długowiekową pracę urzędowych przykazań i zakazów, chciał jej przywrócić. Chciał, aby spadły z człowieka pęta zapleśniałych i hamujących rozrost duszy formuł, aby spełnił swoje powołanie, t. j. *był* człowiekiem, aby słuchać mógł jedynie głosu serca, głosu *miłości*.

Śnił mu się świat, w którym ona, miłość, wszechwładną będzie panią. Była mu kwiatem, wonią, barwą, duszą duszy ludzkiej. Marzyły mu się świty, wśród których złotostrunne harfy pod ręką człowieka odezwą się pieśnią szczęścia tu, na ziemi. Roily mu się widzenia, które zdawały się schodzić ku niemu zdaleka, częścią z ziemi galilejskiej, częścią może z nieśmiertelnych, zawieszono-

nych nad Helladą oddechów. Śnił mu się człowiek, świadomy całego przepychu życia i czujący wielką jedność nieskończonego Bytu i swoją w nim zarówno jak i sąsiada swego wartość; człowiek dający się unieść fali, która płynie a płynie, a jest falą twórczej miłości; mówiący do brata, który stoi nieruchomy na brzegu: „płyn ze mną, bratem moim jesteś!“ Śniła mu się ludzkość, żyjąca pełnią sił w pięknym na podstawach miłości odbudowanym świecie.

Z racji tych swoich wierzeń, którym apostołował nie tylko słowem, lecz życiem całym i życia cierpieniem, Multatuli, pisarz urodzony w 1820 r., jest pokolenia naszego bratnim duchem i żywym dotąd odgłosem naszych wołań.

* *
*

Staralam się objąć niniejszym „Wyborem” te wszystkie utwory Multatuli’ego, które najjaśniej charakteryzują jego indywidualność i dają bądź obraz jego działalności, bądź też obraz jego wewnętrznego życia, jego poglądu na świat, jego duszy.

MALWINA POSNER-GARFEINOWA.

Przemowa Havelaara do naczelników
provincji Lebak.



as, Radhen *Athipatti*, regienta ziemi Bantan-Kidul, i Was, Radhen *Demang*—was obu, którzy jesteście głowami dzielnic tego okręgu, pozdrawiam; pozdrawiam i Was, Radhen *Djaksa*, którzy sprawiedliwość dzierzycie, i Was, Radhen *Kliwou*, którzy nadzór macie nad stolicą, i Was, Radhen *Mautris* — wszystkich, którzy jesteście naczelnikami *Bantan-Kidul*, was wszystkich pozdrawiam.

I zaprawdę powiadam Wam, gdy widzę, jak zebraliście się, by słów moich słuchać, radość czuję w sercu.

Wiem, że są wśród was, którzy odznaczają się wiedzą i dzielnym duchem. Mam nadzieję, że pomnoży wasza wiedza moje wiadomości; te zaś nie są tak bogate, jakbym pragnął. Ja kocham dzielnego ducha, lecz nieraz spostrzegam w sobie błędy,

które przyciemniają dobre skłonności i hamują ich rozwój, jak to wiecie, że wielkie drzewo wypiera i zabija małe. Dla tego też spoglądać będę na tych z pośród was, których wyróżnia cnota, abym stał się lepszym, niżli jestem.

Was wszystkich bardzo pozdrawiam!

Serce moje ucieszyło się, gdy generalny gubernator polecił mi być pomocnikiem rezydenta tego okręgu. Wiecie, że na ziemi Bantan-Kidul nigdy nie byłem. Przeto kazałem sobie dać pisma, w których jest mowa o waszym okręgu i oto zobaczyłem, że *dużo dobrego* jest w Bantan-Kidul. Podwładni wasi mają pola ryżowe, w dolinach i górach są pola ryżowe. I pragniecie żyć w pokoju i nie pożąacie dla siebie dzielnic, przez innych ludzi zamieszkanych. Tak, wiem, że *dużo dobrego* jest w Bantan-Kidul.

Lecz nie dla tego rozradowało się moje serce, bo wiem, że i w innych dzielnicach znalazłbym był wiele dobrego.

Oto dowiedziałem się, że *lud wasz biedny jest* i tym ucieszyła mi się dusza.

Jakoże wiem, że Allah kocha biednych i że darzy bogactwem, kogo doświadczyć pragnie; aliści ubogim nasyla tych, którzy jego słowem mówią, aby podnieśli się z ubóstwa swego.

Nie daje-ż on dżdżu, gdy usycha kłos, nie składa-ż on rosy w kwietny kielich, wody spragniony?

I czyż nie pięknym jest posłannictwo, które każe pójść a szukać umęczonych, co to powstali po pracy i padli wzdłuż drogi, sił nie mając dowlec się do miejsca zapłaty? Jakżebym się nie cieszył, skoro podać mogę rękę temu, który wpadł w czełuść—i podsunąć kosztur temu, który wspina się na góry? Jakżeż nie miało mi radośnie zabić serce, skoro wybrano je z pośród wielu, by uczyniło ze skarg modlitwę i dziękczynienie z łez?

Tak, *bardzo rad jestem*, że powołano mnie do Bantan-Kidul...

Rzekłem do niewiasty, która dzieli troskę moją i szczęście moje pomnaża: „Ciesz się, bo oto widzę, że Allah zsyła błogosławieństwo na głowę naszego dziecka! Posłał mię na ziemię, kędy nie wszystka jeszcze uczyniona jest robota i osądził mnie godnym, abym tam był przed godziną żniw. Bowiem nie to jest radością, że zetniesz ryż, lecz radością, że zetniesz ryż, któryś zasadził. I nie z zapłaty rośnie dusza człowieka, lecz z pracy, która zasłużyła na zapłatę”. I rzekłem do niej: „Allah dał nam dziecię, które kiedyś niechaj powie: wiecież, że jęgo jestem *synem*? A żyć będą naten-

czas w kraju tym ludzie, którzy pozdrowią go z miłością i złożą ręce na jego głowie i ozwą się:

„Siądź przy naszym posiłku i zamieszkać w domu naszym i twoim niechaj będzie, co naszym jest, bowiem ojca twojego znaleźliśmy!”

Naczelnicy ziemi Lebak, *dużo jest roboty* w waszym okręgu!

Boć rzeknijcie, czyż nie jest ubogi rolnik? Czyż nie zdarza się tu często, że ryż wasz dojrzewa, aby nakarmić tych, którzy go nie sadzili? Czy na ziemi waszej niezbyt wiele jest niedostatków?

Czyż wstyd nie woła w duszach waszych, gdy odwiedza ziemię waszą mieszkaniec Bandung, co to leży na zachodzie i gdy pyta: gdzie są sioła i gdzie rolnicy, i dla czego milczy gamlang *), dla czego zwarte są spiżowe jego usta, które o radości mówią, dla czego nie słychać tupotu córek waszych na polach ryżowych?

Czy nie podnosi się w was gorycz, gdy schodzicie na południowe wybrzeże i widzicie góry, któ-

*) Instrument muzyczny, złożony z 15-25 rozmaitych instrumentów smyczkowych i dętych idealnie zestrojonych. Głos prowadzą odpowiednio przygotowane dzwonki mosiężne.

rych nie opływa woda, lub równiny, gdzie nigdy bawół nie ciągnął pługu?

Tak, tak, powiadam wam: tym oto smuci się dusza moja, i dla tego właśnie dziękujemy Allahowi, że *dał nam siły, byśmy tu pracowali*.

Bowiem na ziemi tej jest roli dość dla wielu, chociaż mieszkańców jest mało. I nie brak tu dżdżu, jakoż szczyty gór ściągają chmury z nieba ku ziemi. I nie wszędzie są wrogie nasieniu skały; bowiem w wielu okolicach ziemia jest miękka a płodna i pożąda siewu, który wrócić wam chce jako kłos wygięty. I niema w kraju wojny, któraby stratowała pola w czasie, gdy się jeszcze zieleńią, i niema choroby, któraby daremnym czyniła ruch rydla. A i promienie słońca nie są gorętsze, niż trzeba, aby to zboże dojrzało, które wy i dzieci wasze jeść musicie, i niema powodzi, któreby wołać wam kazały: „wskaż mi miejsce, gdzie posiałem!”

Gdzie Allah zsyła strumienie wody, które pozerają rolę; gdzie czyni ziemię twardą, jak kamień suchy; gdzie każe słońcu wydawać promienie, które palą; gdzie rzuca chorobę, odbierającą moc rękom, i suszę, co śmierć kłosom niesie, tam, o naczelnicy, pochylamy głowę i powiadamy: tak chce Allah!

Lecz nie tak jest w Bantan-Kidul!

Posłano mnie tu, bym był przyjacielem waszym, waszym starszym bratem. Czyż nie ostrzeżlibyście młodszego brata, gdybyście widzieli, że tygrys zachodzi mu drogę?

Naczelnicy ziemi Lebak! Niejednokrotnie błędziliśmy i kraj nasz jest biedny, ponieważ tyle popełniliśmy błędów.

Bowiem w Tjikandi, i w Bolang, i w dzielnicy Krawauńskiej, i w okolicach Batawji żyje *mnóstwo ludzi* na naszej ziemi urodzonych, a którzy *opuścili naszą ziemię*.

Dla czegoż szukają roboty zdala od miejsc, gdzie pochowali ojców swoich?

Dla czego uciekli z siół, gdzie dokonano nad niemi obrzezania? Dla czego wolą chłód drzew tam rosnących od cienia naszych gąszczy?

I nawet nieopodał, na północny wschód morza, nawet tam wielu jest, którzy naszymi są dziećmi, a którzy opuścili Lebak, by błędzić po obcych stronach ze sztyletem, szablą i karabinem. I nędznie tam giną.

Pytam Was, naczelnicy Lebak, dla czego tak wielu jest, którzy poszli i nie chcą być pogrzebani na ziemi, która ich wydała? Dla czego pyta drzewo: „gdzie jest człowiek, którego pamiętam, gdy dzieckiem będąc, bawił się u moich stóp?”

Naczelnicy Lebak! Wszyscy pozostajemy w służbie króla Niderlandów. Lecz on, choć sprawiedliwy jest i chce, abyśmy czynili naszą powinność, daleko bawi. Tysiąc razy po trzydzieści tysięcy dusz, więcej nawet dusz, słucha jego rozkazów, lecz nie może on być wszędzie, gdzie wola jego panuje.

Wielki pan na Buitenzorg *) jest sprawiedliwy i chce, aby każdy czynił swą powinność. Ale i on, choć tak potężny i władający wszystką władzą miast i starszeństwem siół i potęgą armji i okrętami, które są na morzu, i on nie może wiedzieć, gdzie podnosi głowę nieprawość, bowiem daleką jest do niego.

A i rezydent w Serang, pan dzielnicy Bantam, którą zamieszkuje dwakroć sto tysięcy ludzi, chce, aby sprawiedliwość czyniono na jego ziemi i aby rzetelność panowała we włościach, jego powierzonych pieczy. Lecz nieprawości nie widać, bowiem złoczyńca ukrywa się przed jego obliczem, karę przewidując.

A i Athipatti, regient południowej części ziemi Bantam, chce, aby żył każdy, kto pragnie

*) Sanssouci — na południe od Batawji, rezydencja generalnego gubernatora.

dobra i aby nie było wstydu w dzielnicy, którą rządzi.

A i ja, który przysiągłem wczoraj Bogu wszechmogącemu, że sprawiedliwy będę i pobłażliwy, że prawdzie służyć będę bez trwogi i nienawiści, że będę „dobrym pomocnikiem rezydenta“ — i ja pragnę spełniać powinność!

Naczelnicy Lebak! Tego pragniemy wszyscy! Lecz gdyby znaleźli się wśród nas tacy, którzy zaniedbaliby swoich obowiązków za cenę zysku, którzy sprzedaliby prawo za pieniądze, którzy zabraliby biednemu bawołu i wzięliby owoce, własność głodnego? *Kto* ich ukarze?

Każdy z was, ktoby wiedział o takim bezprawiu, zapobiegłby mu; i nie zniósłby go regient, i ja wystąpiłbym przeciw krzywdzie; lecz gdyby o bezprawiu nikt z nas nie wiedział, ani wy, ani Athipatti, ani też ja?...

Naczelnicy Lebak, któż natenczas czynić będzie sprawiedliwość w Bantan-Kidul?

Posłuchajcie, a powiem wam, jak to podówczas ozwie się sprawiedliwość.

Przyjdzie czas, kiedy zapłaczą żony i dzieci nasze, śmiertelne gotując nam szaty; kiedy powie przechodzień: oto umarł człowiek. I ktokolwiek zjeździe z sióła, przyniesie wieść o śmierci człowie-

ka, który umarł, i będą pytać się ludzie, dający gościnę przybyszowi: kto to był ten człowiek, który umarł? Był dobry i sprawiedliwy. Przemawiał za prawdą i nie oddalał od drzwi swoich skargę niosącego. Wysłuchiwał cierpliwie każdego, kto wstał w jego progi i zwracał, cokolwiek było zabrane. Pomagał szukać bawołu, gdy uprowadzono go ze stajni, a pług czekał. Gdy porwano córkę z domu matki, szukał rabusia i córkę matce oddawał. Pracującym nie ociągał się z zapłatą i nie zabierał owoców tym, którzy drzewo sadzili. I nie okrywał się suknią, która miała służyć innym, i nie żywił się jadłem należącym do biedaka.

Natenczas powiedzą w siółach: Wielki jest Allah, Allah przywołał go do siebie, niech się dzieje jego wola, dobry człowiek umarł!

A innym razem zatrzyma się przechodzień przed domem i zapyta: Dla czego milczy gamlang i dla czego nie odzywa się śpiew dziewcząt? I znowu odpowiedzą mu: Umarł człowiek.

I gdy podróżny siądzie w jednym ze siół przy gościnnym stole i gdy siądą wokół niego synowie i córki domu i dzieci ludzi, zamieszkujących sióło, natenczas rzeknie:

Oto umarł człowiek, który przysiągł być sprawiedliwym, a zaprzedał prawo za pie-

niądze. Użyźniał rolę potem robotnika, którego od jego roli do pracy odrywał. Płacy nie uiszczal i żywił się żywnością ubogich. Wzbogacił się nędzą cudzą. Posiadał dużo złota i srebra i drogich kamieni bez liku, lecz rolnik, mieszkający z nim o miedzę, głodu dziecka swego zaspokoić nie mógł. Uśmiechał się jak człowiek szczęśliwy; aliści w ustach skargę niosącego, tego, co szukał prawa, był zgrzyt. Oblicze jego jasniało zadowoleniem—lecz wyschła była pierś karmiących matek.

Natenczas mieszkańcy siół powiedzą: Wielki jest Allah!... nie zlorzeczymy!

Naczelnicy Lebak! *Kiedyś wszyscy umrzemy!* Co powiedzą w siolach, nad którymi dźrzyliśmy władzę, i co powie przechodzień, gdy patrzeć będzie na pogrzeb?

I co odpowiemy, gdy po śmierci naszej odezwie się głos i przemówi do duszy naszej: Dla czego jest płacz w polach i dla czego ukrywają się młodzieńce? Kto zabrał zboże ze stodół i kto ze stajni bawoły, które zorać miały rolę? Coś uczynił z bratem, którego ci dałem, abys go strzegł? Dla czego smuci się biedak i przeklina płodność swej żony?...

...Naczelnicy ziemi Bantan-Kidul! Skończyłem. Możecie wrócić każdy do swojego domu. Wam wszystkim pozdrowienie!



Batavus Droogstoppel

i poglądy jego na poezję wogóle oraz na powieściopisarstwo w szczególności.

(Z OPOWIADANIA „MAX HAVELAAR”).



Jestem pośrednikiem w handlu kawą i miesz-
kam na Lauriergracht*) liczba 37. Właściwie
pisanie powieści lub tym podobnych rzeczy
nie jest moim fachem, to też dość długo trwało, zanim
zdecydowałem się zamówić kilka ryz papieru i roz-
począć dzieło, które właśnie, kochani czytelnicy,
wzięliście do ręki i które przeczytacie bez względu
na to, czy jesteście pośrednikami w handlu kawą,
czy też czymś innym. Nie tylko, że nie pisałem
nigdy czegoś na wzór powieści, ale co więcej nie

*) Amsterdam leży w kształcie półkola z południo-
wej strony zatoki. Kanały, *grachty*, przecinają miasto, zaś
wzdłuż grachtów bieżą ulice. W czasie gdy Multatuli
pisał „Havelaara”, Lauriergracht nie należała bynajmniej
do wytwornych dzielnic miasta.

lubię nawet tego czytać, jestem bowiem człowiekiem do interesów. Od lat zadaję sobie pytanie, po co to wszystko jest i dziwię się bezczelności, z jaką poeci i powieściopisarze wmawiają ludziom rzeczy, których nigdy nie było i które wogóle nigdy zdarzyć się nie mogą. Gdybym ja w moim fachu—robię w kawie i mieszkam na Lauriergracht licza 37—gdybym kiedykolwiek jakimkolwiek pryncypałowi—pryncypałem nazywa się, kto sprzedaje kawę—sporządził deklarację, któraby zawierała bodaj małą część kłamstw, jakie stanowią główny materiał poezji i powieści, wziąłby z miejsca firmę Büsselinck & Waterman. Są to też pośrednicy handlu kawą, lecz adres ich jest wam niepotrzebny. Dla tego też baczę, aby nie pisać powieści i nie dawać innych fałszywych informacji.

Przekonałem się też, że ludzie, wdający się w takie rzeczy, najczęściej źle na tym wychodzą. Mam czterdzieści trzy lata, od lat dwudziestu chodzę na giełdę, wolno mi więc odezwać się, gdy jest mowa o doświadczeniu. Ile to domów upadło w moich oczach! Gdy zaś usiłowałem rzecz zbać, wydawało mi się zawsze, że przyczyna tkwi w fałszywych pojęciach, jakie najczęściej wpaja się w ludzi od młodu.

Mówię: *Prawda i zdrowy rozsądek*—i przy tym obstawę. Dla pisma świętego czynię naturalnie wyjątek. Nonsens rozpoczął się już u van Alphen *), i to od pierwszego wiersza o tych „kochanych malusińskich”. Co u diabła skłonić mogło tego pana, aby był wielbicielem mojej siostry Trudy, która miała chore oczy? Albo dla czego miał kochać mego brata Gerritta **), który wiecznie dłubał w nosie? A jednak powiada: „że wyśpiewał te wierszyki, tak mu *miłość* kazała“.

Często, jako dziecko, myślałem sobie:—„Człowieku, słuchaj, chciałbym cię spotkać, a niechbyś mi tylko nie dał kostek do gry, o które cię poproszę, albo czekoladowych liter na moje imię — jest mi na imię Batavus — będę cię miał za kłamcę”. Lecz nigdy nie spotkałem van Alphen. Zdaje się, że nie żył już, kiedy opowiadał nam, że ojciec mój jest najlepszym moim przyjacielem—dla mnie raczej Polek Winsler, mieszkający w pobliżu, na Batavierstraat, był przyjacielem;—i że piesek mój

*) Hieronim van Alphen (1746—1803), holenderski mąż stanu, prawnik, teolog, historyk, znany szczególnie jako autor drobnych wierszyków dla dzieci, w których wyprowadza dzieci grzeczne i cnotliwe jak anioły.

**) Gerritt, Gert, Gerhart—jedno z najbardziej używanych w Holandji imion.

jest taki wdzięczny,—tymczasem nie trzymaliśmy wcale psów, ponieważ są takie nieczyste.

Wszystko błaga! I w ten sens idzie dalszy ciąg wychowania. Najmłodszą siostrzyczkę przyniosła handlarka jarzyn w wielkiej głowie kapusty. Wszyscy Holandczycy są waleczni i szlachetni. Rzymianie powinni byli chwalić Pana Boga za to, że Batawianie *) pozostawili ich przy życiu. Alba był potworem. Przypływ morza w roku, zdaje się, 1672 trwał nieco dłużej, niż zazwyczaj, w tym jedynie celu, aby chronić Niderlandy **). Wszystko—kłamstwo! Niderlandy są Niderlandami, ponieważ przodkowie nasi dbali o swoje interesy i wierzyli, jak się należy. Ot co jest!

A potem inne jeszcze kłamstwa. Dziewczyna jest aniołem. No, kto tę prawdę odkrył, nie miał nigdy sióstr. Miłość jest wniebowzięciem; i ucieka się z przedmiotem miłości na koniec świata. Świat nie ma końców, a miłość jest głupstwem.

*) Holendrzy utrzymują z dumą, że pochodzą od starożytnych Batawjan, którzy za czasów rzymskich, za Klaudjusza (70 l. po Chr.) powstali przeciwko Rzymianom. Zostali pobici, niemniej jednak szczyć się tym pochodzeniem. Dla tego przedstawiciel rasy nosi niezwykle imię Batavus.

***) Widocznie reminiscencja z odpowiednio redagowanych podręczników szkolnych.

Nikt nie powie, że źle żyję z moją żoną—jest córką firmy Last & C-o (kawa)—nikt złego słowa o naszym pożyciu małżeńskim powiedzieć nie może; co do mnie, jestem członkiem stowarzyszenia Artis *) ona zaś ma szal za 92 guldeny, lecz nigdy nie było między nami mowy o jakiejś tam miłości, której pilno jest dostać się na koniec świata. Po ślubie zrobiliśmy wycieczkę do Haagi—żona moja kupiła tam flanelę—do dziś dnia noszę jeszcze zrobione z niej koszulki—a poza tym nie pędziła nas miłość po świecie. Słowem, wszystko nonsens i błaga!

I czyż moje życie małżeńskie jest mniej szczęśliwe od pożycia ludzi, którzy z miłości wpadają w suchoty lub wrywają sobie włosy z głowy? Albo czy też sądzicie, że w domu moim panowałby większy ład, gdybym przed 17 laty powiedział był mojej żonie dzisiejszej wierszami, że chcę ją poślubić? Nonsens! Potrafiłbym to, jak każdy inny, gdyż robienie wierszy jest rzemiosłem, i to rzemiosłem z pewnością łatwiejszym od toczenia kości słoniowej. Czyżby w przeciwnym razie pierniki z wierszykami mogłyby być tak tanie? A proszę zapytać o cenę kompletu kul bilardowych!

*) Wielkie stowarzyszenie w Amsterdamie, do którego należy każdy, kto chce „za coś“ uchodzić.

Nie mam nic przeciwko wierszom, jako takim.

Jeśli kto ma ochotę ustawiać słowa w szeregi, i owszem; lecz niech nie mówi nieprawdy. „*Jest zimno na dworze — czwarta bije w komorze*“, — i owszem, jeśli tylko jest zimno i jeśli istotnie bije czwarta godzina. Lecz jeśli jest trzy kwadransy na trzecią, natenczas, nie ustawiając słów w szeregi, mogą śmiało powiedzieć: „*Jest zimno na dworze i jest trzy kwadransy na trzecią*“. Tymczasem wierszokleta związany jest pełną godziną, musi być godzina druga, piąta, szósta, albo też nie może być zimno na dworze. I błądzi. Falszuje albo pogodę, albo czas. Kłamie tu albo tam.

I to nie tylko wiersze prowadzą młodzież na drogę nieprawdy. Proszę pójść do teatru i posłuchać, jakimi tam się ludzi karmi kłamstwami. Bohatera sztuki wyciąga z wody człowiek, któremu grozi bankructwo. Poczym bohater oddaje wybacielowi połowę swego majątku. To nie może być prawdą. Kiedy niedawno na Prinzengracht wpadł mi w wodę kapelusz, dałem człowiekowi, który mi go przyniósł, parę centów i był zadowolony. Wiem dobrze, że mógłbym mu dać więcej trochę, gdyby mnie samego z wody wyratował, lecz w żadnym razie nie byłbym mu oddał połowy

majątku; boć jasnym chyba jest, że w ten sposób człowiek, który dwa razy wpadł do wody, skazany-by był na torbę żebracza. Najgorszą zaś stroną tego rodzaju sztuk jest, że przyzwyczajają publiczność do kłamstwa. Publiczności podobają się te kłamstwa i oklaskuje nieprawdę. Miałbym ochotę rzucić do wody, tak raz, dla przykładu, całą publiczność parterową, ciekawym jest bowiem, czy na serjo bije brawo. Ja, który prawdę kocham, podaję niniejszym do wiadomości wszystkich, że za ewentualne wyratowanie mojej osoby nie zapłaciłbym tak sówitej nagrody. Komu mniejsza nie wystarczy, niech mnie nie ratuje. Co najwyżej dałbym w niedzielę trochę więcej, w niedzielę bowiem noszę złoty łańcuszek do zegarka i lepszy surdut.

Tak, teatr bardzo psuje, więcej, niżli powieść. Takie to poglądy, takie nęcące blichtrzem, ujętym w ramy z barwnej tektury. Oczywiście dla dzieci i ludzi bez interesów. Przedstawienie kłamie w tym nawet wypadku, jeśli ukazuje ubóstwo. Dziewczyna, której ojciec zbankrutował, pracuje, aby wyżywić rodzinę. Dobrze! Siedzi tedy, szyje, robi pończochy, haftuje. No, ale proszę przeliczyć wiele ściągów czyni w czasie całej

akcji! Mówi, wzdycha, biegnie do okna, ale to wszystko nie jest pracą.

Rodzina, któraby z tej roboty miała wyżyć, mało potrzebuje, zaiste! Taka dziewczyna jest naturalnie bohaterką. Kilku uwodzicieli wyrzuciła za drzwi, wciąż woła: „O matko moja! o matko moja!”—przedstawia tedy cnotę. Ale cóż to za cnota, która na wykończenie jednej pary wełnianych pończoch potrzebuje roku? Czyż nie wpływa to na urobienie fałszywych wyobrażeń o cnocie i o „pracy” na chleb? Wszystko—nonsens i blaga!

Nagle wraca pierwszy jej wielbiciel. Dawniej kopjował listy: obecnie jest niebywale bogaty. I żeni się z nią. Znowu blaga. Kto ma pieniądze, nie żeni się z córką bankruta. A jeśli ktoś byłby zdania, że na scenie może się zdarzyć wyjątek, to jednak mój zarzut jest słuszny, bowiem w ten sposób paczy się w ludzie zmysł prawdy. Lud bierze wyjątek za regułę. I podkopuje się moralność społeczną, każąc ludowi oklaskiwać zdarzenia, które rozsądny pośrednik lub kupiec uważałby w życiu za śmieszne szaleństwo. Kiedy ja się żeniłem, było nas w kantorze mego teścia—Last et C-o, trzynastu i było co widzieć!

A ile takich kłamstw jest na scenie! W jaki sposób otwierają się dwuskrzydłe drzwi przed boha-

terem, który zmierza ku nim sztywnym, kome-djanckim krokiem, idąc ratować ojczyznę? I dalej: skąd osoba, mówiąca wierszem, wie, co jej odpowie druga osoba,—w jaki więc sposób może poddawać jej rym? Skądże wódz mówiący: „Księżniczko, już za późno, zamknięte są wrota!” wie, że księżniczka odpowie mu: „Więc śmiało, do boju bierze mnie ochota!” Gdyby, widząc, że wrota są zamknięte, odrzekła, że poczeka, aż je otworzą, albo że powróci innym razem, co stałoby się z rytmem i rymem? Czyż nie jest tedy nonsensem, że wódz zwraca się z pytaniem do księżniczki? A gdyby tak miała ochotę położyć się do łóżka, co wtedy? Nonsens!

A potem ta blaga o „nagrodzonej cnocie.” Boże mój! Od siedemnastu lat jestem pośrednikiem w handlu kawą — Lauriergracht, liczba 37 — mam więc chyba dość doświadczenia — i strasznie mnie to martwi, kiedy widzę, że się prawdę w tak okropny sposób przekręca. „Nagrodzona cnota”—tak, jakby cnota była przedmiotem handlu! Tego w świecie niema i dobrze jest, że tego niema, skądby się bowiem w przeciwnym razie brała zasługa? Po co więc te nikiemne kłamstwa?

Ot proszę np. wziąć takiego Łukasza. Jest to parobek sklepowy, który służył jeszcze u ojca fir-

my *Last & Co* — firma nazywała się wtedy *Last & Meyer*, lecz Meyerowie ustąpili — Łukasz był to człowiek cnotliwy. Nie zginęło ani jedno ziarnko kawy, chodził sumiennie do kościoła, nigdy nie pił; kiedy teść mój jechał do Driebergen *), Łukasz pilnował domu, kasy, wszystkiego. Kiedyś dano mu w banku o 17 guldenów za dużo—oddał je. Teraz jest stary, ma pedagrę, nie może już służyć. Więc nie ma. U nas bowiem jest wielki ruch i potrzeba nam młodych ludzi. Otóż w moich oczach Łukasz jest bardzo cnotliwy, a kto go wynagradza?

Czy przyjeżdża jakiś książe, któryby go obdarzył djamentami, czy przybywa jakaś czarodziejka, któraby mu chleb z masłem podawała. Jako żywo, nie! Jest biedny i będzie biedny i tak być powinno. Ja nie mogę mu pomóc—potrzebujemy młodych ludzi, ponieważ u nas jest wielki ruch, — ale dajmy na to, że *mógłbym* mu pomóc? Gdzie podziałaby się jego zasługa, gdyby teraz na stare lata wolny był od trosk? Wszyscy parobcy staliby się nagle cnotliwi, a to nie miałoby chyba

*) Przedmieście Utrechtu, miejsce letniego wypoczynku kupców-emerytów.

sensu, wtedy bowiem odpadłaby szczególna zapłata dla szczególnie cnotliwych. Ale na scenie wszystko przekręca—błaga!

Ja też jestem cnotliwy, ale czyż żądam za to nagrody? Gdy interesa dobrze idą—a idą dobrze—kiedy żona i dzieci są zdrowe, tak że nie mam do czynienia z lekarzami i apteką, — kiedy rok w rok odłożyć mogę jakąś sumkę na stare lata, gdy widzę, że Fryderyk podrasta, aby zastąpić mnie później w interesie, gdy jadę do Driebergen: jestem zadowolony. Ale to są naturalne następstwa pewnych przyczyn; i dzieje się tak dla tego, że dbam o interesa; za cnotę moją niczego nie żądam.

A że jestem cnotliwy, wynika jasno z zamiłowania, jakie okazuję dla prawdy;—ono i silna wiara stanowią zasadnicze rysy mego charakteru...

W równej zaś mierze z prawdą kocham mój fach—jestem pośrednikiem w handlu kawę, *Lauriergracht*, 37. Otóż, czytelnicy, mojej nieskazitelnej prawdomówności i temu zapamiętaniu, z jakim uprawiam mój fach, zawdzięczacie powstanie tych kartek. Na chwilkę muszę was pożegnać — idę na giełdę — zapraszam was tedy na drugi rozdział. A więc, do widzenia!

A oto, weźcie, schowajcie, fatyga mała, a może się przydać—już, już jest — *C-o* — to ja, odkąd ustąpili Meyerowie — zaś stary *Last* jest moim teściem.

Last & C-o
POŚREDNICY W HANDLU KAWĄ

Lauriergracht, 1. 37.

Batavus Droogstoppel

spotyka starego znajomego.

(Z OPOWIADANIA „MAX HAVELAAR”).



Przed niedawnym czasem przechodziłem wieczorem przez Kalverstraat i zatrzymałem się przed sklepem kupca, który zajęty był właśnie sortowaniem partji kawy „*Java — pospolita — przednia — żółta — gatunek Cheribon, okruchy i odpadki*” — co mnie bardzo interesuje, bo na wszystko zwracam uwagę.

Nagle wpadł mi w oko jakiś pan, stojący nieopodal księgarni. Wydało mi się, że go znam. Jemu zaś ja również musiałem się wydać znajomym, krzyżowały się bowiem wciąż nasze spojrzenia. Przyznaję, że uwagę moją do tego stopnia pochłaniały „*odpadki*“, że nie od razu spostrzegłem, jak jest ubrany. Niestety później dopiero zobaczyłem, że ma na sobie nędzne ubranie — gdybym to był w czas zmiarkował, aniby z nim przystanął.

W owej wszakże chwili strzeliła mi przez głowę myśl, że to może „reisender” jakiejś niemieckiej firmy, która szuka solidnego pośrednika. Miał w sobie coś z Niemca i coś z „reisendera”: blondyn, o niebieskich oczach, ruchy, strój cudzoziemca. Zamiast porządnego zimowego okrycia, nosił jakiś szal, jak gdyby wracał z podróży. Sądziłem, że mam przed sobą klienta i podałem mu kartę wizytową: *Last & C-o, pośrednictwo w handlu kawą, Lauriergracht, l. 37*. Przystanął pod latarnią i rzekł: „Dziękuję Panu; pomyliłem się. Wziąłem pana za szkolnego kolegę, tymczasem... *Last*—to nazwisko obce...

„Pardon”— odrzekłem, gdyż zawsze bywam uprzejmy — „jestem Mijnheer Droogstoppel *), Batavus Droogstoppel... *Last & C-o*, to nazwisko firmy, pośrednictwo w handlu kawą, Lauriergracht...”

— A więc, ślicznie, Droogstoppel, nie poznajesz mnie? Przyjrzyj mi się dobrze!

Zacząłem mu się przyglądać i coraz bardziej wzrastała we mnie pewność, że go już nieraz wi-

* Odpowiada francuskiemu „Monsieur” — stosuje się wszakże do ludzi „z pozycją.” Droogstoppel chce w ten strofujący sposób dać do zrozumienia, że należało do niego przemawiać „Mijnheer”...

działem; ale, rzecz dziwna, twarz jego takie na mnie czyniła wrażenie, jak gdybym wąchał jakieś egzotyczne pachnidła. Nie śmieję się, czytelniku, wytłumaczę ci, skąd pochodziło to wrażenie. Jestem pewny, że nie miał przy sobie ani kropelki perfum, a jednak czułem jakąś woń przyjemną, mocną, coś, co mi przypominało... ot co!...

— To wy ocaliliście mnie od tego greka! zawołałem.

— Oczywiście — odparł — a wam jakże się wiedzie?

Opowiadam mu, że jest nas trzynastu w kantorze i że mamy dużo roboty. Potym zaś zapytałem, jak mu się wiedzie, czego później żałowałem, bo wydało mi się, że jest w nieszczególnych warunkach, ja zaś nie lubię biednych ludzi. Zawsze jest tam dużo własnej winy, Bóg nie opuszcza wiernych. Gdybym był rzekł poprostu: „jest nas trzynastu”, albo „dobry wieczór”, miałbym spokój, ale te pytania i odpowiedzi sprawiły, że coraz ciężej było mi się zwolnić od niego. Z drugiej strony przyznać muszę, że gdybym go był wyminął, nie czytali byście tych kartek, są bowiem następstwem mojego z nim spotkania!... Należy zawsze mieć oko dla dobrych stron rzeczy; dobrych stron

nie widzą jedynie ludzie niezadowoleni, których nie znoszę.

Tak, to on wybawił mnie z rąk greka!

Tylko nie pomyślcie, że mnie jakiś korsarz grecki kiedyś porwał, albo że walczyłem w Grecji. Powiedziałem wam już, że po ślubie zrobiliśmy z żoną wycieczkę do Haagi, gdzie zwiedziliśmy Maurits Huis *) i gdzie na Veenerstraat kupiliśmy flanelę. Jest to jedyna wycieczka, na którą mogłem sobie pozwolić, u nas jest bowiem dużo roboty. Nie, to w samym Amsterdamie w mojej obronie rozbił sobie nos w bitce z grekiem, zawsze bowiem mieszał się do rzeczy, które go nie nie obchodziły.

Było to w r. 1843-im albo 4-ym, we wrześniu, zdaje się, w czasie, kiedy odbywał się kiermasz w Amsterdamie. Ponieważ starzy chcieli mnie koniecznie poświęcić stanowi duchownemu, uczyłem się łaciny.

Później dziwiłem się nieraz, dla czego właściwie trzeba umieć po łacinie, aby powiedzieć po holendersku „Bóg jest dobry”. Dość, że byłem w łacińskiej szkole, obecnie nazywają to „gimna-

*) Galerja obrazów, założona około r. 1600 przez księcia Maurycego z domu Nassausko-Orańskiego.

zjum“, i oto odbywał się kiermasz, w Amsterdamie oczywiście. Na Westermarkt było dużo bud; jeśli zaś jesteś amsterdameczykiem, czytelniku, przypomnij sobie, że między temi budami była jedna, którą odznaczały czarne oczy i długie warkocze młodej, w kostjum grecki przybranej dziewczyny; ojciec jej był również grekiem, a przynajmniej ubrany był jak grek. Sprzedawali najrozmaitsze kadzidla.

Byłem w wieku, w którym musiała mi się podobać ta dziewczyna, lecz nie miałem odwagi, by do niej przemówić. Niewieleby mi z tego zresztą przyszło, bowiem osiemnastoletnie dziewczęta za nic mają szesnastoletnich chłopców i nie bez racji.

Mimo to, cała czwarta klasa — a więc i ja — przychodziliśmy na Westermarkt, aby widzieć ową dziewczynę.

I oto był raz z nami ten z szalem, którego właśnie w tej chwili miałem przed sobą. Młodszy był o parę lat od nas i dla tego zanadto dziecinny, aby go mógł zajmować widok greczynki. Lecz był pierwszym w naszej klasie — przyznaję — był mądrym — przyznaję — i lubił bardzo bić, bawić i mocować się, dla tego poszedł z nami. I oto, stojąc tak w dziesięciu może nieopodal budy i spoglą-

dając z ukosa na greczynkę, naradzamy się, w jakoby tu sposób zaznajomić się z nią. Postanawiamy złożyć pieniądze i kupić coś u niej. Ale oto nasuwa się nowa kwestja: komu przypadnie zaszczyt przemówienia do niej. Każdy miał ochotę, a żeden jakoś nie śmiał. Urządzamy losowanie: los mnie wybiera. Otóż wyznam, że niechętnie narażam się na niebezpieczeństwa; jestem ojcem rodziny i każdego, kto szuka niebezpieczeństwa, uważam za durnia; to samo zresztą powiada pismo święte. I istotnie, miło mi oświadczyć, że nie zmieniłem się co do poglądów moich na niebezpieczeństwa i tym podobne rzeczy. Dziś myślę o nich tak samo, jak owego wieczora, kiedy z kilkunastu centami w ręce znalazłem się nagle przed budą greka. Powodując się fałszywym wstydem, nie śmiałem powiedzieć, że boję się— a zresztą koledzy napędzali mnie: nie było rady. Dziewczyny na razie nie spostrzegłem, wogóle w pierwszej chwili nie widziałem. Zaćmiło mi się w oczach — wyjąkałem jakiś aoristus primus nie pamiętam już jakiego czasownika.

Plait-il? zapytała. Zbierając odwagę, rzekłem dalej:

„Menin aeide thea“ i „Egipt był darem Nilu“... Jestem przekonany, że byłoby wszystko dobrze

poszło, gdyby tejże chwili jeden z kolegów z dziecinnej złośliwości nie był mnie pchnął w plecy tak mocno, że całym ciężarem uderzyłem o ladę, stojącą na froncie budy. Ktoś chwycił mnie za kołnier... potym niżej... chwilę zawisłem w powietrzu.. i zanim jeszcze zrozumiałem, co się stało, znalazłem się w budzie greka, który bardzo jasną francuszczyzną tłumaczył mi, że jestem „un gamin, urwisem, i że wezwie policję“. I oto wiadoma dziewczyna była wprawdzie bardzo blisko, ale podobać mi się to nie mogło. Zacząłem ryczeć, błagać o przebaczenie, bo strasznie się bałem. Nic mi to nie pomogło; grek trzymał i trząsał mnie; rozglądam się za kolegami... rano bowiem uczyliśmy się o Mucjuszu Scewoli, który włożył rękę w ogień... i zachwycali się tym bohaterstwem, ujętym w łacińskie zdania,—tak zachwycali się!.. Ale żaden nie został, ażeby dla mnie rękę w płomień włożył...

Tak sobie myślałem. Aż tu nagle ten z szalem wpada do budy tylnym wejściem; nie był ani duży, ani mocny, miał może około trzynastu lat, lecz prędko był i odważny. Jeszcze dziś widzę, jak mu oczy błysły—zazwyczaj miał blade oczy—uderzył greka pięścią i byłem ocalony. Opowiadano mi później, że go grek porządnie zbił; lecz ponieważ z zasady nie mieszam się do rzeczy, któ-

re mnie nic nie obchodzą, uciekłem co prędzej i nic już nie widziałem.

Dla tego na widok jego twarzy przypomniały mi się pachnidła. I w taki to sposób można mieć utarczkę z grekiem—w Amsterdamie.

Ilokrotnie zaś w późniejszych latach ten sam grek rozkładał budę na Westmarkcie, po rozrywkę szedłem zawsze gdzieindziej.

Będąc przyjacielem rozmyślań filozoficznych, zwrócę tu uwagę twoją, czytelniku, na miłosny węzeł, który spaja najrozmaitsze w świecie rzeczy. Gdyby oczy owej dziewczyny były mniej czarne, a warkocze jej—krótsze, albo gdyby kolega nie był mnie pchnął o ladę—nie czytałbyś tych kartek. Dziękuj zatem Bogu, że tak się stało. Wierz mi, dobrze jest, jak jest, tych zaś niezadowolonych, co się wciąż żalą, nie lubię...

Prawdę mówiąc—a dbam o prawdę — spotkanie z tym człowiekiem nie było mi przyjemne. Natychmiast zmiarkowałem, że nie jest to solidna znajomość. Był bardzo błądy i nie umiał mi powiedzieć, która jest godzina. Są to rzeczy, na które zwraca się uwagę, skoro się przez lat 20 blisko chodzi na giełdę i skoro się tyle widziało!.. Co to już domów zbankrutowało w moich oczach!

Sądziłem, że skręci na prawo, wypadło mi tedy skrócić koniecznynie na lewo; ale oto i on idzie na lewo i rozmowa stała się nieuniknioną. Lecz wciąż przywodziłem sobie na pamięć, że nie wie, która jest godzina; nadto zauważyłem, że surdut ma zapięty pod samą szyję, co jest również złym znakiem; starałem się więc być chłodnym w rozmowie. Opowiadał mi, że był w Indjach, że ma żonę i dzieci. Nic nie miałem przeciwko temu, ale nie uważałem też, żeby to było czymś nadzwyczajnym. Przy rogu Kapelsteegu — nigdy zresztą uliczką tą nie chodzę, sądzę bowiem, że przyzwolity człowiek takimi uliczkami chodzić nie powinien — chciałem skręcić na prawo. Poczekałem chwili, kiedy prawie minęliśmy tę uliczkę, aby wyraźnie dać mu do zrozumienia, że jego droga prowadzi prosto, poczym rzekłem uprzejmie — zawsze bywam uprzejmy, czy to człowiek przewidzi, kto mu kiedyś może być potrzebny:

„Było mi bardzo miło zobaczyć was, Mijnheer... no... ale... tedy idę... Żegnaj Pana!“

Dziwnie na mnie spojrział, westchnął i nagle pochwycił guzik mego okrycia...

„Kochany Droogstoppel, powiedział, muszę was o coś poprosić!“

Aż mnie dreszcz przeszedł. Nie wiedział, która jest godzina, a chciał mnie o coś prosić! Odpowiedziałem mu oczywiście, że nie mam czasu, że śpieszę się na giełdę, chociaż był wieczór; no, ale jeśli człowiek tak przez dwadzieścia lat chodzi na giełdę... i nagle chce go o coś prosić ktoś, kto nie wie, która jest godzina...

Uwolniłem guzik od jego palców, skłoniłem się bardzo uprzejmie—zawsze bywam uprzejmy—i skręciłem na Kapelsteeg, czego zresztą nigdy nie czynię, ponieważ to z przyzwoitością nie licuje. A przyzwoitość cenię nade wszystko. Mam nadzieję, że nikt chyba tego nie widział...

Kiedy nazajutrz wróciłem do domu z giełdy, powiada mi Fryderyk, że ktoś był i chciał się ze mną widzieć. Według opisu zrozumiałem, że to ten z szalem. Jakże do mnie trafił? Prawda, to ta karta z adresem! Na chwilę strzeliła mi myśl, że odbiorę chyba dzieci ze szkół; bowiem nie należy bynajmniej do przyjemności, skoro po dwudziestu, trzydziestu latach goni za człowiekiem „kolega”, który nosi szal zamiast okrycia i nie wie, która jest godzina? Zabroniłem też Fryderykowi chodzić na Westermarkt w czasie jarmarku.

Nazajutrz otrzymałem list z wielką paczką. Przeczytajcie ten list:

„Kochany Droogstoppel!”

Uważam, że mógł powiedzieć „Wielmożny Panie Droogstoppel”, jestem bowiem pośrednikiem.

„Byłem wczoraj u Was z zamiarem poproszenia Was o przysługę. Zdaje mi się, że jesteście zamożni“...

To prawda! Jest nas trzynastu w kantorze— „i chciałbym skorzystać z Waszego kredytu, aby doprowadzić do skutku rzecz niezmiernej dla mnie wagi”.

Czy to nie brzmi tak, jak gdyby szło o zlecenie na wiosenny targ kawy?

„Wskutek najrozmaitszych przygód nie mam jakoś w obecnej chwili pieniędzy...”

Jakoś! Koszuli nie ma na sobie. To się nazywa u niego „jakoś”!

„i nie mogę kochanej mojej żonie dać tego wszystkiego, co składa się na uprzyjemnienie życia, a i wychowaniem dzieci moich wskutek braków materialnych nie mogę tak pokierować, jakbym chciał.“

Uprzyjemnienie życia? Wychowanie dzieci? Cóż on sobie myśli? Może weźmie dla żony łożę w operze, a dzieci może chce wysłać na studja do Gienewy? Było to jesienią i zimną jesienią — mieszkał na facjatce w nieopalonej izbie. Kiedy

otrzymałem list, jeszcze o tym wiedziałem, później wszakże byłem u niego i jeszcze dziś irytuje mnie ten szalony ton jego bazgrot. Kto jest biedny, niech powie, u diabła, że jest biedny; biedacy muszą istnieć, są niezbedni w społeczeństwie ludzkim. Byleby nie żądali jałmużny i nikomu nie byli ciężarem, nie mam nic przeciwko temu, aby istnieli, ale taki ton!... Posłuchajcie dalej...

„Ponieważ moim jest obowiązkiem dbać o potrzeby rodziny mojej, postanowiłem zużytkować talent, który, jak mi się wydaje, posiadam. Jestem poetą...”

Puh! Wiesz, czytelniku, co myślimy, ja i wszyscy rozsądni ludzie, o poetach!

„i literatem. Od lat dziecinnych wypowiadałem wierszem myśli moje, a i później spisywałem codziennie wszystko, czego doświadczała dusza moja. Zdaje mi się, że niektóre moje prace nie są bez wartości i dla nich poszukuję nakładcy. Ale w tym właśnie sęk. Publiczność mnie nie zna, wydawcy zaś sądzą dzieła raczej według nazwiska i sławy autora, niż według ich wartości”.

Zupełnie jak i my oceniamy kawę według sławy gatunku i marki.

„Wypowiedziane przeze mnie przypuszczenie, że mam talent, mogłoby się sprawdzić dopiero po

wydrukowaniu moich utworów. Tymczasem nakładcy chcą, aby im koszta druku i t. p. wypłacić z góry...”

Bardzo słusznie!

„co w obecnej chwili nie byłoby mi na rękę. Że jednak jestem przekonany, że praca moja pokryje koszta i że spokojnie mogę to zaręczyć słowem, postanowiłem prosić Was, a zachęciło mnie do tego przedwczorajsze nasze spotkanie”...

Tak rozumie „zachęte!”

„ażebyscie księgarzowi poręczyli za mnie koszta pierwszego wydania, choćby obejmować miało najmniejszy bodaj tomik. Wybór wam pozostawiam. W załączonej paczce znajdziecie dużo rękopisów; przekonacie się, że dużo pracowałem i myślałem i mnóstwo zebrałem doświadczeń“...

Nie słyszałem nigdy, aby miał jakiś interes!

„i jeśli mam jaki taki dar przedstawiania rzeczy, to ubóstwo wrażeń nie będzie z pewnością przyczyną mego ewentualnego niepowodzenia.

Oczekując łaskawej waszej odpowiedzi, pozostaję waszym dawnym kolegą.....”

Było i nazwisko, ale nie wymienię go, bo nie chcę robić plotek.

Pojmiesz, czytelniku, jaką musiałem mieć minę, widząc, że nagle chcą ze mnie zrobić pośred-

nika w poezji. Jestem przekonany, że gdyby ten z szalem — tak i nadal będę go nazywał — spotkał mnie był w dzień, nie byłby śmiał zwrócić się do mnie z czymś podobnym, bowiem niepodobna nie dojrzeć godnego wyglądu i obywatelskiego wzięcia; ale spotkaliśmy się wieczorem i dla tego wybaczam mu.

Oczywiście ani słyszeć chciałem o tych głupstwach...

List i Rozmowa.

(ZE ZBIORU „LISTY MIŁOSNE”).



Panu....

Doktorowi *in litteris*.

Szanowny Panie!

Nazywam Pana „szanownym”, szczególnie bowiem z Pana człowiek. Czuję się w obowiązku postawić Pana pod pręgierz i oto dla czego książkę tę Panu poświęcam, oświadczając w tymże celu, że mam niezmierny dla Pana szacunek.

Jakto? Jesteś Pan tylko doktorem jakichś tam nauk... nie posiadasz najmniejszego kramiku... nie byłeś nigdy ministrem ani trafikantem... i ośmielasz się dobrze czynić?

To woła o pomstę!

W imię sponiewieranych praw — w imię praw, które przysługują tylko bogatym i potężnym, powodowany nadto pewną pokonać się niedającą „*jalousie de métier*” postanowiłem ukarać ekscentryczność Pańską, wypowiadając publicznie moją dla Pana sympatję.

Ale... kup Pan sobie rewolwer, uzbrój się w tarczę stalową i pamiętaj, że...

„*Charitas odium parit*”.

Amsterdam, 8 czerwca 1861:

MULTATULLI.

Miał wytarty surdut, lecz zdawał się o tym nie wiedzieć. Któż to myśli o własnym surducie, skoro tyle jest nędzy wokoło?

Tak mówią książki.

Lecz inaczej jest na świecie. Zaiste — inaczej! Istnieją doprawdy ludzie, mający nieprzewyciężony wstręt do wytartych surdutów, o ile te nie służą do ozdoby sąsiada. Najłżejszym brzemieniem jest brzemie cudzej nędzy. W tym względzie wyjątek stanowią tylko ospa i pożar: przenoszą się czasem!

Miałbym ochotę napisać książkę o tych wszystkich kłamstwach, jakie spotyka się w książkach. Ale po pierwsze upłynęłoby dużo czasu, zanim zdołałbym książkę tę napisać, po wtóre zaś, kto inny, chcąc dowieść, że się mylę, powiedziałaby, że własna moja książka popiera najlepiej moje założenie...

Tak powiedziano owemu kreteńczykowi, który twierdził, że wszyscy kreteńczycy kłamią.

Żalby też było rozbudzać w publiczności mniemanie, jakoby *wszystko*, co się pisze, było *nieprawdą*. Trzeba szanować plewę dla paru ziarn pszenicy!

Tak tedy miał na sobie wytarty surdut i zapukał do drzwi...

Pukał już nieraz do różnych drzwi, lecz bezskutecznie! Może się teraz uda, może?

Z pokoju ozwało się śpieszne: „proszę” — tak jak gdyby wypowiedzenie tych paru liter było już zbyt wielką stratą czasu dla człowieka, który, siedząc w pokoju, pisał.

Poczym nastąpiła rozmowa, której nikt nie zrozumie. Mimo to powtórzę ją wam. Może pojmie się ją później.

Człowiek siedzący w pokoju oświadczył po prostu, że nie ma pieniędzy i że jest zakochany.

Więc gość był wierzycielem?

Tym razem wyjątkowo — nie.

— Doprawdy nie mogę pomóc! Nie mam ani pieniędzy, ani czasu. Piszę do *Fancy*, więc...

— *Fancy*?

— *Fancy* albo *fancy*, *Fancy* lub *F a n c y*, jak pan chce. Jest ktoś, kogo kocham... i ten ktoś

leży w kufrze w Lasken... Nie mogę jej sprowadzić... celnicy rewidowaliby kufer... tego nie zniosę... Pan rozumie, że to nieśmiałe dziecko. A pojechać po nią nie mogę. Nie mam pieniędzy. Ale widzi pan, tu mieszka na Liliengracht, zdaje się... napisała do mnie długi list. Zapytuje, czy może mnie kochać? No, rozumie się! może nie? Tina powiada, że byłoby bardzo dobrze, gdyby mnie Fancy kochała. A jak Pan myśli?

No co myślał gość? Myślał, że człowiek, który w ten sposób do niego mówił, jest warjatem.

Zdanie to podzielało dużo ludzi.

Lecz zanim gość objawił niegrzeczne swoje mniemanie, powrócił jeszcze raz do powodów, jakie go tu sprowadziły.

„Pomoc jest konieczna i to przed 11 czerwca. Człowiek ten jest zupełnie bezradny... nic nie ma. Żona i dzieci...”

— Co, dzieci? *Dzieci?* O, to boli! Żona — to nic. Ale... dzieci, powiada pan? Tak, to straszne! I „gospodarz” podniósł się, dowodząc z wielkim temperamentem, że żona to „nic”.

— Dziecko jest okrutne, Panie! O, znam ten zabójczy ton, z jakim dziecko pyta: „Ależ, tatusiu, dla czego nie jesteś taki bogaty, jak wujcio, który kupuje dzieciom karuzelę?” „Co trzeba zrobić,

tatusiu, aby mieć taki pojazd, jak „księżniczna brabancka”? „Tatusiu, czy dziecko, które trzymała wczoraj na ręce, jest słodsze, niż Monni”? „Czy my nie pojedziemy tak z naszą mamusią, jak to dziecko?” „Czy ta mała dziewczynka jada codziennie mięso, jak dzieci wujcia?” „Coś ty zrobił takiego, tatusiu, że jesteśmy tacy biedni?” — Widzi Pan, to rani! Dziecku bowiem niepodobna tłumaczyć. *Cet âge est sans pitié!* Tak, dużo jest rzeczy, których nawet dorosłemu człowiekowi wytłumaczyć niepodobna: co do pewnych punktów pozostaje dzieckiem... o ile wypada mu nie rozumieć!...

Ale żona... O, żona jest podporą, żona podnosi, uszlachetnia!... Czy Pan ma żonę?

— Nie, ale...

— No, to Pan nie wie! W przeciwnym razie... Fe, Panie, niechże Pan mówi, że ten człowiek cierpi z powodu dzieci, ale nie mów Pan, że żona obciąża budżet jego nędzy!

Czyż nie pomaga mu? Czy nie pociesza go? Byłbyś silniejszym bez niej?

Po cóż, do stu djabłów, szła za niego? Kiedyś przecież musiała mu powiedzieć „tak”, gdy pytał, czy chce dołączyć i *nieszczęście* nieść z nim dośpołu?

O, te przeklęte zapowiedzi! Tak, wiem, wiem dobrze: nawet urzędowa żona jest świadectwem

bezpożyteczności. Kraj jest w nędzy... dalejże! Jakżeż się to nazywa, kiedy wszyscy biegną ku granicy i za nią? Wszyscy? O nie, człowiek, mający żonę, pozostaje na razie w domu. Żona umieszczona jest na liście chorób ratunkowych... jest czymś pośrednim między rakiem a impotencją. „Mąż” jest niezdatny do bohaterstwa i czyszczenia broni... aż do dalszego rozkazu! Aż do dalszego rozkazu, póki nie zetrą się junacy, junacy, co szli na przedzie!

W Troi było inaczej... przypomnij sobie Pan pożegnanie Hektora z Andromachą... nie pamiętam już w której to księdze. Malec boi się pióropusza ojcowskiego... lecz Hektor idzie!...

— W szóstej księdze — rzekł gość, który był doktorem *in litteris*:

Ἦς ἐπὶ τὸν ὄντα παῖδος ἠρέξατο παῖδιμος Ἐκτωρ ἄψ δ' ὁ πάς.

— Tak, ale Hektor idzie!

— Idzie, lecz Andromacha nie chciała, żeby szedł!

— To było nikezemnie ze strony Andromachy! I gdyby się mnie coś podobnego zdarzyło... ale mnie się coś podobnego nie zdarzy! Patrz pan... Pokazał gościowi list—list *swojej Andromachy*. Nie

śniło się nawet Homerowi o takich rzeczach! Tak, list brzmiał:

„Jestem wściekła! Ośmielają się czynić ci taką propozycję, taką propozycję *Tobie?* I spekulują na głód naszych dzieci! Zakazują ci myśleć o mnie, o nas. Raczej zebrać będę, raczej pójdę od drzwi do drzwi, a nie przyjmę pożywienia, zdobytego za taką cenę! Ślicznie podziękuj, podziękuj szorstko i ostro, ażeby nie ośmielili się powtórzyć żądania.

Powiedz, że pogardzałabym tobą, gdybyś z nędzy, dla nas zaprzedał myśli twoje, twój język, twoją duszę! Żądaj pieniędzy, pożycz — mniejsza od kogo, oddasz, cokolwiek pożyczysz, stokrotnie, lecz nie naginaj się do żądań ludzi, którzy nadużyć cię chcą gwoli swoich interesów. A jeśli nie możesz nas wyżywić, umrzemy... lecz *na razie* nie jest jeszcze tak źle. Starczy mi jeszcze na trzy dni...”

— Boże mój, czyj to list?”— zapytał gość.

— Jakto, czyj? Tiny! Przecież to jasne! Któżby tak pisał? Patrz Pan, jak się rozpędziła. Zazwyczaj nie pisze tak niedbale, ale, pisząc te słowa, była w pasji...

— No, i cóż Panu proponowano?

— Ażeby oszczędzał p. Duymaera van Twist, który w drugiej Izbie przemawia za wolną pracą

i ażeby zwalczał p. Rochussena. Listu, zawierającego tę propozycję, nie pokażę Panu: jakkolwiek treść jego jest nikczemna — takie nikczemności nazywają „polityką” — to jednak jest to pisanie poufne... I za jaką cenę chciano mi narzucić tę „wolną pracę”? Za cenę płacną małpom w zoologicznym ogrodzie... za cenę *utrzymania!* Tylko że małpy wzamian nie potrzebują kłamać? Szczęśliwie! Wszystko zawdzięczają swoim ogonom! Gdyby nie te ogony, zmuszanoby je również do „wolnej pracy”.

No, i widzi Pan, mój Panie, że żona — to nic! Jest niczym w rubryce ciężarów, lecz wielką, nieskończenie wielką ilością, *wszystkim*, o ile chodzi o pomoc i podporę. Nędza nie sprawiałaby mi najmniejszej przyjemności, gdybym nie miał żony...

Gościowi przyjemność ta wydała się dziwną nawet w tym wypadku, jeśli podzielała ją żona.

— O, Pan nie wie, jak umie kochać żona... Pan

*) „Wolna praca” i „system kulturalny” były za czasów Multatuli’ego wezwaniem dwu przeciwnych sobie partji w walce, dotyczącej interesów kolonialnych. Szło o pozyskanie hegemonji ostatecznej dla jednego z tych systemów. „Wolną pracę” popierali liberali, „system kulturalny” — rząd.

nie może pojąć, z jaką lichwą oddaje mężowi wrażenia, które zapisał w jej duszy... Czyż kobiety są winne, jeśli mężczyźni w duszy ich niczego zapisać nie potrafili? Czy można spodziewać się żniw, skoro nie posiano?... Cokolwiek wiem — o, strasznie mało wiem, ale co robić — cokolwiek wiem, rozumiem, czuję, śnię — wszystko to jej oddaję!

— Żonie?

— Nie, nie, *Fancy...* to moja żona!

— Nie rozumiem!

— Oczywiście! Mało kto rozumie, co to jest miłość. Oddaję jej całą duszę, niepodzielną, bez zastrzeżeń. Myśli moje przenoszę w jej umysł i przychodzi chwila, kiedy z nasienia tego wzrasta dziecko-olbrzym, które ona w moje ręce składa!

Gość był pełen współczucia zarówno dla tego dziecka-olbrzyma, jak i dla jego rodziców i postanawiał w duchu wynieść się natychmiast, gdy dowodzenie na temat: „żona jest niczym” zostanie ukończone.

— Tak, przychodzi chwila i gdzie rzuciłem ziarno, znajduję całe drzewo. Rzeka płynie, gdzie kroplę rzuciłem. I na miejscu, gdzie złożyłem kamyk, znajduję skałę! Na płodnym gruncie jej serca myśli, które sercu temu powierzyłem, przejmują się i wyrastają piękniejsze, silniejsze, szlachetniej-

sze. Jak Haydn, gdy usłyszał swoje „Stworzenie”, pytał zdumiony: „Boże mój, czyliż to ja stworzyłem”? tak i ja pełen zdumienia pytam! Pan rozumie?

— Nie — odrzekł gość.

— A więc — gospodarz bowiem, zasłuchany w oddźwięki własnego serca, zrozumiał „tak” — a więc, w ten sposób mężczyźnie, który ją kochał, kobieta płaci z niebywałą lichwą wszystko, cokolwiek w duszy jej zasiał. I jeśli tacy ludzie w następstwie cierpią, dużo cierpią, — *ludzie bowiem, którzy tak kochają, muszą cierpieć...* — rozumie Pan?

— Nie.

— Oczywiście, tacy ludzie *muszą* cierpieć!... i dalej: jeśli mroźny wicher dmie w szpary pustego mieszkania... jeśli ręka — mniejsza o to czyja ręka, nie lubię wymyślać na ludzi, sam jestem człowiekiem i mam dużo wad... „nil humani...”

— „...me alienum puto” skończył doktor in literis.

— Tak, jeśli więc ręka *konieczności* zadaje ranę jedną po drugiej, jeśli ból złamie prawie człowieka i człowiek bliskim jest ostatecznej rozpacz, natenczas występuje *żona* i niesie żniwo małżeńskie. Z uśmiechem powiada: „Dla czego płaczesz? Czyliż nie dałeś mi skarbu, abym go strzegła?

Patrz, jak wzrósł srebrnik, który złożyłeś w moje ręce! Jesteśmy bogaci — bogaci w miłość i duchowe szlachectwo! *Ja* chowałam, cokolwiek tyś oddawał! *Ja* czuwałam nad tym, coś ty trwoniał i gromadziłam hojne zyski! *Ja* byłam twoją szafarką, duszy twojej szafarką byłam!

„Cóż cię zasmuca? Czy to ambicja cię trawi? Czynię z ciebie króla, koronuję cię!

„Cóż cię zasmuca? Bieda? To nieprawda! Jesteśmy bogaci, bajecznie bogaci! Patrz na dzieci nasze i na te ich serduszka wieszczce! Wspomnij tę ich żądzę wiedzy, rozumienia, żądzę dawania i kochania!

„Jesteśmy bogaci, bajecznie bogaci! Spójrzj na drzewa, jakie zielone! Na pola — na te barwne pola! Przyjrzyj się tej całej kochanej przyrodzie, która... z własnej woli pracuje, bez najmniejszej pomocy jakiegoś holenderskiego, kulturalnego systemu... O, wiedziałam, że się roześmiejesz!

„Co cię zasmuca? Lęk, bojaźń? Czego się lękaś? Czego się boisz? Pół życia niemal przebyliśmy. Czyż nie należy nam się wkrótce już spokój?

„Cóż cię zasmuca? Troska o dziś, o jutro? Dziś dzieci jadły... i jutro jeszcze jeść będą...”

.....

— Na pierwszym miejscu niechaj będzie kultura kobiety! A tak nie jest! Chcesz Pan dowodu... o jest ich mnóstwo! Spróbuj Pan zaprosić na wódeczkę albo na kieliszek madery jegomościa, idącego na giełdę... nie przyjmie, gdyż idzie za *interesem*. Wtedy, kiedy ma na głowie „interes”, nie będzie pił.

Aha, więc *po* giełdzie!

— Po giełdzie, i owszem! Rozumie się. Wtedy już mu nie pilno do interesów. Wtedy czeka go tylko żona i kilkoro dzieci, które przyszły na świat wbrew woli. Żona—to nie „klient”, żona—to nie „kolega”. Przed niemi nie wstydzi się, że pił. Nie mu to nie szkodzi, jeśli zauważą, że czuć ojca, jak furmana lub parobka. Mniejsza o to, jeśli *tu* mowa jego będzie miała akcenty z kozła lub stajni. Mniejsza o to, jakim pocałunkiem obdarzy żonę i dzieci... wszystko jedno jakim! To przecież nie zaszkodzi „interesom”! Byleby tylko dzieci były grzeczne, byleby obiad był smaczny i byleby ojciec był z wszystkiego zadowolony! Ojciec jest zmęczony kaszą, syropem, akejami i polisami. Zmęczony dyskusją kawiarnianą i tłokiem giełdowym. Zmęczony zaś nadewszystko... knajpką, temi „małemi piwami”, których aż trzy idą na jedno „duże”.

Jakiż to siew składa *taki* mąż w duszy swojej żony? Piołunówkę! I czyż to *jemu* wypada się

skarżyć, jeśli w tych warunkach płód umiera? Czy natenczas godzi się powiedzieć, że to kobieta bezpłodna? A przypuściwszy nawet, że nie pije, — cóż daje kobiecie, którą rzekomo kocha? Szal, etażerkę, parę sukien i „wikt”! O, trzeba dać więcej kobiecie, którą się zaślubia... trzeba jej dać coś innego. Trzeba uczynić z żony skarbonkę swoich myśli, ubezpieczenie swego ducha! A gdy przyjdą czarne godziny, uzna Pan, że miałem słuszność... Zaprawdę — żona to nie!

Ale teraz muszę być sam: piszę do Fancy i mam dużo roboty!

Gość powstał, z serdecznością, a może ze współczuciem podał rękę. Sam nie wiedział, co i jak ma czynić, nie zdawał sobie bowiem sprawy, czy człowiek, z którym mówił, stoi wyżej lub niżej od innych: rozumiał tylko, że nie stoi na równi z innymi. Post scriptum jego odwiedzin stanowiły kilkakrotnie powtórzone słowa:

„Biedak! biedak!”

Nie wiem, czy miał na myśli gospodarza, czy też owego człowieka, którego trzeba było ratować przed 11 czerwca, aby nie zginął z żoną i z dziećmi. Może miał na myśli obu.

Lecz gospodarz nie myślał nigdy o sobie, gdy była mowa o biedakach, chociaż, prawdę powiedziawszy, nie był nadto bogatym.

Jakkolwiek narazićbym się miał znowu na zarzut sprośności, jaką dostrzegł we mnie i napiętnował w „Naukowych kartkach” pan Buys, muszę w tym miejscu wpleść uwagę, która, niech ci do wiedzie, czytelniku, że zawsze mówię prawdę, zwłaszcza zaś, gdy twierdzę, że książki zawierają tyle kłamstw. Dowiodę ci zatem, że całe to opowiadanie było kłamstwem. Gospodarz bowiem, o którym mowa, był biedny. Musiał o tym wiedzieć gość, skoro wiedzieli o tym wszyscy. Napróżno starał się być wszędzie o pomoc dla swego biedaka; książkę X. podziękował za zaszczyt, a p. van B. wyjechał. Bogaty C. nie miał „przypadkiem” pieniędzy — „przypadkiem” — szczęśliwiec! Mevrouw H. gotowa była pomóc, lecz w pierw chciała się przekonać, czy ów nędzarz nie popełnił czasem „kiedyś” „czegoś”, co nie jest „w porządku”. W tym razie oczywiście pomocą nie mogła, „nie należy bowiem popierać ekstrawagancji ludzkich”. Jest to niezmienna zasada wszystkich porządnym ludzi, którzy nie czynią nigdy niczego, coby nie było „w porządku”. Słowem, wszędzie, wszędzie odprawiono z niczym człowieka, który

mając wytarty surdut, ze wszystkich sił szukał ratunku dla ginącej rodziny.

Otóż pytam was, czy to *prawdopodobne, możliwe*, czy może być *prawdą*, aby po tym wszystkim przyszło mu na myśl szukać pomocy u człowieka, który:

Primo: Był biedny, jak święty turecki. (Powszechnie wiadomo).

Secundo: Był niespełna zmysłów. (Okaze się natychmiast).

Tertio: Jest nieponiem. (O czym dowiedzieć się można u najbliższych jego znajomych: dokładnie go znają i nie twierdziliby nieprawdy).

Quarto: Pisze listy miłosne, a jest żonaty. (Dowód masz w ręku kochany, porządny, niewinny czytelniku!).

Quinto: Jeszcze raz: był biedny, jak święty turecki. (Gdyby nie ta okoliczność innej, mniejszą znacznie miałyby wagę).

Czy to możliwe? Nie! Takim kłamstwom wierzy się dopiero wtedy, gdy dożyły tysiąca i ośmiuset, i więcej jeszcze lat!

Opowiadam te kłamstwa dla tego, że chcę tym razem napisać dziesięć arkuszy, a nie umiem

zapelnąć ich prawdą. Wypadłaby zbyt krótko prawda:

„*Jawańczykowi dzieje się krzywda*”.

„*Położę temu kres*”.

A więc wróćmy do kłamstw.

— Biedak! rzekł gość. Na to odpowie gospodarz:

— Przykra historja!... nie mogę cię przecież tak z niczym odprawić, powiedzieć ci poprostu: nie mam. Gdyby nie ta miłość, zaproponowałbym ci, że napiszę coś dla tej rodziny, ale... poczekaj, mam myśl!

I to śmieszne indywiduum zatarło aż ręce z radości na ową myśl!

— Siądź jeszcze na chwilkę! Jedenasty czerwca powiadasz, — a dziś jest ósmy? Poczekaj!

Gość zajął znowu miejsce, które przed chwilą tak beznadziejnie był opuścił. Śmieszne indywiduum napisało krótki liścik i wyrzuciło go oknem.

— Czekaj Pan — i rozglądało się wokoło, jak gdyby miało zajść coś nadzwyczajnego, coś, co dla gościa przynajmniej byłoby nadzwyczajnością.

I stało się. Liścik, przed chwilą wyrzucony, wpadł oknem napowrót do pokoju. Okno zaś było zamknięte. W liście były jakieś dopiski.

— Patrz Pan! rzekł biedny półgłówek, Fancy zgadza się.

Gość przeczytał:

„*Kochana Fancy! Jakaś rodzina jest w nędzy. Czy mogę sprzedać nasze listy?*”

Pod tym zaś:

— „*Tak. Prócz listów z daty tej... i tej... i...*”

Poczym następował szereg dat, oznaczających listy, które miały być wyłączone.

Poczym gospodarz napisał następujący akcept:

I nie wyrzucił go oknem, lecz wręczył gościowi:

— Niech to Pan zdyskontuje!

Gość przecierał sobie oczy.

— Niech to Pan zdyskontuje! Ale słuchaj Pan... czy książkę X. jest porządnym człowiekiem?

— Rozumie się!

— Więc do niego Pan nie idź: nie zdyskontuje. Czy ten van B., który „wyjechał” jest dobroczynny?

— Bardzo dobroczynny! Istnieją zakłady dla staruszek, które jego noszą imię — zakłady jego imienia, oczywiście!

— Więc nie chodź Pan do niego; nie zdyskontuje.

— Czy C. ma dobre serce?

— Jak złoto! Córki jego robią pończochy dla dzieci murzyńskich.

— Więc nie chodź Pan do C.—nie zdyskontuje.

— Czy Mevrouw H. jest pobożna?

— Bardzo pobożna. W niedzielę każe kucharzowi podawać obiad, aby kucharka i kuchciki mieli czas na pobożne ćwiczenia.

— Więc nie chodź Pan do Mevrouw H. — nie zdyskontuje. Idź Pan do... do... czy to nie wstretne, że wszyscy są tacy porządni! Czy nie znasz Pan ani jednego *złego* człowieka? Prawda, Pan nie chodzisz na giełdę!

— Złego człowieka?

— Tak kogoś, ktoby pluł na przyzwoitość, wroga cnoty i dobrych obyczajów! Jakiego antychrysta, kogoś, kto... ale, ot i jest!

Spojrzenie jego padło na Dageraad*), na to szkaradne pismo, które leżało na jego stole.

— Mam go! Widzi Pan, jest! Właściwie wołałbym, aby to był ktoś, kto pożarł własne dziecko, lecz ponieważ nie mam pod ręką takiego, radzę Panu iść do wydawcy „Dageraada”. Pan Günt

*) „Jutrzenka“ = „Świt“ — organ wolnomyślnych w Holandji.

zdyskontuje. Gdyby zaś nie mógł, idź Pan do Meyera, tam gdzie w wystawie leży Voltaire i „Modlitwa niewiedzącego” przez zwarzowanego Multatuli’ego. Do takich ludzi musisz Pan pójść!

Doktór *in litteris* wyszedł. Aż mu w głowie huezało. Wiarołomstwo, listy miłosne, Voltaire, dziewczyna, której tknąć nie było wolno celnikom i która mieszkała na Liliengracht, chociaż była zamknięta w kufrze, w Lacken? Listy wlatujące przez zamknięte okno! Dzieci-olbrzymy? Kobieta, w większą od papieża mocna władzę, chociaż ma zapasów wszystkiego na trzy dni? Człowiek, któremu nędza sprawia przyjemność?...

— Zajrzyjcie od czasu do czasu do tego pana z № 6 — rzekł, schodząc, do służącego.

A, ty, czytelniku?

Znajdziesz, że to zwarzowane, co? Bezwstydne, okropne, bezczelne, nieprzyzwoite i przede wszystkim niepojęte... co?

Kupuj, publiczności, kupuj! O, *będziesz* kupowała! Znam cię! Masz nadmiar pieniędzy, gdy się pojawia na rynku *skandal*, ty, która pozwalasz ginąć z głodu porządnemu człowiekowi, skoro inną niż ty ma wiarę!

Kupuj, publiczności, kupuj! Ty, która prorokom swoim żyć pozwalasz, aby się dłużej nad

niemi móc znęcać! Mniemają, że ubliża ci się, sądząc, że, podobnie jak Żydzi, byłabyś ukrzyżowała Chrystusa; *ty* byłabyś uczyniła z niego parobka w jakimś kramiku, nieprawda? Byłabyś czekała, aż miałby żonę i dzieci, by cierpiały głód... iżby patrzył na to i ukorzył się przed tobą. To cios pewniejszy, nieprawda? Na słowa: „Biada ci, Jerozolimo!” posłałabyś mu odpowiedź przez usta woźnych sądowych: kazałabyś mu patrzeć, jak sprzedają sukienki jego dzieci, a ciężki to widok dla ojca! I na ten widok, złamany, zgnębiony, cofnąłby swoje „biada!” To cios pewniejszy, głębszy, dłużej boli, niż parę godzin konania — nieprawda?

Kupuj, publiczności, kupuj! Za małe pieniądze kupisz sobie dużo wzruszenia! Mam moc głaskania i łaskotania was do tego stopnia, że gotowicie oszaleć i zapomnieć o cenie waszej kawy! Was, co to zazwyczaj tak twardą macie skórę, że bat aż w rękach dygocze!

Kupujcie, Niderlandczycy, chrześcijanie, starego i nowego obyczaju chrześcijanie, kupujcie, podpisujcie się; sypcie pieniędzmi — za parę pieśni miłosnych i trochę inteligencji!

Wy kupujcie, którzy za kradzione pieniądze budujecie koleje żelazne i okradzionym dajecie opłatę w opjum, ewangelji i piołunówce!

Kupujcie i płąćcie wszyscy! Cierpiałem dość, by wydobyć ton, którego tak chętnie słuchacie! Dość okłamywaliście, lżyliście i umęczaliście mnie, by z prawem zażądać ode mnie zapłaty za wasze kłamstwa, obelgi i okrucieństwo!

A gdy zadowolili was wysokość tonu, któryście wy sami z piersi mi wygniotli... rzeknijcie, jak rzekliście wczoraj, i przedwczoraj i dawniej jeszcze: Jak ładnie pisze ten człowiek! Dam ci przyjaciela, *tyle* za arkusze, *tyle* za piosenkę! Jeszcze coś zanuć! Jeszcze coś napisz! Jeszcze pogadaj!

O, publiczności, ze szczerego serca i bardzo pogardzam tobą!

Do Tinę

(Z „Listów Miłosnych“).



męczony jestem, kochana! Nie gniewaj się, że tak mało piszę. Ani grosza posłać ci nie mogę. Staraj się tylko wytrwać. Zawsze przecież tak nie będzie. Lecz jestem zmęczony — doprawdy!

Wyobraź sobie, wmówili sobie, że jestem *litératem* i że powinienem pisać, aby się *utrzymać!* Mają mnie za Multatuli'ego. *Pisać, aby się utrzymać!* Przypomina mi to Don Juana, któremu zachwyty nad osobą Mr Dimanche'a taką sprawiały przyjemność, że, zachwycając się, zapomniał o prośbie, wyrażonej przez tego Dimanche'a. Dimanche zaś prosił o zapłacenie rachunku.

Nie mam już Molière'a!... Tino, Tino... gdzie są nasze książki? Czy pamiętasz jeszcze, że niegdyś posiadaliśmy książki i dom? I że zwolowaliśmy tych, którzy domu nie mieli? Dziwnie zaprawdę...

czasem sam sobie zadaję pytanie: co się stało, że nie mamy domu?

Ot, głupota — jak Maksio stawiam takie dziecinne pytanie! Ciężko mi prawie opanować zawiść, gdy pomyślę, że tylu jest ludzi, którzy *mieszkają*.

A przewaźnie... ale co tam, opowiem ci lepiej coś o Don Juanie. Bardzo dobrze, że nie mam *Molière'a*. Opisywałbym może, a to jest nudne.

Don Juan jest grubiutki, tłuściutki, jak się należy. Atoli *Dimanche* jest chudy.

— Rodzina moja cierpi głód, szlachetny Don Juanie! Wiecie, com dla was uczynił...

— Pięknie powiedziane, kochany *Dimanche*, siądźcie proszę!

— Dziękuję Szanowny Panie... chciałbym, ażebyście ten rachunek...

— Rachunek was jest zachwycający. Mówcie dalej! Może szczyptę tabaczki?

— Dziękuję za tabaczkę, Don Juanie... ale ten rachunek i...

— Czy wiecie, o uniwersalny *Dimanche*, że macie piękne pismo? *Mianuję* was moim sekretarzem... możecie natenczas za mnie pisać!

— Dziękuję, panie rycerzu, lecz rodziną moja cierpi *nędzę*... i mieliżbyśmy z powodu was...

— *Nędza?.. Cierpienie?.. Cierpieć nędzę?..* Cóż za wspaniałe zespolenie głęboko odczutyh dźwięków! Powiadam... *plonę... chcę...* sam nie wiem, czego *chcę*, ale mniejsza o to... wspaniały zwrot! Powtórzcie go jeszcze raz, bardzo proszę!

— Cierpimy *nędzę*, Panie!..

— Bosko! Jakie w tym życie... jaki *żar...* jaki ogień! *Mianuję* was moim nadwornym poetą! Mówcie dalej, o złotousty *Dimanche*!

— Dziękuję za godność, Panie... sądziłem, że... na litość Boga, zważcie, że konamy, a nadomiar mam długi... i oto powiedzą, że nieuczciwym jestem *ja*, gdy tymczasem *wy...* zastanówcie się Panie, Rycerzu, Janie, Juanie, Grandzie... jakże przemówić mam do was, byście mnie zrozumieli? Don Juanie... Boże mój... czeka nas śmierć, powiedzą, że to *ja...*

— *Śmierć?...* Jakaż wzniosła myśl! Ale źle zastosowana! Przyjacielu *Dimanche*, porywa was *zapał...* *Śmierć* i *wy* z tym krasomówczym talentem? *Śmierć* — i *wy* z takim pismem? To niemożliwe, *Dimanche*! Słuchajcie! *Ja* oto, Don Juan... darzę was... śmiało przyjmijcie, nie wstyďte się... spełniam powinność... *ja* darzę was *ex plenitudine potestatis...* rozumiecie?...

— Nie... lecz mój rachunek...

— Darzę was oto *nieśmiertelnością!* — Leporello, wyprowadź tego pana!...

Nie wiem, czy dosłownie tak brzmi tekst Molière'a; nie wiem, czy Dimanche zdążył jeszcze odpowiedzieć: „*Dziękuję Wam, Don Juanie... Publiczności, za waszą nieśmiertelność!*” — lecz prawie że widzę stroskaną minę, z jaką biedak odchodzi, niosąc żonie nieśmiertelność, miasto chleba, na który czekają, aby nie umrzeć!...

...Ładnie pisał Molière, lecz brakło mu odpowiednich wzorów, brakło mu faktów. Był dzieckiem swego czasu, a były to proste czasy.

Ja pisać mam, aby się utrzymać... za pieniądze mam pisać! Nasza Nomie ma zaledwie cztery latka... pomyśl tylko, że kiedyś później miałyby za pieniądze... Boże mój, Boże!

Trzymaj się jakoś, Tino, póki możesz! . . .

.

D o F a n e y

(Z „Listów Miłosnych”).



toś ty, drogie dziecko, kto? Jak się zwiesz?
Kędy przebywasz?

Mam-że przyzywać cię imieniem z pieśni nad pieśniami — byłażbyś Sulamitą ciemną?
Jest-żeś lilją Saronu czyli narcyzem doliny?

Objąć-że mam szyję twoją lewym ramieniem,
a pieścić — prawym?

Mam-że z spojrzenia twego czerpać poezję?
Pieśń śpiewać na cześć twoich włosów?

Czyliż zobaczę cię dziś, jutro, kiedykolwiek?
Czyliż dopiero po śmierci ujrzą cię moje oczy?

Jest-żeś przepychem, czyli też cnotą, rozkoszą,
czyli gienjuszem? Jest-żeś nieśmiertelnością?
Pokojem? Przeszłością? Przyszłością? Aniołem,
demonem, czyli też widmem?

Wieszczko, westalko, wyrocznio, Sybillo, Epe-
rjo! Rafaela siostró, gdzie jesteś, kędy przebywasz?

Mam-że szukać cię w obłokach, czy też wśród ulic miasta?

Mam-że pytać straży bram strzegącej: azali nie widzieliście onej, którą miłuje dusza moja?

Mam-że wyrzec zakłęcie, abyś spłynęła z wyżyn? Czaru użyć, byś się z głębin uniosła?

Czyliż przebywasz na planecie ziemi podobnej? Wirujeż ojczyzna twoja, jak biegnie i wiruje moja ojczyzna, nie mając ni podstawy, ni szczytu?

Widzisz-że ty słońce, Fancy?

Byłażbyś ty sama słońcem, Fancy?

Jest-żeś owym centrem ziemi, centrem, który wszystko przyciąga?

Natenczas, Fancy, każda kropla dżdżu jest moim do ciebie posłaniem! Natenczas każda błyskawica, po przestrzeni lecąca, ku tobie, Fancy, ku tobie moją poniesie miłość! Tak, tak, wyrzucę ten list na ulicę: pierwszy lepszy podejmie go w myśli, że kupi go za cenę miedziaka — lecz oto błyskawica wywiedzie go w pole!

Pisz mi, czy list doszedł! I przyslij mi pukiel włosów, Fancy, jeśli masz włosy, jak inne... Nie sądzę...



Ewang. Mateusza, XIX.



to inny tekst, który dołączyć wam radzę do starego...

10. Natenczas uczniowie jego rzekli do niego: jeśli dzieje się taka rzecz między mężczyzną a niewiastą, niedobrze jest, aby pojął mąż niewiastę.

11. I rzekł do nich: zaprawdę, powiadam wam, dobrze jest, aby mąż pojął niewiastę, iżby całą stała się jego dusza i by *człowiekiem* był.

12. I dobrze jest, aby niewiasta pojęła męża, iżby dopełniła się jej dusza i by *człowiekiem* była.

13. Albowiem Pan nie spoczął, gdy stworzył męża. I nie stworzył niewiasty jednej, bez męża. Mężczyznę i niewiastę stworzył, aby całkowitym był człowiek.

14. Kto ma prawą rękę, a niedostaje mu lewej, niezupełny jest. I kto ma lewą rękę, a niedostaje mu prawej, niezupełny jest. Albowiem daną

jest człowiekowi prawa ręka i lewa ręka, aby był zupełny.

15. I niechaj nie mówi prawa ręka: czego chcesz, lewico, to *ja* ręką jestem! I niech nie mówi lewa ręka do prawicy: czego chcesz, *ja* to ręką jestem. Albowiem razem tworzą całość. Mąż i niewiasta — razem.

16. Prawa ręka zapina pas, który jest potrzebny. A lewa ręka nosi dzban z wodą, której wam potrzeba. Kto zgubił pas i pieniądze w nim ukryte, nie może żyć. A kto dzbaną z wodą nie poniesie, umrze z pragnienia. Więc mąż i niewiasta — razem.

17. Słyszeliście, jako powiedziano: jednym ciałem będą... Czyż nie tak czynią rozpustnicy i jawnogrzesznice? Gdzież wasze małżeństwo?

18. Słyszeliście, jako powiedziano: ciało z mojego ciała i kość z mojej kości... Czyż nie tak czynią zwierzęta w polu? Gdzież wasze małżeństwo?

19. Jako prawdą jest, iż Bóg wasz jest Bogiem prawdy, tak prawdziwie mówię wam: mężu i niewiasto, łączcie się w prawdzie, byście nie płodzili kłamstwa.

20. Jako prawdą jest, iż Bóg wasz jest Bogiem Ducha, tak prawdziwie mówię wam: mężu i niewiasto, łączcie się w duchu, iżby młode zwierząt

w polu nie rzekły do waszego pokolenia: równi wam jesteśmy!

21. Jako prawdą jest, iż Bóg wasz jest Bogiem miłości, tak prawdziwie mówię wam: mężu i niewiasto, łączcie się w miłości, iżbyście wydali na świat dzieci w miłości spłodzone.

22. Ty, mężu, nie składaj w świątyni ust na podobieństwo ust rabinów, jak gdybyś słodkiego wina kosztował i nie mów do żony twojej, jak gdybyś gorczycę żuł w wargach twoich.

23. Kto oto mądrość głosi w świątyni a niemądrymi słowy przemawia do żony swojej, złodziejem jest.

24. Kto wołał cię do świątynie? Przyszedłeś niewołany. Aliści żonie swojej miłość ślubowałeś. Więc zaufała ci i otworzyła ci łono swoje.

25. Ty zaś, niewiasto, nie ubliżaj mężowi swemu, mówiąc: Panie! Albowiem siebie poniżając, jego poniżasz, że ty i on — to jedność. Uprzątnij z jego drogi, cokolwiek możesz uprzętnąć, by nie zachwiał się.

26. Lecz tak ci powiadam, nie iżbym do niewolnicy mówił, lecz byś sama nie upadła na miejscu, w którym zachwiał się on. Bowiemy ty i on — to jedność.

27. Niewiasta opowie się mężowi, a mąż niewieście, bowiem on i ona — to jedność.

28. Kto daje żonie swojej pszenicy, aby upiekła ciasto, je z ciasta. Niech nie żąda dziękczynień. Czyż nie tak czyni brat? Gdzież wasze małżeństwo?

29. Niewiasta, która upiekła ciasto, by jadł mąż, je z ciasta. Niech nie żąda dziękczynień. Czyż nie tak czyni siostra? Gdzież wasze małżeństwo?

30. A kto obaczy gwiazdę, rzeknie do umiłowanej: spojrzuj i patrz na gwiazdę i raduj się. Atoli niewiasta, której przypadła radość, niechaj dzieli ją z mężem swoim. Jego to własność i nie traci nic, dzieląc się. A gdy mąż czuje żal, niechaj dzieli go z niewiastą, iżby nie pytała: nie dorosła-bym-że uczuciom waszym?

31. Niechaj się smuci mąż, gdy smuci się niewiasta, iżby nie lękała się, jako niższa jest od *jego* troski i nie lękała się czuć każdą radość.

32. A gdy usłyszysz mąż, jako nawrócili się Sadducejczycy na wiarę w zmartwychwstanie, niechaj powie o tym żonie swojej, by nie zasnęła przy wrzecionie.

33. A gdy pęknie nić w jej wrzecionie, niech powie o tym mężowi swemu, by nie mniemał, że wyniósł się nad nią, iże biegły jest w piśmie.

34. Czyliż nie ocaliła Judyta ludu Izraela, czyliż nie ocaliła go śmiałym duchem? Wielu było mężów w Jerozolimie i pozostali w domu, gdy szła ku namiotom potężnego.

35. Czyliż nie sądziła Debora ludu Izraela i czyliż nie było ładu, gdy sąd czyniła?

36. A gdy spotka mąż uczciwego Faryzeusza, niech powie o tym żonie swojej, by radowała się dospołu z nim, jeśli wierzyć może.

37. A gdy biegli w piśmie usidlą go w sidła swoich pytań, niech słucha niewiasty, co powie niewiasta. Może, przedąc, wymyśliła odpowiedź, zanim usłyszała pytanie.

38. I rzekli uczniowie: Jakże to Panie? Zabroniono jest niewiastom, by czytały w piśmie: jak rozwikła niewiasta zawile pytanie?

39. I odpowiedział, mówiąc: Z pisma uczą się stawiać zawile pytania, atoli odpowiedzi wiele jest w myśleniu przy wrzecionie.

40. I znowu zapytali uczniowie i rzekli: Rabbi, oto była niewiasta, a mąż jej nauczał w świątyni. I wrócił do domu i rzekł: „Prawiono o królowaniu Malchisedeka” i zapytała: „Kto jest Malchisedek?” I rzekł: „Byliśmy w Egipcie, w domu niewoli”. I odpowiedziała: „Nigdy nie byłam w Egipcie”. I rzekł: „Pytano, czy Eljasz był wyż-

szy od Mojżesza". I zawołała: „Nie znam tego Eljasza!" I rzekł: „Świątynia pełna jest nowych ludzi, którzy dzielą człowieka na duszę i ciało". I odparła: „Za mądre to dla mnie rzeczy. Nie odrywaj mnie od roboty: przędę!"

Patrz więc, Rabbi, przędąc, nie poznała przecież Malchisedeka ani duszy swojej: Jakże to, Rabbi?

41. A on postąpił parę kroków i oto była przed nim rola, a ziemia dobra była, aliści nie kołysał się na niej kłos, jakkolwiek czas był czasem żniw.

42. I wziął laskę i uderzył w próg człowieka, którego rola była własna. A człowiek ów zawołał: „Dla czego uderzasz w mój próg?"

43. I rzekł: chodź i zbieraj! Czyż nie wypełnił się kłos i nie przyzywa-ż sierpa? Dla czego nie zbierasz z roli twojej?

44. Uczniowie rzekli: „Nie siał, Panie!"

45. I odpowiedział i rzekł: zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam, ktokolwiek nie posieje w czasie siewu, nie zbierze w czasie żniw. Roli bezpłodnej jest niewiele, atoli liczba leniwych rolników wielka jest.

46. I jeszcze raz uderzył o próg człowieka, który nie posiał. Aliści nie zrozumieli go uczniowie.



Bajka o kamieniarzu japońskim.



Słuchaj malutka! Był raz człowiek, który ze skały dobywał kamienie. Robota jego ciężką była i pracował wiele, lecz zapłatę otrzymywał małą i nie był zadowolony.

Westchnął, ponieważ ciężką była jego praca. I zawołał: „O, gdybym był bogaty i spocząć mógł na *Balek-Balek*, osłonionym przez Klambu z czerwonego jedwabiu!”

Zstąpił anioł z niebios i rzekł:

Stanie ci się, jakoś powiedział!

I był bogaty. I spoczywał na *Balek-Balek*, Klambu zaś zgotowiono mu z czerwonego jedwabiu.

I przejeżdżał król owej ziemi i jeźdźcy poprzedzali jego pojazd. I jeźdźcy kroczyli za pojazdem króla, nad głową zaś króla niesiono złocisty pajong.

I gdy ujrzał to bogaty, zasmuciło go, że nad jego głową złocistego nie niosą pajonga. I nie był zadowolony.

I westchnął, i zawołał: Chciałbym królem być!
I zstąpił anioł z niebios i rzekł: Stanie ci się
jakoś powiedział!

I był królem. I przed pojazdem jego sunęło
wielu jeźdźców, i byli jeźdźcy za jego pojazdem
i nad głową jego niesiono złocisty pajong.

A słońce paliło promieniami i rozżarzyło zie-
mię, że uschły trawy.

I skarżył się król, iż słońce mocne jest nad
nim i twarz mu pali. I nie był zadowolony.

I westchnął, i zawołał: Chciałbym słońcem
być!

I zstąpił anioł z niebios i rzekł: Stanie ci się,
jakoś powiedział!

I był słońcem. I posyłał promienie wzwyż
i wzniz, naprawo i nalewo, i wszędy.

I palił trawy na ziemi i lica książąt, którzy
byli. I chmura stanęła między nim a ziemią i od-
parła promienie słońca.

I zapalał gniewem, iż sprzeciwiono się jego
potędze i skarżył się, że chmura mocna jest nad
nim. I nie był zadowolony.

I chciał być potężną chmurą.

I zstąpił anioł z niebios i rzekł: Stanie ci się,
jakoś powiedział!

I był chmurą i stanął między słońcem a ziemią
i wchłaniał promienie, że zazieleniła się trawa.

I zesłał deszcz w wielkich kroplach i rozkazał,
by wezbrały potoki i powódzie uniosły trzody.

I pustoszył pola mnogością wód.

I rzucił wody na skałę, a skała nie ustąpiła.
Rzucił wielkie wody, a skała nie ustąpiła.

I zadrżał gniewem, iż nie chciała ustąpić ska-
ła i siła jego potoków próżną była. I nie był za-
adowolony.

Zawołał: Skała ta mocna jest nade mną. Chciał-
bym być skałą!

I zstąpił anioł z niebios i rzekł: Stanie ci się,
jakoś powiedział!

I był skałą i stał niezachwiany, gdy paliło
słońce i gdy spadał deszcz.

I nadszedł człowiek, a niósł motykę, ostre
dłuto i młot ciężki. I człowiek ten odrywał ka-
mienię od skały.

I rzekł: Cóż to, iż mocny jest ten człowiek
nade mną i z łona mego wyjmuje kamienie? I nie
był zadowolony.

Zawołał: Słabszym jestem od niego... chciał-
bym być tym człowiekiem!

I zstąpił anioł z niebios i rzekł: Stanie ci się,
jakoś powiedział!

I był kamieniarzem. I rąbał ze skały kamienie, dobywał je ciężką pracą, i ciężko pracował za małą zapłatę i był zadowolony...

A ty, malutka, czym chciałabyś być, gdyby zstąpił anioł z niebios i zapytał, jakie masz pragnienie?

— Zaprawdę, Panie, prosiłabym go, aby wziął mnie z sobą do nieba!

Do Faney

(Z „Listów Miłosnych“).



Cheesz, abym cię czegoś nauczył? Czego? Nic nie wiem.

Poszedłem do przyjaciela, który kupczy mądrością. „Ona chce się czegoś nauczyć! rzekłem zasmucony — „użycz mi trochę z twoich zapasów!” Powiódł mnie do wnętrza swego domu i pokazał mi nagromadzone tam przez siebie skarby wiedzy. Ujrzałem wiele czarnych liter połączonych na białym papierze, który przyżółkł. Usłyszałem rozmowy mędrców wszystkich wieków i nie czułem się mędrszy, niżli oni byli, bowiem większość z pośród nich wyznawała, iż, podobnie jak ja, nic nie wie. Ci zaś, którzy nie składali tego wyznania, wydawali mi się głupszy od innych...

....Niegdyś niczego nie było! „Było” wywodzi się od bytu, znaczy: być, istnieć. „Niczego nie było” znaczy tedy: istniało coś, co nie istniało...

...I Bóg stworzył ziarnko piasku, a na nim rozliczne zwierzęta, trochę większe od zwierzątek, gromadzących się w pyłkach kurzu, jaki po spacerze strzepujemy z obuwia...

...Była wielka różnorodność wśród tych zwierząt. Były między nimi, które miały ogony i jadły trawę. Inne głośno potwarz i posiadały miłość własną. Niektóre żyły powietrzem. Inne — wodą. Inne jeszcze — surowym mięsem. Inne znowu nie mogły żyć bez panowania. Te ostatnie orzekły same w grubej książce, którą ci poślę, że są panami i władcami nad wszystkim, cokolwiek jest. Gwoli ich użytku istnieje ryba, ptak, lew, konik polny — słowem, wszystko!

Zwierzętom, które ułożyły tę grubą księgę, musiały podlegać nie tylko wszystkie inne zwierzęta, ale i inne ziarnka piasku — było ich bowiem wiele i były od tamtego rozmiarami większe. Wszystkie miały służyć ku uciechu małego ziarnka. Tak też czyniły, krążąc naokoło ziarnka.

Znałem pewną mysz, Fancy, która mieszkała w holenderskim serze. Nie mogłem przekonać tego zwierzątka, że ser nie po to istnieje, aby mu zapewnić przyzwoite schronienie.

Zwierzęta, które zabawiały się w pana nad małym ziarnkiem piasku, zwały się ludźmi. Wyraz

ten prawdopodobnie miał oznaczać coś pięknego, w każdym jednak razie i pod każdym względem — zatracił takie swoje znaczenie....

...Zwali się tedy ludźmi! Wyłożę ci wnet, jako i między nimi panowały mnogie różnice, które zbiegały się w różnicy co do władzy i autorytetu....

Autorytet!

Dziecko nie pyta o powód i przyczyny: musi być autorytet!

Dziecko słucha: musi być autorytet!...

Pierwsza historia o autorytecie.

— Bracie, któryś jest większy ode mnie, azali nie zerwałbyś mi tego oto granatu, co z pośród złotogłowu i zieleni uśmiecha się do mnie rozchyłonymi ustami, niby dziewczyna nęcąca? Patrz oto, dojrzałość rozchyliła mu łono i purpurowe są brzegi rany, którą sam sobie zadał, aby mnie dogodzić! Pożądaj tego granatu, mój bracie! Ty, któryś jest większy ode mnie, wyciągnij rękę i zerwij go, abym jadł.

I uczynił tak brat, aby młodszy jadł.

I wyszedł starszy na pole i ujrzał kozicę, która schodziła w niziny, aby szukać koźlęcia.

— Nie widział-żeś mego dziecięcia, zapytała lwa, — ty, który mieszkasz na równinie i lepiej ode mnie znasz drogi równiny, drogi trudne dla mnie, jakoże rozdwojone mam kopyto?

— Daj pokój dziecięciu twemu, daj pokój koźlęciu — rzekł lew — i chodź, abym cię pożarł!

I tak uczynił.

Aliści starszy brat zapytał lwa:

— Cóż to, że pożarłeś koźlicę, co szukała koźlęcia?

— Słyszałeś, jako skarżyła się na nieprzydatność swoich kopyt! — odparł lew. Czyż nie uczyniłem sprawiedliwie, zjadłszy ją? Pojrzyj na moje pazury—jakie „przydatne!” Pojrzyj na przydatność moich kłów. Oto dla czego zjadłem koźlicę!

Młodzieniec zamyślił się, spojrział na ramiona swoje, a były długie, silne i potężne. Zobaczył, że są „przydatne”... i postanowił zniewolić młodszego brata, aby mu służył.

I gdy ten prosił go znowu, aby mu zerwał owoc, odparł:

— „Pojrzyj na moje ramiona! Czyliż nie rzekłeś, że twoje nie dosięgą owocu? Służ mi, iżbym cię nie pożarł!

Odtąd młodszy brat służył starszemu. Lecz

odkrycie, które ten zawdzięczał lwu, nie było radością dla młodszego.

I tak pozostało aż po dzień dzisiejszy.

Druga historja o autorytecie.

.....
Wyszła służąca na spacer z dziećmi swego pana.

Polecono jej, aby dobrze nad niemi czuwała. A oto dzieci nieposłuszne były i odbiegały, tak że daremną była jej piecza i próżną — troskliwość.

Tedy z *niczego* stworzyła czarnego psa. Pies ten miał ugryźć każde dziecko, które się od niej oddali. I dzieci bały się psa i stały się nagle bardzo posłuszne i nie oddalały się od niej. W rozwadze serca uznała bóstwo, które sama stworzyła, i patrz oto, było bardzo dobre.

Aliści dzieci oszalały ze strachu przed owym psem.

I są szalone aż po dzień dzisiejszy.

Trzecia historia o autorytecie.

Pewien podróżny wiózł ładunek złota i srebra. Z obawy przed rabusiami zaopatrzył się był w broń. Wziął też ze sobą sługi w wielkiej liczbie— a liczba ich była większa od liczby wszystkich rabusiów w kraju.

Tak dobrą miał broń i tak liczny konwój, że nikt nie zdołałby pozbawić go bogactw.

Nie wiedząc o tym, opadło go kilku rabusiów. Długo jeszcze chyba tego żalowali, jeśli na miejscu od miecza nie zginęli.

Jeden z rabusiów, przykładem braci mądry, poszedł po radę do świętego pustelnika. A znał pustelnik radę we wszelkiej potrzebie, bowiem długo przebywał sam z dwiema trupiami kośćmi i z dzbanem wody.

— Jak mam czynić, o święty mężu, by zawładnąć skarbami tego podróżnego.

— Środek — bardzo prosty! — odrzeknie pustelnik. Zarzuć mu na szyję stryczek, który ci dam, natenczas nie będzie już stawiał oporu. Rozkaże sługom swoim, by padli przed tobą na ziem i odda ci, czego zażadasz.

I stało się jako rzekł święty mąż. Alieści smutny był los podróżnego i jego towarzyszy.

Ten stryczek... zachował moc aż po dzień dzisiejszy.

Czwarta historia o autorytecie.

— Powiedz mi, ojcze, dla czego słońce nie spada?

Ojciec zawstydził się, nie wiedział bowiem, dla czego nie spada słońce i skarcił dziecko, ponieważ wstydził się.

Dziecko bało się gniewu ojca i nigdy się już o nic nie zapytało: ani o to, dla czego nie spada słońce, ani o inne rzeczy, których jednak było ciekawe.

Dziecko to nie stało się nigdy mężem, aczkolwiek żyje sześć tysięcy lat... co mówię, znacznie dłużej...

Pozostało głupie i tępe aż po dzień dzisiejszy.

Szósta historia o autorytecie.

Oto urodziło się po raz pierwszy dziecko! Matka była w zachwycie, a i ojciec spoglądał na nie z serdeczną miłością.

— Lecz powiedz mi, Gienjusz, czy zawsze pozostanie takie małe — pytała matka. Po chwili zaś dodała: „Sama nie wiem, mam li tego pragnąć? Chciałabym oglądać w nim człowieka, a jednak żalby mi było, gdybym go ani nosić, ani pierśią własną karmić nie miała!”

— Dziecko twoje wyrośnie na człowieka, — rzekł Gienjusz. Pierś twoja nie zawsze żywić je będzie. I nie zawsze nosić je będziesz na rękach!

— O, Gienjusz, zawołała przerażona matka, czyliż odejdzie mnie dziecię moje? Czy oddali się, gdy chodzić potrafi? Co mam czynić, aby nie odeszło mnie dziecko moje, gdy już chodzić potrafi?

— Kochaj twoje dziecko — odparł Gienjusz — a nie odejdzie cię.

I stało się. I było tak przez jakiś czas. Aliści dużo na świat przyszło dzieci. I ciężyla wielu rodzicom miłość dla wszystkich dzieci.

Tak tedy wymyślono przykazanie, które miało zastąpić miłość — jak wiele innych przykazań. Bowiem łatwiej jest dać nakaz niżli miłość.

Czczij ojca i matkę swoją!

Dzieci opuszczały rodziców, skoro tylko umiały chodzić. Do rozkazu dodano obietnicę:

Abym ci się dobrze działo na ziemi!

I natenczas kilkoro dzieci pozostało przy rodzicach.

Lecz nie pozostały w myśl słów pierwszej matki i w myśl pytania, jakie zwróciła do Gienjusza: „Co czynić mam, aby nie odeszło mnie dziecko moje, gdy już chodzić potrafi?”

I tak jest aż po dzień dzisiejszy.

Ósma historia o autorytecie.

Thygater*) doiła krowy swego ojca i dobrze je doiła, bowiem mleko przez nią przynoszone do domu dawało więcej masła od mleka, które bracia jej przynosili do domu. Wytłumaczę ci, jak się to działo, Fancy, lecz dobrze uważaj, na wypadek, gdybyś sama kiedyś miała doić krowy. Lecz mówię ci to nie dla tego, abyś *tak* doiła, jak Thygater, lecz aby ci wskazać przykład jej braci, którzy lepiej czynili, mniej dobrze dojąc. *Rozumniej* czynili.

Zanim młodzi przychodzą na pastwiska i to długo, zanim przyjdą, krowy stoją u ogrodzenia, czekając, aby je oswobodzono od nadmiaru, który

*) Po grecku: córka; w sanskrycie — dziewczyna od krów.

przygotowały właściwie dla cieląt swoich. Wszakże ludzie zjadają cielęta, „ponieważ taką w tym kierunku czują przydatność” — i natenczas zbyt wiele w wymionach nagromadza się mleka.

Cóż się dzieje tedy, gdy tak z głupimi minami czekają krowy u ogrodzenia? Oto lżejsza część mleka — śmietanka, tłuszcz, masło wznosi się w górę i oddala się tym sposobem od brzegów wymienia.

Kto więc doić będzie cierpliwie aż do ostatniej kropli, przyniesie do domu tłuste mleko. Komu spieszno, nie wydoi śmietanki.

I patrz oto, Thygater nie śpieszyła się, lecz spieszili się jej bracia.

Twierdzili bowiem, że mają prawo do czegoś innego, że dojenie krów ojcowskich nie wyczerpuje ich praw. Ona wszakże nie myślała o takim prawie.

— Ojciec nauczył mnie strzelać z łuku — mówił jeden z braci. — Mogę żyć z łowów. Pójdę w świat i dla siebie będę pracował.

— Mnie nauczył łowić ryby! — rzekł drugi. Byłbym głupi, gdybym całe życie doił dla innego!

— Pokazał mi, jak buduje się czółno! — zawołał trzeci. Zetnę drzewo i siądę sobie na nim, na wodzie. Chcę wiedzieć, co jest po tamtej stronie jeziora.

— Co do mnie, mam ochotę zamieszkać z jasnowłosą Gyne*), — oświadczył czwarty, — abym miał własny dom i w nim dziewczyny, któreby dla mnie doily!

Tak więc każdy z braci miał jakieś swoje pragnienie, życzenie, *wolę*. I tak byli przejęci swojemi upodobaniami, że szkoda im było czasu na gruntowne dojenie krów. Zasmucone krowy musiały zatrzymywać śmietankę, która w ten sposób nikomu nie przynosiła pożytku.

Jednakże Thygater doila aż do ostatniej kropli.

— Ojcie! — zawołali wreszcie bracia — idziemy!

— A kto będzie doił? — zapytał ojciec.

— Jako *kto?* Thygater!

— A jeśli i jej zechce się jazd, rybołówstwa, łowów, podróży po świecie! Co będzie, jeśli i ona będzie miała ochotę zamieszkać z czymś ciemno lub jasnowłosym, aby mieć własny dom i wszystko, co do domu należy? Bez was mogę się obejść, bez niej jednak *nie...* jakoże mleko, które ona do domu przynosi, jest takie tłuste.

Poczym, namyśliwszy się, rzekli synowie:

— Ojcie, *nie ucz jej niczego*. Będzie natenczas wiecznie doila aż do końca dni. Nie pokazuj jej,

*) Po grecku — kobieta.

jak to naciągnięta cięciwa, kurecząc się, odpycha strzałę: nie zapragnie łowów. Ukryj przed nią właściwości ryb, które chwytają ostry haczyk, gdy powleka go odrobina mięsa: nie przyjdzie jej^{na} myśl zarzucać wędkę lub sieć. Nie ucz jej, jak to wydrążyć można drzewo i przeprowić się nim na drugi brzeg jeziora: nie zatęskni za tym drugim brzegiem. I niechaj nigdy się nie dowie, że można dospołu z kimś jasnowłosym lub ciemnowłosym założyć dom i posiąść wszystko, co do domu należy! Niechaj nigdy się o tym nie dowie od ciebie, ojcze, natenczas pozostanie przy tobie i mleko twoich krów tłuste będzie! Nam jednak... pozwól odejść, ojcze, każdy z nas niech idzie drogą swego pragnienia!

Tak mówili synowie. Ojciec wszakże, który był człowiekiem ostrożnym, odparł:

— Dobrze, ale jeśli dowie się o tym wszystkim od innych? Co będzie, jeśli ujrzy muchę przeprawiającą się na gałązce przez wodę? Co — jeśli ściągnięta nić jej przedzy wyprostuje się i ściągawszy się znowu nagle porwie niespodzianie kłębek wrzeczona? Co — jeśli dojrzy, jak ryba, która na brzegu strumienia chwycić chce wijący się owad, wskutek chciwości rzutu, zamiast na ofiarę swoją wbija się na ostrą pochwę sitowia? I co —

wreszcie, jeśli znajdzie gniazdko, które w maju wiją sobie skowronki w koniczynie?

Synowie zamyślili się i po chwili rzekli:

— To wszystko niczego jej nie nauczy, ojcze! Jest za głupia, ażeby czerpać z wiedzy pragnienie. I my nicbyśmy nie wiedzieli, gdybyś nas nie był pouczył, ojcze!

Lecz ojciec odparł:

— Nie, głupia nie jest! Obawiam się, że *sama z siebie* nauczy się tego, czego wy nie zdołaliście się nauczyć beze mnie. Thygater nie jest głupia!

I synowie zastanowili się znowu, zastanowili się głębiej i rzekli:

— Powiedz jej, ojcze, że *wiedzieć, pojмоваć i pożądać...* grzechem jest dla dziewczyny!

Tym razem odpowiedź zadowolila przeostrożnego ojca...

Pozwolił pójść synom na ryby, łowy, w daleki świat, w swaty... wszędy pójść im pozwolił...

Lecz córce, Thygater, zakazał *wiedzieć, pojмоваć, pożądać* i Thygater w prostocie ducha doła krowy do końca dni.

I tak jest aż po dzień dzisiejszy.

Dziewiąta historia o autorytecie.

Hassan sprzedawał daktyle na ulicach Damaszku. Mówiąc, że sprzedawał daktyle, chcę właściwie powiedzieć, że ich *nie* sprzedawał, bowiem daktyle jego były tak drobne, że nikt ich kupować nie chciał.

Z przykrością i zawiścią patrzył na pokup, którym cieszył się bogaty, a jedną z nim zamieszkujący matę, Aouled. W Damaszku bowiem mieszkano na matach, bardzo przestronnych, ponieważ nie miały dachu. Bogactwo Aouleda stanowiły tedy nie domy lecz ogród tak żyzny, iż daktyle, jakie wydawał, dorównywały wielkością trzem zwykłym daktylom. I dla tego, ktokolwiek przechodził, kupował daktyle Aouleda, nie zaś daktyle Hassana.

Wówczas zjawił się w mieście derwisz, który posiadał za dużo mądrości a za mało jadła. Wymieniał mianowicie mądrość swoją na pożywienie i oto upragniona przez niego wymiana miała na dobre wyjść Hassanowi.

— Daj mi jeść — rozkazał mu derwisz, a uczyń dla ciebie, czego żaden kalif uczynić dla ciebie nie potrafi. Zmuszę lud, aby kupował twoje dak-

tyle, sprawię bowiem, że będą wielkie, większe od owoców Aouleda. Jakiej wielkości są daktyle Aouleda?

— Niestety, derwiszu, zesłanniku Allaha — całuję wasze stopy — Niestety, daktyle Aouleda — oby Allah skarał go kurezami — są trzy razy większe od zwykłych daktyli! Wnijdziecie na moją matę, skrzyżujcie nogi, bądźcie pozdrowieni i nauczcie mnie, co mam czynić, aby urosły moje daktyle i aby lud musiał je kupować!

Hassan mógłby się być zapytać, dla czego derwisz, taką posiadając umiejętność, był jednak głodny.

Lecz Hassan nie zwykł był dokuczać. Postawił przed gościem gotowaną skórę — resztki ukradzionego koźlęcia.

Derwisz jadł, zjadł do syta i rzekł:

— Owoce twojego sąsiada są trzy razy większe od zwykłych daktyli... jak duże mają więc być twoje daktyle, o Hassanie, synu... nie wiem czyj synu!

Hassan zamyślił się na chwilę i odparł:

— Allah niech was obdarzy dziećmi i bydlęm. Chciałbym, aby moje daktyle trzykroć przerastały wielkość, jaką wy im dać możecie.

— Dobrze — rzekł derwisz. — Oto jest ptak, którego przywiozłem z dalekiego wschodu. Powiedz mu, że każdy z twoich daktyli równa się wielkością trzem twoim daktylom.

— Życzę wam żon i wielbłądów, o derwiszu, który wydzielasz miłą woń oliwek— ale cóż z tego, że powiem temu ptakowi, czego niema?

— Uczyń wedle słów moich — odparł mądry mąż. — Po to jestem derwiszem, abys mnie nie pojmował.

Hassan życzył ptakowi długości piór i nazwał go *Rochem* *). Lecz nie był to bynajmniej *roch*. Był to mały ptak, przypominający może kruka, ptak o ruchliwym języku i skocznym chodzie. Derwisz przywiózł go był z Sumatry, dokąd znowu przywieźli go kupcy, którzy przyплыnęli morzem z kraju, gdzie ludzie podobni są do murzynów, chociaż kraj to od Afryki odległy. Hassan dla tego nazwał ptaka „*rochem*”, ponieważ wiadomym mu było, że osobnik, od którego się czegoś żąda, puszy się. I naodwrot. Potrzebujący—kurczy się. Tak przy najmniej działo się w Damaszku.

*) Ptak - olbrzym w mitologii wschodniej: obecne *wieże* w szachach były dawniej słoniami, a jeszcze dawniej *rochami*. Stąd i dziś jeszcze w języku niemieckim *wieża* zwie się *Roche*.

Hassan skurczył się tedy i rzekł:

— Niewolnikiem twoim jestem, o rochu! Ojciec mój był psem... a każdy z moich daktyli jest tak wielki jak trzy moje daktyle!

— Dobrze! — powiedział derwisz. Mów tak dalej i bój się Allaha!

I Hassan w dalszym ciągu powtarzał to samo. Bał się Allaha i ustawicznie opowiadał ptakowi o bajecznej wielkości swoich daktyli.

I cnota znalazła nagrodę. Zanim kalif zdążył trzy razy zgładzić ze świata wszystkie mieszkanki swego haremu... zanim zdążyły matki przygotować należycie córki do konstantynopolińskiego targu... zanim Hassan zdołał ponownie spotkać zbłąkanego kozła, któryby był mu towarzyszem i utrzymał go przy życiu na wiadomej macie — ptak zawołał:

— Ojciec mój był psem...

Nie było to koniecznie potrzebne, ale powtarzał słowa Hassana.

...Ojciec mój jest psem, niech wzrosną pióra, daktyle Hassana, ben...

Nie wiem, jak się nazywał ojciec Hassana, lecz skoro był psem, mniejsza o to.

...Daktyle Hassana są trzy razy większe, niż są istotnie!

Znaleźli się i tacy w Damaszku, którzy śmieli wątpić. Lecz trwało to niedługo. Było mianowicie w głosie ptaka coś, co wstrząsało powietrzem, wpływając w ten sposób na załamywanie się promieni.

Daktyle rosły... w oczach każdego!

A ptak wołał, wciąż wołał:

— Daktyle Hassana są trzy razy większe niż są istotnie!

I rosły. Prześcigano się wzajem w porywaniu owoców.

Aouled zaś mocno schudł. Natomiast Hassan kupił siłę kozłów i jagniąt i wybudował dach nad swoją matą. Stał się bardzo uczciwy i był zdania, że hańbą jest, gdy ktoś, kto nie ma własnych jagniąt, zjada któreś z jego trzody. I w dalszym ciągu bał się Allaha.

Pobożność i bogactwo zawdzięczał tedy matemu ptakowi, który ustawicznie powtarzał te same słowa i mocą powtarzania z kłamstwa czynił prawdę. Każdy uważał, że daktyle Hassana są duże, każdy chciał je kupować, każdy...

Każdy, z wyjątkiem samego Hassana, który potajemnie kupował dla siebie daktyle Aouleda i był jedynym Aouleda klientem.

I tak jest aż po dzień dzisiejszy.

Dziesiąta historia o autorytecie.

Dokończę historii o autorytecie

Między wschodem Fryzji a Skaldy wodami
leżał grabieży kraj

.

Rozmowa z Japończykami
(1862).

* Rozmowa Multatuli'ego z przedstawicielami po-
selstwa japońskiego w Haadze.



Bylem u Japończyków i jadłem z nimi śniadanie. Przedewszystkiem zapytali mnie, ktom zacz i czym jestem? Podałem kartę wizytową: MULTATULI, gienjusz. Sekretarz notował. Zerknąłem w stronę jego książeczki i spostrzegłem, że umieścił mnie w rubryce: „osobliwości przemysłowe” bezpośrednio pod owym ułamkiem broni, który, gdy go w Delft w ich oczach stopiono, zlał się następnie z bronzem.

— Gienjusz?... cóż to za zawód?

Chrząknąłem, odkaszlnąłem, wysapałem się i wreszcie rzekłem zupełnie sprostą:

— Nie wiem, o Kami!

— Czy umiecie robić zegarki?

— Nie, Kami.

— Albo parasole?

— Nie, Kami.

— A więc zegarki ze sprośnemi obrazkami? *).

— Niestety, nie, Kami!

— Czy rozumiecie się na cesarskim cięciu?

— Ani trochę, Kami!

Jednakowoż w tejże chwili zaświtał mi sens ostatniego pytania i zanim jeszcze zdołała wejść służąca, którą kazał był zawołać, aby przekonać się o moim w tym kierunku uzdolnieniu, zawołałem z zarozumiałością człowieka mniemającego, iż uczyił nowe odkrycie:

— Oto co, Kami: jestem opacznie urodzony!

Sekretarz znowu zanotował. Rubryka: osobliwości natury.

Umieścił mnie pod Malcolmem z „Macbeth”.

— Opacznie urodzony, dobrze. Ale co umiecie robić?

— Od czasu do czasu umiem powiedzieć prawdę, o Kami!

Całe poselstwo przeraziło się i spojrzało na mój brzuch. Brzucha nie było. A więc oto jedyny powód, dla którego go nie rozpruto... Bowiem — wyznali to z japońską otwartością — gdzie niczego

*) Były to zegarki o podwójnym wieku. Spodnie wieko ukrywało sprośną minjaturę. Wywożono mnóstwo takich zegarków do Japonji.

niema, tam i kłamstwo traci prawo mordowania prawdy.

— I wiele wam to przynosi dochodu? zapytał z uprzejmym współczuciem Kami.

— Żadnego mi to nie przynosi dochodu, o miły Kami!

I znowu sekretarz zapisał w swojej książeczce: „Prawda jest w Holandji tak tania, że się za nią nie płaci. Aliści, którzy jej dostarczają, nie mają brzucha”.

— Zjedlibyście może z nami śniadanie?

— Z przyjemnością.

I zająłem miejsce między jednym Kami a drugim. Inni zaś siedzieli rzędem obok siebie według japońskiego zwyczaju. Na szarym końcu stołu siedział również Kami. I rozpoczęła się rozmowa, którą, o ile mogę najwierniej, powtarzam.

— Powiedz mi jednak opacznie urodzony gienjusz, wiele jest bogów?

— Dokładnie powiedzieć ci tego nie mogę, Kami. Poczekaj... Norwegja, Szwecja, Danja, Anhalt-Dessau, Hildburghausen, Monaco...

— Ależ to geografja. Pytałem was o bogów... nazywacie to tu, o ile mi się zdaje, teologją.

— Rozumie się, Kami. Lecz teologja opiera się na geografji i to na geografji politycznej. Każde państwo ma swego boga lub też dwóch...

starożytnego i nowożytnego... Bóg Niderlandów jest najlepszy...

— Dowód?

— Kami, tak napisane jest we wszystkich niderlandzkich podręcznikach szkolnych... Czy to japońska herbata, o Kami?

— Tak, dostarcza nam jej Otto Rulofs, który ma też skład w Yeddo. Smakuje wam ta herbata, o opacznie urodzony?

— Tak, pachnie jak łąka... w trzy dni po sianokosie.

Zgromadzeni klasnęli w dłonie z zachwytem, mniej więcej jak holenderczyk, który opiera swoją narodową dumę na wwiezionej i wywiezionej z Klonji wódce szedamskiej.

— Herbata jest radością serca, o Kami.

— Co nazywacie sercem, mężu, w złą urodziny godzinę?

— Jest to księga bez kartek, w której napisano jest wszystko, co czynić i czego czynić nie należy.

— Można ją dostać w wypożyczalniach?

— Nie, Kami, nie wypożyczają jej, natomiast sprzedają ją nieraz, zwłaszcza, gdy źle jest napisaną.

— A jak radzi sobie ten, kto ją sprzedaje?

— Używa tymczasem „zasad”, dogmatów, zwyczajów, ogląda się na „opinje”.

— „Opinja” — któż to taki?

— Jest to wielogłowe zwierzę. Żywi się kwiatami i owocami — i to najpiękniejszymi, o Kami, a wydziela jad, wręcz przeciwnie niż pszczoły, które z jadu czerpią miód. „Opinja” jest żelazcem, gdy uderza, — mgłą, gdy chcesz odeprzeć razy. „Opinja” — to człowiek, którego niema. „Opinja” odzywa się, gdy nikt nie pyta, zapytana — milczy. „Opinja” kryje się po kątach, które są mniejsze od niej: chcesz ją wydobyć z kryjówek — znika jak plu...

— Wiem już — byliśmy w Paryżu... Ależ macie chyba proszek perski?...

— Rozumie się, łaski pełny Kami, lecz proszek ten wtedy dopiero pomaga, gdy „opinja” wyzionie ducha. Moznaby ją przepędzić, gdyby nie to, że przed porażką napewno umrze — pogrzebiona i zapomniana. O to zawsze dba. Natenczas na jej miejsce zjawiają się inne „opinje” i sądzę, że za pomocą kilku tysięcy funtów żelaza, jakie w kształcie lalki ustawią na którymkolwiek z rynków, odkupioną jest wina starej „opinji”. A właściwie tak nawet nie sądzą. Chciałyby tylko przedstawić się w korzystniejszym niż tamta świetle. Nieszczerość takiego uznania przebija się między innymi i w tym, że te same „opinje”, jakie ofiarują oto żelazo, a ku-

pują je za nieuczciwie zdobyte pieniądze, rzucają jednocześnie kamieniami na jednostki, które nieco później do podobnego żelaza miałyby prawo.

— Więc jakżeż się ratujecie?

— Ciężko nam to przychodzi, o Kami, który przybywasz zdaleka. Jedni prowadzą walkę do upadłego — to właśnie ci opacznie urodzeni — inni, i to największa liczba, przechodzi do obozu „opinji”, chociaż w cztery oczy nikt się do tego nie przyzna. Przeciwnie, każdy będzie występował przeciwko „opinji”, jak gdyby nie był jej sojusznikiem.

— Jakżeż więc rozpoznajecie sojuszników „opinji” od jej wrogów?

— Najłatwiej po brzuchu... którego ci ostatni nie mają, o badawczo usposobiony Kami! Kto ma brzuch gruby, okrągły, formosus, t. j. w kształtach doskonały, o Kami, — a brzuch ten jest nierozcięty, niby tom kazań — należy najpewniej do „opinji”. Kto zaś nie ma brzucha, jest opacznie urodzony. Źle jest, o Kami, co mądrość zbierasz jako ptak — wodę — źle jest, Kami! Dzieje się tu tak samo jak z przyzwoitością, ową panną towarzyską...

— Przyzwoitość? Cóż to takiego?

— Jest to coś niby zarys zewnętrzny, oznaczający i zastępujący treść, ponieważ tańszy jest zarys zewnętrzny niżli treść. Przyzwoitość — to

słoma, owinięta w papier z napisem: „Tylko przedni towar po cenach fabrycznych” — co umożliwia otwarcie sklepiku z bardzo małym kapitałem. Przyzwoitość, przystojność — to marka do gry, marka, która wyraża pewną określoną wartość a nie da się wymienić na pieniądze. Przyzwoitość — to cnota platynowa...

— Aha, cnota! Pozwólcie jeszcze filiżankę herbaty, o rozprucia godny mężu... pijcie, radujcie się, wyciągnijcie nogi i powiedźcie mi, co to jest cnota?

— Chętnie to uczynię, o Kami, ale... niebezpieczna to rzecz, zaprawdę! Przysięgniecież mi, Kami, że z tego, co wam powiem o cnocie, nie powtórzycie nikomu ani słowa? Że nie powtórzycie tego ani królowi, ani ministrowi, ani właścicielowi waszego hotelu, ani dziewczynie, którą kazaliście właśnie zawołać, ani służącemu, który wam czyści buty?

— Nie nosimy butów, mówcie śmiało, mężu bez brzucha, mówcie bez trwogi! Gdybyśmy nawet nosili buty, nie powtórzylibyśmy waszych słów nikomu. Co to jest cnota?

— Kami, nie wiem, co to jest cnota!

— Domyślałem się tego, słysząc, że nie umiecie nawet robić zegarków ze sprośnymi obrazkami.

Skoro wszakże nie wiecie, co to jest cnota, dla czego baliście się, że powtórzemy, czego sami powiedzieć nie umiecie?

— Właśnie dla tego, o chciwy cnoty Kami, Kami [sprośność lubiący... na zegarkach. Właśnie dla tego. „Opinja” wie napewno, co to jest cnota; „opinja” prześladuje opacznie urodzonego, który tego nie wie.

— Więc powiedźcie mi, mężu, co macie duszę opacznie urodzoną, powiedźcie mi więc, co „opinja” uważa za cnotę?

— To co innego, o Kami, moralnej godności pełen, lecz opowiadanie moje będzie długie, „opinja” bowiem często się zmienia, a jednocześnie zmienia się i jej cnota. Zagingło wiele z cnót „opinji” — nie zapisuje się ich po największej części, Kami,— lecz o tych, które pozostały, o ile wiem tylko, wszystko opowiem.

Na początku cnota była... niczym. Ludzie byli cnotliwi, póki nikt nie mówił o enocie... Krowa jadła trawę, chociaż nikt nie powiedział zwierzęciu, jak ma trawę tę przerobić na mleko i masło. Postępowano dobrze... aż oto zjawili się ludzie, którzy jęli dawać wskazówki, jak krowa *powinna* jeść trawę i jak postępować *należy*. Wskazówki dla krów nie przyniosły szkody. Głupie zwierzęta nie

czytały ich. Jest to wielka cnota krów, o Kami! Lecz „opinja” przeczytała wskazówki, gwoli własnej cnoty. I było to pierwszą *niecnotą* „opinji”, o Kami, który pijesz wiedzę jak napój poranny. Bowiem z natury człowiek był dobry. Lecz „opinja” zaczęła opowiadać, *co jest dobre* i od tej chwili miała tyle cnót, ile głów: a więc legjon — jak już powiedziałem, o Kami, w rzeczach niepojętych biegły! Matka kochała swoje dziecko. Ogłoszono: Słuchajcie, o matki, *będziecie* kochały wasze dzieci! Gdy więc matka bardzo kochała dziecko, dziecko myślało sobie: „Musisz mnie kochać, tak ci *kazano*.” Natura sama stwarzała serdeczność w stosunku płci. To samo czyniła wśród gęsi, które razem czuwają nad młodem. Gęsi nie zmieniły się, nie było bowiem nikogo, ktoby im dyktował przepisy. Słowem, o Kami, który uprzejmością dorównywaś małżonkowi siedzących na jajach gęsi, słowem — czy jesteście żonaci, o Kami?

— Nie, mężu opaczego pochodzenia!

— Nic to, Kami, który byłbyś równie uprzejmy w położeniu gęsiora... cnota zniknęła z chwilą, gdy „opinja” zaczęła o niej mówić, podobnie jak pierzcha cisza wskutek gadania o ciszy.

Zrobiono cnoty i one to wyrugowały cnotę. Zaś sfabrykowane cnoty zmieniały się każdego sezonu,

co więcej każdego tygodnia. Co dziś jeszcze było cnotą, jutro niecnotą się zwało i naodwrot. Ktoby się dziś ubrał w cnotę zeszłoroczną, byłby niemodny i uchodziłby za opacznie urodzonego. Kto ubiera się w cnotę przyszłości, będzie wygwizdany jak muzyka Wagnera w Paryżu. Rzecz główna, aby ubierać się w cnoty dnia. Kto się tego trzyma, jest modny—cnotliwy.

Przed dawnymi laty np., o Kami, który rozdał w darze jedwabne materje, przed laty wierzono w Jowisza, Wenerę, Westę i tym podobne rzeczy... letnie tkaniny, które przędli poeci na świeżym powietrzu. Były w tych tkaninach tu i owdzie piękne rysunki—lecz barwa ich zatarła się na mrozie. Poczym trwał przez długi czas zamęt w sferze rozmaitych innych obrządków...

— Pytam was o cnotę, mężu pojęcia wikłający... pytam o cnotę, mówicie mi zaś o obrządkach...

— Macie słuszość, Kami, któryś jest księciem w sztuce subtelnego odróżniania pojęć. Niegdyś tu i owdzie pozeranie bliźnich było cnotą. „Opinja” sprzeciwiła się temu, orzekając, że *palenie* bliźnich jest lepsze... jakoże takie jest wesole. Bowiem ogień daje światło, o Kami, który jak gąbka wssasz wiedzę przyrodniczą, światło zaś rozjaśnia.

„Opinja” paliła każdego, kto miał inne, niż ona cnoty. W końcu ta ciągła iluminacja stała się nudną—możecie ją sobie wyobrazić, Kami,— skoro oprowadzano was po parku, przed namiotem, drogą oświetloną długim szeregiem płomieni gazowych,— iluminacja stała się nudną i odcinano ludziom głowy, co dla wielu było małą stratą. Później wynaleziono inne jeszcze środki, które miały skłonić ludzi do przyjęcia cnot „opinji”...

— A jakież cnoty dziś są w modzie, o niecnotliwie urodzony mężu?

— Zauważyliście, o Kami, który pożądamie ostatniej kropli z naczynia mojej inteligencji, że wzdragalem się mówić wam o tym przedmiocie. Nie udało mi się uspić waszej bystrości, bo oto wdziera się do głębin mojej duszy, niby urzędnik podatkowy—do dna kasy. Lecz zanim mówić zacznę o cnotach dnia, żądam od was woczystejszej przysięgi, o Kami. Przysięgnijcie mi na...

— Dobrze, dobrze, przysięgamy... Przysięgam, i Kami przysięga, i Kami siedzący tam w kącie również.

— Przysięgacie, że mnie nie zdradzicie?

— Przysięgamy, o mężu, dzięki opacznemu urodzeniu małostkowy.

— Słuchajcie mnie tedy, wy, Kami, co stoicie na czele dalekiego poselstwa, i wy, Kami, co stoicie pośrodku, i wy, Kami, co stoicie w ogonie poselstwa: obecnie istnieją dwie cnoty. Imię ich *czystość* i *uczciwość*. I te dwie cnoty stanowią jedną. Imię zaś tej cnoty...

— Mów dalej, mężu, który tak dziwnie przedstawiasz rzeczy...

— Imię tej cnoty, o Kami... czy nie moglibyście pożyczyć mi kilka tysięcy taelów? *).

— Niepodobieństwo: wydaliśmy właśnie ostatniego taela.

— W takim razie nie mogę wymienić nazwy tej jednej cnoty, o Kami, myślelibyście bowiem, że mam was za człeka niecnotliwego, ponieważ wydaliście ostatniego taela.

— Nie weźmiemy słów waszych do siebie. Jesteśmy Japończykami i wystarcza nam cnota japońska. Powiedz tedy człowieku o opacznej duszy...

— Imię tej cnoty, o Kami...

Wtym wszedł służący, niosąc gazetę.

*) Moneta japońska.

— Czy nie przeczytalibyście i nie objaśnilibyście nam gazety, wy, co cudzoziemcem jesteście w miejscu swego urodzenia?

— Z przyjemnością, cnotliwy Kami!

— Dla czego nazywacie mnie cnotliwym?

— Widziałem, Kami, że służący, który przyniósł gazetę, wręczył wam jednocześnie list. List ten otworzyliście i ujrzałem odbłask cnoty na waszym obliczu w chwili, gdy z listu wyłonił się weksel — i ucieszyłem się radością waszej duszy. Dla tego nazwałem was cnotliwym.

— A czystość?

— I na nią przyjdzie kolej, o Kami. Weksłem waszym... opiewa na ile?

— Na trzysta tysięcy taelów.

— Weksłem waszym pokryjecie wszystkie wykroczenia przeciwko wstrzeźliwości, które to wykroczenia poczytywanoby wam za nieczystość, gdybyście ich wspomnianym weksłem pokryć nie zdołali. Czy sądzicie, o Kami, który otrzymujecie cnoty wasze za pośrednictwem poczty w walucie wekslowej, czy sądzicie, że rząd niderlandzki, słynący z wszelakiego rodzaju modnych cnót, byłby waszym dostawcą w dziedzinie „sprośności”, gdybyście byli do tego stopnia niecnotliwi, że nie opłacilibyście ich miedzią japońską i tabakierkami

z laku. O nie, Kamil! To samo, co w biedaku byłoby ordynarne, jest dla Niderlandczyków szlachetne, wielkie i czyste, gdy zdobi rząd niderlandzki nie mniej od japońskiego w wylakowaną cnotę zasobny. I więcej powiem wam, Kami... Bądźcie łaskawi wezwać tu waszą pokojówkę. I służącego również. Ale niech wejdą po kolei!

Piewszy przyszedł służący, pokojówka bowiem miała właśnie lekcję japońskiego.

— Powiedz mi, przyjacielu, jest-żeś ty cnotliwy?

— Tak, Panie, jestem bardzo cnotliwy.

— Tegobyśmy po nim nie poznali — zawołało całe poselstwo. Nie wygląda na człowieka, któryby miał okazałe weksle w swoim portfelu.

— Chwilkę, o ciekawi cudzoziemcy, którzy zbyt wysoko stoicie, aby wiekiem pogardzać. Istnieje wielka cnota i mała cnota. Zdaje mi się, że tu oto mamy przed sobą wzór małej cnoty. Powiedz mi, przyjacielu, cnotą nad sługi i pany wyniesiony, jest-żeś ty uczciwy?

— Tak, Panie, najdalej idzie się tą drogą. Do staję tu sześć guldenów tygodniowo i całkowite utrzymanie.

— Oto macie uczciwość w jej najprostszej formie—w formie tak prostej, jak ten daszek, który

zamiast kapelusza zdobi wasze głowy. Człowiek ten oblicza się... Powiedz mi, przyjacielu, wielebyś tak naraz mógł ukraść, gdybyś nie był uczciwym?

— Naraz — może z tysiąc guldenów. Ale wtedy *przepędzonoby mnie*.

— Naturalnie. Dobrze uważajcie, Kami! Człowiek ten zarabia sześć guldenów tygodniowo i całkowite „utrzymanie”. Przyjmijmy, że wyniosłoby ono rocznie pięćset guldenów. Przeciętnie karjera lokajka trwa może trzydzieści lat. Tak tedy wynagrodzenie uczciwości tego człowieka wyniosłoby około piętnastu tysięcy guldenów. Jest tedy w zgodzie z modą dnia, skoro woli to wynagrodzenie od drobnostki, którąby mu przynieść mogła nieuczciwość, że nie wspomnę już o przykrościach z kradzieżą połączonych. Słyszeliście, Kami, że mową mądrości ludowej określił uczciwość jako *najdalej wiodącą drogę*.

— To prawda, cudzoziemcze, któryś niezupełnie pozbawion jest bystrości. Ale chcielibyśmy też oglądać drugie oblicze tej dwuliczej cnoty.

— Na to potrzeba mi pokojówki!

— Gwoli tego cesarskiego cięcia?

— Nie, Kami, gwoli czystości, obyczajności, przyzwoitości.

Służący wyszedł, po chwili zaś zjawiała się po-

kojówka. Była zaróżowiona od wysiłku nad japońszczyzną.

— Proszę Pana, niech się Pan zapyta tych złotych jegomościów, czy to prawda, że ich służący ma kwitnący interes w swoim kraju? I czy mogę na to liczyć, że mnie zabezpieczy, jak się patrzy. Bo nie jestem taka głupia, jak Małgosia, co to teraz chodzi po żebrach z nieślubnym dzieckiem? Także coś! Najpierw muszę wiedzieć co i jak... bo widzi Pan, dbam o dobre imię. I żebym miała tracić dobre miejsce, nie wiedząc napewno, czy nie będę musiała żebrać, jak Małgosia, która światami chodzi, bo już nie jest porządną dziewczyną...

— Dość, porządne dziewczę—możesz iść! Aha, jeszcze słowo: jakże tam idą te wasze japońskie lekcje?

— O, nieźle, proszę Pana... gdybym tylko miała pewność, że ten interes dobrze idzie i że nie będę musiała...

— A holenderskie lekcje?

— Proszę Pana—*on* ma tylko sześć guldenów tygodniowo i „utrzymanie”. Pan pojmuję, że nie mogę, jak Małgosia...

— Dość. Możesz wrócić do lekcji, cnotliwa dziewczoj! — Czy zauważyliście Kami, jak wypeł-

nioną cnotami dnia jest ta sprzątająca pokoje niewiasta — rzekłbyś — rząd holenderski!

— Zauważyliśmy, bezbrzuchy badaczu, co wy-ciskasz prawdę z lokajów i pokojówek. Lecz dwa te osobniki nie są chyba wzorem całości?

— Sądzę, że tak, Kami. Słyszeliście, jak to mądrość ludowa mierzy uczciwość łokciem, zupełnie jak wy, Kami, owe sztuki jedwabiu, których mi nie podarowaliście, — słyszeliście, jak to miłująca cnotę pokojówka uzależnia swoje japońskie studia od zasobności nauczyciela. Tak jest wszędzie, Kami. W wyższych warstwach społeczeństwa nie nazywa się rzeczy po imieniu, lecz w istocie wszystko sprowadza się do... *pieniędzy*.

...Gdybym ja, człek niecnotliwy, kogokolwiek bił, biczował, więził i głodził, uznano by, że postępuję niecnotliwie, pytanoby się mnie bowiem o zyski, a nie umiałbym ich wykazać. Lecz w Haadze widzieliście, że cnota Niderlandów, które bez najmniejszego wstydu czynią to samo, zadowolala siedemdziesięciu przedstawicieli siedemdziesięciu różnych miejscowości. Czyście zauważyli, o Kami, aby zarumienić się ktokolwiek bądź w Izbach z powodu podziału dochodów z kolonji?

— Nie, przyznaję, że ci panowie wydali mi się w sumieniu spokojni. Byli między nimi nie-

którzy o brzuchach... po brzegi wypełnionych cnotą!

— I brzuchy te nigdy nie będą rozprute, o Kami,—a szkoda! Co zaś do drugiej części cnót dnia, cnót, których dwie jest, a stanowią jedną, to i pod tym względem wszędzie widzimy to samo. Oto weźcie gazetę. Czytamy:

Zaślubieni: pan *Jansen* z panną *Petersen*.

Tak tedy panna *Petersen* jest nagle panią *Jansen*. Znaczy to: pan *Jansen* obiecał panie *Petersen*, że nie puści jej kantem, jak się to zdarzyło *Małgosi*. Złożył to przyrzeczenie przed świadkiem w magistracie. I zapisał nazwisko swoje w księdze, aby później kiedyś wiedziano napewno, kto jest ojcem dzieci p. *Petersen*, kto więc opłacać ma czesne i kosztą szczepienia ospy.

Gdyby zaś p. *Petersen* ośmieliła się była zamieszkać z p. *Jansenem* przed tym zapewnieniem, złożonym w księdze magistrackiej lub bez niego, oskarżonoby ją o nieobyczajność. Dzieteczki jej nosiłyby miano nieprawych czyli *naturalnych*...

— A jakże się nazywają dzieci w przeciwnym razie?

— Noszą nazwę nienaturalnych a prawych, o Kami, o nienasyconym duchu. Z nadmiaru nienaturalności dzieci będą prawe. Lecz w gruncie

rzeczy idzie o pieniądze. Gdy p. *Jansen* padł na kolana, aby w przyzwoity sposób zakomunikować p. *Petersen*, że miałby ochotę uczynić z niej matkę swoich przyszłych dzieci, warunkiem obyczajności p. *Petersen* była kwestja, czy p. *Jansen* potrafi ją uchronić od losu *Małgosi*.

Pan *Jansen* posiadał, zdaje się, dobrze idący interes. Gdyby nie miał takiego interesu, a p. *Petersen* odpowiedziałaby była: „Z przyjemnością!”— albo: „Jakiś ty dobry!” albo: „Namyślę się!”— byłaby zupełnie nieobyczajną. Tak jednak jest cnotliwa i nawet bardzo dumna ze swojej cnoty, bo oto, jak widzicie, głosi całemu światu, że mieszka z p. *Jansenem*.

— Kto wynalazł tę cnotę — albo może też różne istnieją zdania co do osoby jej wynalazcy, jak co do osoby wynalazcy sztuki drukarskiej?

— Ani cnota ta ani sztuka ta nie miały wynalazcy. Warunki zmusiły ludzi do przyjęcia czegoś, co już istniało, o Kami! Potrzeba oświaty zmusiła ludzi do szybszego rozpowszechnienia myśli i skorzystano w tym celu ze znanego oddawna sposobu drukowania myśli, którego to sposobu dawniej jedynie dla tego nie używano, ponieważ małe potrzeby nie byłyby pokryły kosztów.

— Czystość zaś, o Kami, co źle uczyniliście,

bieg myśli moich przerywając, czystość nie istnieje. Jest to zastosowanie jednego z wielu sposobów, za których pomocą czyni się z oszczędności zasadę, z drożyzny zaś środków spożywczych — enotę.

Na początku, o Kami, wszystkie dzieci były nieprawe i nie przychodziło nikomu na myśl pogardzać dziewczyną dla tego, że była matką. Podobnie, jak nie przyszłoby nikomu na myśl gniewać się na kwiat dla tego, że pozwolił sobie zmienić się z pączka w kwiecie.

I tak było, póki nie zbrakło ludziom pożywienia.

Dano do zrozumienia młodym dziewczętom, że ich obowiązkiem jest dbać o utrzymanie dzieci.

To zaś podsunęło im myśl, że należy się dokładnie poinformować, czy kandydat na ojca posiada dobrze rentujący interes.

Wielu z pośród kandydatów oświadczało, że mają odpowiednie dochody, i niekiedy oświadczenie to było z prawdą zgodne. Ale byli i tacy, którzy wbrew oświadczeniu nie dbali o dzieci. Udawali, że nie wiedzą o niczym, gdy ta lub owa matka usiłowała skłonić ich do dzielenia trosk o utrzymanie rodziny.

Aby zapobiec temu wypieraniu się przyjętych

obowiązków, postanowiono zaprowadzić *małżeństwo* tak, iżby każdy, kto chciał zostać ojcem, musiał złożyć odnośne oświadczenie. Była w tym dobra myśl, o Kami. Niedobrze wszakże było, że postawiono kwestję tak, iż dziewczyna, któraby wierzyła komuś na słowo, bez owego publicznego oświadczenia, mniej od innej dziewczyny zasługuje na szacunek. Co najwyżej można jej było uczynić zarzut nieostrożności, bowiem pamiętać była powinna, że serca ludzi złe są, o czym wie przecież każdy.

Powiedziałem wam, że na początku było inaczej, Kami. Wynalezienie wyrazu „czystość”...

— Powiedzieliście, że *nie* wynaleziono połowy owej ogólnej, z dwóch cnót złożonej enoty?

— I to samo jeszcze raz powtarzam, o Kami, w nadmiar nieuwagi bogaty. Rzeczy tej nie można było ani wynaleźć, ani odkryć, ponieważ nie istnieje. Lecz *wyraz*, który miał oznaczać ową rzecz nieistniejącą znalazł zastosowanie, gdy potrzebnym się okazał środek odstrasający, środek mający zwrócić uwagę na zmniejszenie poreji, przez wzrost mieszkańców sprowadzone. Niewinne dziewczęta, które obecnie przeraża dźwięk tego wyrazu, nie wiedzą, że dawniej popełniana przez nie nieostrożność nie byłaby uważana za grzech. Ale dla nas

dawne to czasy, Kami! Gdzieindziej jeszcze do niedawna „naturalność” bynajmniej nie była wstydem*). Patrzcie, oto mam doskonałą książeczkę**), z której dowiedzieć się można, że jeszcze przed sześćdziesięciu laty w północnej Ameryce nie znano czystości w znaczeniu, jakie nadał jej głód społeczeństw ucywilizowanych. Niema nieostrożności — tak powiada wódz amerykański — któraby mogła wygnać kobiety za próg domu rodzicielskiego. Wszystko jedno, ile dzieci w dom wniesie: zawsze będzie pozdrowioną — „każdej chwili wyżywi ją kocioł nad ogniskiem zawieszony”. Widzicie tedy, Kami, że cała czystość zawarta jest w owym kotle. Zabierzcie go, a w mig rodzice stworzą wyraz, który będzie przekleństwem dla dziewczyny, co wprowadza do dom dziecię bez zapisanego w księgach ojca.

— Czy czerwonoskórzy do dziś dnia tak myślą?

— Sądzę, że nie, o żółtoskóry Kami! Sądzę, że biali Amerykanie odebrali im chyba wiadomy kocioł,

*) Byłem w krajach, gdzie dzieciobójstwo, popelnione ze wstydu, jest rzeczą nieznaną.

**) Dzieje życia Makatai-Mesheki-Kiak, przetłumaczone u źródeł przez R. Postumusa, Leeuwarden. Nakład D. Meindersma, 1847.

dając im wzamian kilka nowowynalezionych a „cnotcie” pokrewnych wyrazów. Jeśli więc dziś urodzi się tam jakiejś dziewczynie dziecko bezgranicznie „naturalnego” pochodzenia, zabije je niewątpliwie według zwyczajów uprawianych w krajach ucywilizowanych. Czytajcie np., Kami, który pożądalście gazeciarskiej wiedzy: „Na Prinzengracht znaleziono dziś rano zwłoki nowonarodzonego dziecka”. Podobne albo równobrzmiące notatki spotyka się co najmniej każdego tygodnia, — jeśli zaś uprzytomnimy sobie, jak często nie znajduje się noworodków, których niemniej uprzejmie od tamtych powitano, natenczas żal bierze, o Kami, iż z cnotą wynaleziono i powiązano pewne słowa. Zazdrości się Amerykanom kotłów, które, wisząc nad ogniskiem, pozwalały człowiekowi być *człowiekiem*, a zwalniały go od cnoty.

— A jakąż nagrodę otrzymuje taka cnotliwość?

— Żadnej, Kami, i tu znowu rozstrzyga pieniądź. Rodzice i prawodawcy pojmują doskonale, że wynagradzanie cnoty kosztowałoby tyle, ile skutki niecnoty. Oto dla czego uczyniono wynalazek — i znowu wynaleziono słowo, o Kami, — czytaliście moje „Myśli”?

— Jako żywo, nie! Musieliśmy uroczyście

przrzec naszemu nauczycielowi w Yeddo, że książki tej nie tkniemy.

— Natenczas nie wiecie, co powiedziałem w № 88 moich „Myśli”. Oto powiedziałem: „Słowa rządzą światem”, Kami. W braku kotła na ognisku wynaleziono słowo, które ma być cnoty nagrodą. Niech pokojówka wasza prowadzi się najbardziej wzorowo, niech zachowa „czystość”, niech służący wasz będzie w dalszym ciągu uosobieniem uczciwości: z chwilą gdy oboje nie będą mogli pracować, puści się ich kantem zupełnie jak ową niecnotliwą Małgosię, lub jak kogoś, kto był na tyle głupi, że wolał zagarnąć tysiąc guldenów odrazu — mimo połączonych z tym grubych nieprzyjemności — niż otrzymywać przez trzydzieści lat spokojne „utrzymanie”. Różnica występuje dopiero po śmierci. Wówczas — tak mówi „opinja” — opacznie rachujący i Małgosia dostają się na dół, inni — na górę. Czy to prawda, nie wiem. Ci zaś, którzy zajmują się wyznaczaniem miejsc również nie wiedzą, czy to prawda. Co więcej sami w to nie wierzą.

— Skądże wiecie, że nie wierzą?

— Posłuchajcie, Kami! Siedział raz w teatrze człowiek, który chciał widzieć przedstawienie. Lecz to było niemożliwe, przed nim bowiem i za nim siedziało mnóstwo ludzi. Aby lepiej widzieć, a jed-

nak zachować zajęte miejsce — miejsce zresztą dobre, gdyby nie panujący wokoło tłok — postanowił opróżnić miejsca przed jego siedzeniem położone. Cóż miał czynić, Kami? Wymyślił słowo, słowo zaś to mówiło: *Po obecnym przedstawieniu nastąpi widowisko stokroć piękniejsze. Kto teraz zachowa miejsce, nie zobaczy piękniejszej sztuki; kto jednak natychmiast wstanie i wyjdzie, zobaczy tamtą sztukę*”.

Mnóstwo ludzi uwierzyło i opróżniło miejsce.

— A on?

— Kami, rękami i nogami trzymał się swego miejsca. Bał się bowiem, że porwie go tłum, który mu uwierzył i co żywo z zajętych miejsc uciekał, byleby móc zobaczyć późniejszą sztukę.. Zdaje mi się, że stąd wynika, iż człowiek ten w prawdę słów swoich sam nie wierzył. I dla tego, o Kami, nie wierzę słowu tych, którzy głoszone przez siebie cnoty oplacają tak taną monetą. Moneta ta bowiem nic nie kosztuje..

— Na dziś będzie tego dość... Chcielibyśmy obejrzeć jeszcze jakieś osobliwości miasta... szlifiernię kamieni albo dom podrzutków!

— Powiedziałem wam już, Kami, że topi się u nas noworodki. Spodziewałem się po waszej bystrości, że, przebywając w tak cnotliwym kraju, nie

pomyślicie o domach dla podrzutków, które to zakłady psułyby tylko obyczaje.

— A cóż to są obyczaje?

— Są to wzorowe rysunki, przedstawiające cnoty dnia—są to modne odlewy serca.

— Któż je wyrabia?

— To tajemnica — Kami... Lecz teraz pożegniam was... idę pisać „Myśli”. Przyjedziecie jeszcze do Amsterdamu?

— Rozumie się!

— W takim razie mam nadzieję, że spotkam was w „Artis”... t. j. w naszym zoologicznym ogrodzie... w parku... na takiej lub innej wystawie kultury niderlandzkiej. Żegnam was, Kami! Zachowajcie szczęśliwie brzuch!

— Żegnam was, mężu opacznie urodzony! Starajcie się, aby wam urósł brzuch!

— Nie warto, Kami!

Saïdjah i Adinda

sielanka jawańska.

(Z OPOWIADANIA „MAX HAVELAAR”).



ak, jednostajną będzie ta opowieść moja!
Jednostajna — jak opowieść o pracowitości mrówki, co to po przez górę nieść musi do mrowiska zebrany zapas zimowy. Raz w raz w tył się osuwa z brzemieniem i raz w raz usiłuje znowu wspiąć się na ten oto kamyk w górę, na skałę górę wieńczącą. Aliści między nią a wirchem jest przepaść, którą przebyć trzeba... otchłań, której nawet tysiąc mrówek nie wypełni. Dla tego to mrówka, mająca tyle zaledwie siły, by na równej drodze ponieść ciężar stokroć od niej samej cięższy, zmuszona jest prężyć i naprężyć się na chwiejnym gruncie. Gdy przednimi nóżkami podejmie brzemie, nie wolno jej stracić równowagi. Musi je mocno objąć i iść, iść w górę aż do tego

punktu skały, skądby ciężar stoczyć mogła w dół. Chwieje, ślizga, przeraża się, siły ją opuszczają, usiłuje oprzeć się o pień nawpół wykorzeniony, o pień, który koroną zawisł nad otchłanią — o pień-trawę!... Punkt oparcia usuwa się: drzewo - trawa odskakuje, ugina się pod jej ciężarem i oto nieszczęsna stacza się wraz z brzemieniem w dół. Chwilkę, sekundę może — a długi to czas w życiu mrówki—leży cicho. Czyżby ogłuszył ją ból upadku? Czy też może żalność ją bierze na myśl o tak daremnym wysiłku? Wszelakoż nie traci odwagi. Na nowo podejmuje brzemień i wspina się na nowo, by jeszcze raz i raz jeszcze stoczyć się w dół.

Tak jednostajną będzie opowieść moja. Jednakóż mówić chcę nie o mrówkach, których radość i cierpienie niedostępne są grubym zmysłom ludzkim. Chcę mówić o ludziach, o istotach, mających takie jak my uczucie

Ojciec Saïdjaha miał bawołu, za którego pomocą uprawiał pole. Gdy naczelnik dzielnicy Parang-Kudjang kazał mu odebrać tego bawołu, ojciec Saïdjaha zasmucił się bardzo i przez długie dni nie przemówił ani słowa. Bowiem blizki już był czas orki i konieczną obawa, że gdy nie uprawi

się w czas sawahy *), minie bezpowrotnie pora siewu i że, co zatym, nie zetnie się ryżu i nie schowa go się do lombangu **) domostwa.

Ojciec Saïdjaha tedy był pełen troski. Trwożył się, że żona jego potrzebować będzie ryżu i że potrzebować go będzie Saïdjah, który był dzieckiem jeszcze, i braciśzkowie i siostrzyczki Saïdjaha.

I obawiał się, że naczelnik okręgu zaskarży go przed pomocnikiem rezydenta, gdyby nie uiścił w porę podatku od gruntu — bowiem zwłokę taką karze prawo.

Wziął tedy ojciec Saïdjaha kris ***) — drogie po rodzicu dziedzictwo. Kris ten nie bardzo był piękny, lecz pochwę opasywały srebrne wstęgi i koniec jej wyłożony był srebrem. Sztylet ten sprzedał chińczykowi, który mieszkał w rynku i powrócił do domu z dwudziestu czterema guldenami, za które to pieniądze kupił innego bawołu.

Saïdjah, mający podówczas około siedmiu lat, rychło zawarł przyjaźń z tym nowym bawołem. Powiadam z rozmysłem *przyjaźń*, bo w istocie

*) Sawah = pole ryżowe.

**) Lombang = śpichrz.

***) Kris = sztylet.

wzruszający jest widok przywiązania, jakie ma bawół jawański dla dziecka, które go pasie i pilnuje. Silne to zwierzę nachyla posłusznie głowę w prawo, w lewo, w dół—na samo skinienie dziecka, które zna, rozumie, z którym wzrosło.

Taką to przyjaźń mały Saïdjah rychło potrafił wzbudzić w przybyszu i zdawało się, że zachęcający głos dziecka dodaje jeszcze siły potężnemu zwierzęciu, gdy rozrywało ciężką ziemię, znacząc drogę w ostrych, głębokich bruzdach. Bawół chętnie nawracał, gdy stanęło się u kresu roli, nawracając zaś na świeżą bruzdę nie opuszczał ani cała gleby, tak że świeża bruzda znaczyła się za każdym razem tuż obok starej, sawah zaś czyniła wrażenie zoranej przez olbrzyma ziemi ogrodowej.

Tuż obok leżały sawahy ojca Adindy, ojca dziewczęcia, które poślubić miał w przyszłości Saïdjah. I gdy braciszkiwie Adindy dochodzili do granicznego pasa i gdy zdarzyło się, że pług Saïdjaha w tym właśnie zatrzymał się punkcie, dzieci witały się radosnymi okrzykami, wychwalając naprzemian siłę i posłuszeństwo swoich bawołów. Sądzę jednak, że najlepszy był bawół Saïdjaha może dla tego, że nikt jak on nie potrafił przemówić do zwierzęcia. Bawoły bowiem mają dużo zrozumienia dla dobrego słowa.

Saïdjah miał lat dziewięć, Adinda—sześć lat, gdy naczelnik okręgu Parang - Kudjang odebrał ojcu Saïdjaha tego bawołu.

Ojciec Saïdjaha, człek bardzo biedny, sprzedał natenczas dwa srebrne gwoździe do firanek—dzieciństwo żony. Sprzedał je za osiemnaście guldenów i za te pieniądze kupił innego bawołu.

Lecz Saïdjah był bardzo zmartwiony. Od braciszków Adindy dowiedział się bowiem, że poprzedniego bawołu spędzono na rynek — i zapytał ojca, czy nie widział zwierzęcia, gdy szedł sprzedawać gwoździe. Ojciec wszakże nie odpowiedział mu na pytanie. Więc Saïdjah bał się, czy nie zarznięto jego bawołu, podobnie jak zarzynano inne bawoły, które naczelnik okręgu odbierał ludności.

I wspominając biednego bawołu, z którym przez dwa lata żył tak serdecznie, Saïdjah płakał bardzo. I nie mógł jeść, długo nie mógł jeść, bo ścisnęło mu się gardło, gdy łkał.

Należy zważyć, że Saïdjah był dzieckiem.

Nowoprzybyły bawół zapoznał się z Saïdja-
hem i rychło zajął w sercu dziecka miejsce poprzedniego. Właściwie aż nazbyt rychło. Tak prędko ścierają się wrażenia serca, jak gdyby w wosku były pisane i nowym znakom ustępują

miejsca! Wprawdzie bawół był słabszy od poprzedniego... wprawdzie stare jarzmo za szerokie było dla jego karku... nie mniej powolny był jak tamten, którego zarznięto. I chociaż przy spotkaniu z braciszkami Adindy nie mógł już Saïdjah wychwalać nadto siły swego bawołu, to jednak twierdził, że dobrą wolą żadne mu nie dorównywa zwierzę. I gdy bruzda nie wypadła tak prosto, jak dawniej; gdy pług miejscami nie rozorał grudy: Saïdjah chętnie poprawiał braki motyką wedle sił. Nadto żaden bawół nie miał takiego, jak ten, talizmanu. Penghulu *) we własnej osobie orzekł przecie, że jego sierść na tylnej części grzbietu układa się w znaki ontongu **).

Zdarzyło się pewnego razu, że Saïdjah daremnie nawoływał bawołu do pracy. Zwierzę stało jakby przybite. Zdziwiony tym niezwykłym uporem, Saïdjah zaklął... Klnąc, nie miał nic złego na myśli. Użył wyzwiska, ponieważ słyszał, że używali go inni, gniewając się na bawoły. Lecz również dobrze mógł nie kłąć, bo nic to nie pomogło: bawół nie postąpił ani kroku. Podrzucił głową,

*) Penghulu = kapłan.

**) Ontong = szczęście.

jak gdyby otrząsnąć chciał jarzmo... dyszał nozdrzami... sapał, drżał, dygotał, — strach malował się w niebieskich jego oczach, pysk miał otwarty, tak że widoczne były całe dziąsła...

— „Uciekaj, uciekaj! — zawołali nagle bracisz-kowie Adindy, — uciekaj, Saïdjah, uciekaj! Tygrys idzie!”

I wszyscy pozdejmowali bawołom jarzma, wspięli się na szerokie grzbiety i puścili się galopem poprzez pola ryżowe, groble, muł, poprzez gąszcze i zarośla, poprzez wysokie alangowe trawy, wzdłuż pól i dróg. Gdy zaś zadyszani, potem okryci, wjechali do wioski Badur, nie było pośród nich Saïdjaha.

Gdy bowiem, jak inni, dosiadł był oswobodzonego z jarzma bawołu i gdy, jak inni, począł uciekać, niespodziany skok zwierzęcia pozbawił go równowagi i rzucił go na ziemię. Tygrys był bardzo blisko... Bawół Saïdjaha siłą rozpędu odskoczył od miejsca, gdzie na małego jego pana czyhała śmierć. Odskoczył i przeleciał mimo tego miejsca jedynie wskutek gwałtownego biegu, bez woli i zamiaru. Zaledwie bowiem opanował siłę, której podlega wszelaka materja nawet wtedy jeszcze, gdy pobudka stała się bezprzedmiotową, zaledwie więc siłę tę opanował, wrócił i niezgrab-

nym na niezgrabnych nogach opartym cielskiem niby dachem zakrył dziecko. Rogate zaś czoło zwrócił przeciw tygrysowi. Ten skoczył... lecz skoczył po raz ostatni. Bawół chwycił go na rogi, sam tracąc tylko szmat ciała, które mu u szyi poszarpał tygrys. Oto leżał — rozpruty; Saïdjah był ocalony. Istotnie wypisany był ontong na grzbiecie tego bawołu.

Gdy ojcu Saïdjaha odebrano tego bawołu i gdy go zarznięto....

— zapowiedziałem ci, czytelniku, że jednostajną będzie ta opowieść moja!

..... gdy więc bawołu tego zarznięto, Saïdjah liczył już lat 12, Adinda zaś przędła już sarongi *) i barwnym wzorem zdobiła tkaninę. I chodziły jej już po głowie myśli, którym wyraz dawała wzór tkając i wyrażała smutek tkanina, bowiem widziała Adinda, że smutny jest Saïdjah.

I bardzo smutny był ojciec Saïdjaha, lecz najsmutniejszą była jego matka. Ona to przecież leczyła wierne zwierzę z rany, jaką miało u szyi. Przyglądając się tej ranie, wyobrażała sobie nie-

*) Sarong = część odzieży używanej na Jawie zarówno przez mężczyzn jak i przez kobiety.

raz, jak głęboko pazury tygrysa byłyby utonęły w miękkim ciałku jej dziecka, skoro tak bardzo potrafiły rozszarpać twardą skórę bawołu. I okładając ranę ziołami, pieściła bawołu i przemawiała doń przyjaznymi słowy, aby wiedział, jak ogromnie wdzięczną umie być matka. Pragnęła później, aby ją bawół był rozumiał, natenczas bowiem zrozumiałby i żał jej w chwili, gdy go uprowadzano i wiedziałby, że to nie matka Saïdjaha na rzeź go posłała.

Po upływie pewnego czasu ojciec Saïdjaha uciekł z kraju. Bał się kary, która mu groziła, jeśliby nie zapłacił podatku, nie posiadał zaś już żadnego dziedzictwa, za które mógłby nabyć bawołu. Rodzice jego mieszkali w Parang-Kudjang, mało co tedy mogli mu przekazać w dziedzictwie. Rodzice żony jego mieszkali również oddawna w tymże okręgu. Po stracie ostatniego bawołu trzymał się jeszcze jako tako przez kilka lat, orząc wynajętym bydłem. Lecz jest to praca bardzo niewdzięczna a nadewszystko praca przykra dla człowieka, które własne posiadał bawoły. Matka Saïdjaha umarła ze zmartwienia. I wtedy to, w chwili rozpaczki, ojciec opuścił ziemię Lebak i Bantam i poszedł szukać pracy w Buitenzorg. Obito go kijami za to, że opuścił Lebak bez paszportu i do-

stawiono go napowrót do Badur. Tu zamknięto go w więzieniu, mniemając, że postradał zmysły, co nie byłoby dziwne; nadto obawiano się, że wśród napadu matah-glap*) gotów jest popełnić amokh**) lub inne szaleństwa. Lecz w więzieniu pozostawał niedługo, bowiem umarł.

Co się stało z braćmi i siostrami Saïdjaha, nie wiem. Domek, który zamieszkiwali w Badur, jakiś czas stał pustką, poczym runął. Zbudowany był bowiem z bambusu i pokryty liśćmi palmy wodnej. Na miejscu, gdzie tyle cierpiano, siedła garstka błota i kurzu. Jest dużo takich miejsc w Lebak!

Saïdjah miał lat piętnaście, gdy ojciec jego wywedrował do Buitenzorg. Nie poszedł z ojcem, ponieważ roily mu się w głowie większe plany. Słyszał, że w Batawji jest siła panów, jeżdżących na „beundie”, że więc z łatwością znaleźć tam można służbę, do której wybiera się zazwyczaj młodych i niewyrośniętych chłopców, aby zbytnim ciężarem nie naruszali równowagi dwukołowego

*) Matah-glap = przyćmienie oka, pomieszanie.

**) Amokh = czyn popełniony w przystępie szału. Multatuli określa go nazwą „samobójstwa społecznego”. Przyczyną szału bywa zazwyczaj zazdrość lub długo ukrywana złość z powodu prześladowań.

pojazdu. Zapewniano go, że przy dobrym sprawowaniu w służbie tej zarobić można sporo grosza. Może więc w ciągu trzech lat zdoła złożyć tyle, ile potrzeba na kupno dwóch bawołów. Uśmiechała mu się ta nadzieja. Śmiałym krokiem, jak ktoś, kto nosi się z wielkimi zamiarami, stanął po wyjeździe ojca przed Adindą i zwierzył jej się ze swoich planów.

— Pomyśl tylko—rzekł—gdy wrócę, będziemy mogli się już pobrać—będziemy dorośli. I dwa bawoły mieć będziemy w majątku!

— To świetnie, Saïdjah! Chętnie pójdę do ciebie, gdy wrócisz. Będę przędła, tkać będę sarongi i zdobić je wyszyciem—obietuję bardzo pracować przez cały ten czas!

— O, wierzę ci, Adindo! Ale... ale gdybyś za powrotem moim była zameżną?

— Wiesz dobrze, Saïdjah, że nikogo nie poślubię. Ojciec mój przyrzekł mnie twojemu ojcu.

— A ty?

— Z tobą się połączę, bądź pewien!

— Gdy będę wracał, zawołam zdaleka...

— A kto usłyszy wołanie, skoro we wsi tłuc będziemy ryż?

— Prawda. Ale posłuchaj Adindo... mam lepszą myśl: czekaj na mnie w zaroślach, pod drze-

wem ketapanu, gdzie dałaś mi ów kwiat melatti.

— Ale skąd wiedzieć mam, kiedy czekać cię trzeba pod drzewem ketapanu?

Saïdjah zamyslił się na chwilę i rzekł:

— Licz miesiące. Zabawię trzy razy po dwanaście miesięcy. Tego miesiąca nie rachuj. Wiesz co, Adindo, co miesiąc znacz stępę swoją jednym karbem. I gdy tak wyznaczysz trzy razy po dwanaście karbów, w dniu następnym powrócę. I czekać będę pod drzewem ketapanu. Czy przyrzekasz, że cię tam zastanę?

— Tak, Saïdjah, będę cię czekała w zaroślu pod drzewem ketapanu.

Poczym Saïdjah z bardzo spłowielej błękitnej chusty, którą opasywał głowę, urwał szmat płótna i dał Adindzie, by go zachowała. Potym zaś opuścił ją i Badur. Szedł przez wiele dni. Minął Rangkas-Betung, które podówczas nie było jeszcze stolicą ziemi Lebak i minął Warong-Gunung, gdzie mieszkał pomocnik rezydenta, a następnego dnia ujrzał Pandeglang, miasto, rzekłbyś, w ogrodach leżące. A następnego dnia jeszcze przybył do Serang i zadziwił go przepych wielkiej przestrzeni, na której wznosiły się liczne z kamienia budowane i czerwona cegłą pokryte domy. Saïdjah nigdy

jeszcze nic podobnego nie widział. Zatrzymał się tu dzień, gdyż bardzo był znużony, wśród chłodu nocy wszakże poszedł w dalszą drogę i przybył nazajutrz do Tangerang, zanim jeszcze cię siadł na jego ustach. A nosił przecież wielki tudung *), który pozostawił mu na pamiątkę ojciec.

W Tangerang wykąpał się w rzece, nieopodal mostu, i wypoczął w domu człowieka, który był znajomym jego ojca. Ten pokazał mu, jak plecie się kapelusze słomiane — takie same kapelusze, jakie przywożą z Manilli. Pozostał dzień, aby się kunsztu tego nauczyć, myślał sobie bowiem, że ta praca da mu zarobek, gdyby mu się w Batawji nie powiodło. Nazajutrz, z wieczora, gdy zstąpił chłód, podziękował bardzo pięknie gospodarzowi swojemu i ruszył dalej. Gdy ściemniło się zupełnie, tak że nikt go już widzieć nie mógł, wyjął z zanadza liść, w którym przechowywał kwiat melatti, dar Adindy. Zdjął go bowiem smutek na myśl, że przez tak długi czas widzieć jej nie będzie. Pierwszego dnia i drugiego nie czuł tego tak dotkliwie, jakkowiek taki był samotny. Bowiem duszą jego

*) Tudung = okrycie głowy, mające kształt miski. Jawańczycy oznaczają porę dnia według cienia, który tudung rzuca na twarz.

całkowicie władała myśl, że zarobi dużo pieniędzy i że kupi za nie aż dwa bawoły, podczas gdy ojciec jego nie posiadał nigdy więcej nad jednego; i myślał zbyt żywo o powrocie i o umówionym z Adindą spotkaniu, iżby smutek pożegnania zapanować mógł w jego sercu. Nadzieje, jakie żywił, żegnając się, sprawiły, że chwila rozłąki zlewała się w wyobraźni jego z chwilą spotkania pod drzewem ketapanu. I tak żywą była w nim ta nadzieja, że gdy, opuszczając Badur, przechodził koło tego drzewa, uczuł w sobie taką radość, jakby minęło już owych trzydzieści sześć miesięcy, które go od tej dzieliły chwili. Wydało mu się, że wystarczy mu się odwrócić, że skończyła się jego wędrówka, że tam, pod drzewem, czeka go Adinda.

Lecz w miarę tego, jak oddalał się od Badur, w miarę tego, gdy uczył się poznawać, jak strasznie długim może być dzień: jasną mu się stawała długość trzydziestu i sześciu miesięcy. Było coś w jego duszy, co tamowało szybkość jego kroków. Czuł jakąś oporność w kolanach. Nie była to jeszcze rozpacz, lecz smutek rozpaczki blizki. Miał ochotę wrócić; co wszakże powiedziałyby Adinda na widok takiego braku hartu!

Więc szedł dalej, chociaż nie tak już szybko, jak pierwszego dnia. Kwiat melatti trzymał w ręce

i raz w raz tulił go do piersi. Dojrzał znacznie w ciągu tych trzech dni i prawie nie pojmował, jak mógł był dotąd żyć tak spokojnie, skoro Adinda znajdowała się tak blisko, skoro mógł był widzieć ją ciągle i każdej chwili. Gdyby teraz nagle stanęła przed nim, nie byłby już taki spokojny.... Nie pojmował też, jak mógł nie zawrócić raz jeszcze, aby raz jeszcze spojrzeć w jej oblicze! I przypomniał sobie, jak to niedawno kłócił się z nią o sznur do latawca, który to sznur skreśliła dla braciszków swoich, a który przerwał się. Saïdjah twierdził, że jej to była wina, że sznur był źle skrecony, że dla tego przegrano zakład z dziećmi sąsiadów. „Jakże mogłem — myślał sobie — jak mogłem gniewać się na Adinę o taką błażostkę! Bo gdyby nawet istotnie sznur przerwał się był z jej winy i gdyby nawet z tego powodu dzieci z Badur przegrały były zakład z dziećmi z Tjipurut; gdyby przyczyną przegranej nie był ów kawałek szkła, tak podstępnie przez małego Djamienę rzucony: czy i natenczas powinienem był z nią postąpić tak szorstko i mówić do niej tak nieprzyjemnymi słowami? A co będzie, jeśli umrę w Batawji, nie przeprosiwszy jej wprzód za tę brutalność? Czyż nie postąpiłem jak zły człowiek, który dziewczęciu rzuca w twarz wyzwicka? I czy, zasłyszawszy, że umarłem w obcej krainie, nie powiedzą

w Badur: „dobrze, że umarł Saïdjah, bowiem był brutalny wobec Adindy!”

Tak tedy myśl jego szła innym niż dotychczas szlakiem i znajdowała wyraz w urywanych słowach, w rozmowie na głos prowadzonej, wreszcie zaś w tym oto tęsknym śpiewie, który w tłumaczeniu poniżej przytaczam:

Nie wiem, kędy mi umrzeć przyjdzie.

Widziałem wielkie morze na południowym kresie,
widziałem je, z ojcem sól dobywając.

Gdy umrę na morzu i gdy zatopią zwłoki moje
w głębinie, psy morskie nadciągną.

Krążyć poczną wokoło zwłok moich i pytać będą:
który z nas pochłonie trupa, którego oto
woda niesie?

Słyszeć tego nie będę.

*

Nie wiem, kędy mi umrzeć przyjdzie.

Widziałem płonący dom sąsiada, a dom płonął, bo
zapaliła go sąsiada szalona ręka.

Gdy umrę w płonącym domu, rozpalone główne
przysypią moje ciało.

Zaś przed domem rozlegną się okrzyki ludzi, gaszą-
cych wodą płomienie.

Słyszeć tego nie będę.

*

Nie wiem, kędy mi umrzeć przyjdzie.

Widziałem, jak mały Si-unah spadł z palmy koko-
sowej, orzechy dla matki swej rwący.

Gdy spadnę z kokosowego drzewa, legnę martwy
u jego stóp, podobnie jak legł martwy
Si-unah.

Nie będzie zawodziła matka moja: nie żyje! Lecz
inni zawołają szorstkim głosem: „Patrz
oto leży Saïdjah!

Słyszeć tego nie będę.

*

Nie wiem, kędy mi umrzeć przyjdzie.

Widziałem zmarłego Palisu, a zmarł u ołtarza, bo-
wiem siwe już miał włosy.

Jeśli, osiwiawszy, ze starości umrę, płaczki staną
koło moich zwłok.

I zawodzić będą, jak zawodziły płaczki nad zwło-
kami Palisu i krzyżeć będą wnuczeta

Bardzo głośno będą krzyczały.

Słyszeć tego nie będę.

*

Nie wiem, kędy mi umrzeć przyjdzie.

W Badur widziałem wielu, którzy pomarli.

Przywdziewano ich w białe szaty i składano
w ziemi.

Jeśli umrę w Badur i pogrzebion będę za siołem,
na zachód od wzgórza, gdzie siadły wy-
sokie trawy,

Adinda przejdzie koło mego grobu i kraj jej saron-
gu muśnie zlekka mogiłę...

To usłyszę.

Saïdjah przybył do Batawji. Poprosił pewne-
go pana, aby go przyjął na służbę, i pan uczynił
to natychmiast, ponieważ nie rozumiał Saïdjaha.
W Batawji bowiem przyjmują chętnie służących,
którzy nie znają jeszcze języka malajskiego, nie są
tak zepsuci jak inni, którzy oddawna mają stycz-
ność z kulturą europejską. Saïdjah nauczył się
wkrótce po malajsku, lecz służył uczciwie, bo pa-
miętał o dwóch bawołach, które chciał kupić, i pa-
miętał o Adindzie. Urósł, zmężniał, ponieważ jadł
codziennie. W Badur bywało inaczej.

Lubiano go w stajni i gdyby chciał być zenić się
z córką woźnicy, nie odmówionoby mu jej ręki. Sam
chlebodawca cenil tak bardzo Saïdjaha, że po krótkim
czasie powierzył mu obsługę domu. Podwyższono
mu pensję i obsypywano go podarkami: wszyscy
z usług jego byli nad wyraz zadowoleni. Merrouw
czytała była powieść Eugienjusza Sue—powieść,
która taką powszechną wzbudziła sensację, i książkę

Djalma stawał jej przed oczyma, ilokrotnie patrza-
ła na Saïdjaha. A i panienki pojęły nagle, dla
czego malarz jawański Radhen-Saleh osiągnął
w Paryżu tyle powodzenia i zaszczytów.

Zarzucono mu wszakże niewdzięczność, gdy
z końcem trzeciego roku poprosił, aby go ze służby
zwolniono i aby mu wystawiono świadectwo, że się
dobrze sprawował. Jednakże niepodobna mu było
odmówić takiego świadectwa i z radością w sercu
puścił się Saïdjah w powrotną podróż.

Minął Pising, miasto, gdzie mieszkał niegdyś
Havelaar. O tym Saïdjah nie wiedział. A gdyby
mu to nawet było wiadome, myślałby i tak o rze-
czach, które w tej chwili wypełniały mu duszę.
Rachował zebrane skarby. W bambusowej torbie
przechowywał paszport i świadectwo służbowe.
Sajdak zawieszony na rzemieniu objął się co chwila
o jego plecy, lecz uderzenia te były mu miłe...
bo, proszę pomyśleć, sajdak zawierał trzydzieści
hiszpańskich dolarów, a więc sumę, za którą kupić
było można aż trzy bawoły! Co na to powie Adin-
da? I to jeszcze nie wszystko! Na plecach umiesz-
czona była srebrem okuta pochwa sztyletu, który
nosił u pasa. Rękojeść zaś sztyletu wyrzeźbiona
była najpewniej z kosztownego drzewa, starannie
bowiem w jadvab była owinięta. I to jeszcze nie

wszystko! W fałdach pasa ukryty był pasek ze srebrnych spojony ogniów, pasek ze złotą zapinką. Co prawda mały to był pasek, ale... ale Adinda była przecież taka smukła!

Na szyi zaś nosił małą jedwabną sakiewkę, która kryła kilka zasuszonych kwiatków melatti.

Jest-li to dziwne, że w Tangerang zatrzymał się tyle tylko, by odwiedzić owego przyjaciela ojcowego, który wyrabiał takie wytworne kapelusze? Jest-li to dziwne, że dziewczętom, które mu zabiegały drogę, pytając: „skąd? dokąd?”— tak bowiem pozdrawiają się ludzie tych okolic—że dziewczętom odpowiadał w krótkich słowach? Że po Batawji Serang wydało mu się mniej piękne? Że nie ukrył się już w zaroślach na widok przejeżdżającego regienta, jak to uczynił był przed trzema laty? Widział większego pana, pana, który mieszka w Buitenzorg, a jest „dziadkiem” Susuhunana z Solo *). Jest-li to dziwne, że nie słuchał prawie opowiadań o nowościach z Bantan-Kidul? Że nie słuchał, gdy mu mówiono, że po wielu daremnych próbach po-

*) Tytuł, który w urzędowych korespondencjach Susuhunan z Sola, t. j. cesarz Surakarty, nadaje jeneralnemu gubernatorowi.

stanowiono zaniechać raz na zawsze uprawy kawy? Że za rabunek, dokonany na publicznej drodze, skazano naczelnika okręgu Parang - Kudjang na czternastodniowe więzienie, które odsiedzi w domu teścia? Że przeniesiono stolicę do Rangkas-Betung? Że przybył nowy pomocnik regienta, ponieważ poprzedni zmarł przed kilku miesiącami? Że i jak nowy urzędnik przemawiał na pierwszym zebraniu? Że od niejakiogoś czasu zażalenia nie bywały karane i że spodziewają się, iż za skradzione przedmioty ludność otrzyma odszkodowanie lub zwrot rzeczy skradzionych.

Tego wszystkiego nie słuchał Saïdjah, przed oczyma jego duszy bowiem piękniejsze przesuwaly się obrazy. W obłokach szukał drzewa ketapanu, bo do Badur było jeszcze daleko. Ramionami obejmował powietrze, jak gdyby obejmował postać, która miała go czekać pod drzewem. Śnił o rysach Adindy, o jej główce, ramionach... widział czarne, lśniące jej włosy, które w ciężki związane węzeł osuwały się aż na ramiona... widział jej wielkie, ciemne, błyszczące źrenice... nozdrza, które, dzieckiem będąc, tak hardo a dumnie wznosiła, gdy on jej dokuczył. Jak mógł jej dokuczać! Widział kąciki ust, w których skrywał się wdzięczny uśmiech, pierś wznoszącą się pod ubraniem,

samodziałowy sarong. ciasno opięty i uwydatniający linje bioder i nóg. Sarong zaś u kolan opadał pysznym rzutem, drobne odsłaniając stopy.

Mało co słyszał z tego, co mu opowiadano. Zupełnie inne słyszał dźwięki. Słyszał głos Adindy mówiący: „Witaj mi Saïdjah! Myślałam o tobie, przędąc i tkając, i myślałam o tobie, ryż tłukąc, a oto ręka moja wyznaczyła na stępie trzy razy po dwanaście karbów. I oto pierwszego dnia nowego miesiąca czekam cię pod drzewem ketapanu. Witaj mi, Saïdjah! Chcę ci być żoną!”

I oto tony dźwięczały mu w uszach, niby muzyka najpiękniejsza i przeszkadzały mu słuchać nowin. Nareszcie ujrzał drzewo ketapanu. Właściwie ujrzał wielką, ciemną przestrzeń, która mu zasłoniła całe szeregi gwiazd. Musiał to być ów las leżący nieopodal drzewa, pod którym dnia następnego po wschodzie słońca spotkać miał Adindę. W mroku szukał drzewa, dłońmi, omackiem wyczuwał pnie. Nareszcie znalazł je.

Tak, oto było miejsce, gdzie po raz pierwszy ogarnął Adindę innym, niż inne towarzyszeki, spojrzeniem... Tu dała mu kwiat melatti.

Siadł u stóp drzewa i patrzył na gwiazdy. Spadająca gwiazda wydała mu się pozdrowieniem, jakim witało go Badur. I pomyślał sobie: czy też

Adinda śpi teraz? I czy aby starannie znaczyła miesiące na swojej stępie? Bolałoby go, gdyby przypadkiem zapomniała o jednym miesiącu... Bo czyż to nie dość takich miesięcy trzydzieści i sześć! I czy pięknie powyszywała sarongi i slendangi? I ciekaw był wiedzieć, kto mieszkał w domu jego ojca? I stanęła mu przed oczyma młodość i matka, i spotkanie z tygrysem, od którego ocalał był go bawół; i myślał, co byłoby się stało z Adindą, gdyby zwierzę owo okazało się było mniej wierne?

Baczył pilnie na drogę gwiazd w zachodzie i gdy znikająca gwiazda na widnokręgu obliczał odległość słońca od wschodu i czas, który go dzielił od Adindy.

Bo Adinda przyjdzie z pewnością z pierwszym promieniem słońca, przyjdzie, gdy tylko zaświta... o, dla czegoż nie czekała go tu w dzień przed dniem umówionym?

Przykro mu było, że nie wyczekiwała, że nie pobiegła na spotkanie chwili, która pięknym i niewysłowionym blaskiem przyświecała jego duszy w ciągu całych trzech lat? Egoizm miłości czynił go niesprawiedliwym:—wydawało mu się, że Adinda powinna go była czekać. Skarżył się—przed czasem—że na nią czekać musi.

Lecz był niesprawiedliwy. Słońce bowiem nie było jeszcze wzeszło, żrenica dnia nie zesłała jeszcze ani jednego spojrzenia na równinę. Wprawdzie gasły już gwiazdy ze wstydu, że tak krótko panować im wolno; wprawdzie dziwne barwy gasły po szczytach; wprawdzie od czasu do czasu rozżarzony promień przerywał obłoki we wschodniej stronie i leciały po widnokregu strzały ze złota i ognia: znikwały wszakże i zdawały się tonąć gdzieś za zasłoną, która przed oczyma Saïdjaha wciąż jeszcze skrywała dzień.

Lecz powoli, stopniowo czyniło się jaśniej i coraz jaśniej. Ukazywał mu się już krajobraz i Saïdjah dojrzeć już mógł korony palm kokosowych, które oplatały Badur... Tam spała Adinda!

Nie, chyba już nie spała! Jakżeby spać mogła? Czyż nie wiedziała, że czeka jej Saïdjah? Z pewnością całą noc nie spała. Strażnik wiejski pukał niezawodnie do jej drzwi, aby dowiedzieć się, dla czego pali jeszcze lampkę i Adinda odpowiedziała mu pewnie z miłym uśmiechem, że ślub uczyniony spać jej nie pozwala; musi skończyć zaczęty slendang — pierwszego dnia nowego miesiąca slendang musi być gotowy.

Albo może siedząc wśród mroku nocy liczyła karby na stepie nacięte. Liczyła, czy jest ich istot-

nie trzydzieści i sześć, myliła się, aby się przerazić i przerażała się, aby upewnić się jeszcze raz i raz jeszcze, że minęło trzy razy po dwanaście miesięcy, odkąd po raz ostatni widział ją Saïdjah. I ona pewnie w tej chwili natężyła wzrok, siląc się nadaremnie dojrzeć na kraju widnokregu tak leniwie. leniwie nadciągające słońce.

Nagle zjawił się jakiś różowo - liljowy pas i uczepił się obłoków, i brzegi ich zaczęły jaśnieć i płonąć, i ogniste strzały jęły przesywać przestrzeń. Lecz strzały te nie spadały, przeciwnie wbijały się w ciemną powierzchnię nieba, zataczając wokół siebie płomieniste kręgi. Szły sobie wzajem na spotkanie, krzyżowały, pochłaniały się, odwracały i łączyły się w snopy promieni, które połyskiwały złotym blaskiem na perłowym tle. I zlewały się tu wszystkie kolory: czerwony, żółty niebieski, srebrzysty, lazur i purpura... tak to była jutrzienka, to była chwila, w której ujrzy Adindę!

Saïdjah nie uczył się był nigdy pacierza, i uczyłby się go był daremnie, bowiem nie wyraziłaby ludzka mowa modlitwy tak świętej i tak gorącego dziękczynienia, jakie mieściły się w niemym zachwycie jego duszy.

Nie chciał wejść do Badur. Samo widzenie Adindy wydawało mu się mniej piękne, niż pew-

ność, że ją już-już zobaczy. Siadł u stóp drzewa i patrzył. Przyroda uśmiechała się do niego, zdawała się go witać, jak wita matka powracające dziecko. I podobnie jak radość matki przejawia się we wspomnianiu cierpień, które minęły, w ujawnianiu tego wszystkiego, co jako pamiątkę przechowywała w czasie rozłąki — podobnie radował się Saïdjah widokiem miejsc, które oglądało krótkie jego życie. Lecz jakkolwiek myślą i spojrzeniem błędził wokoło, jednak tęsknota kazała mu raz wraz spoglądać na ścieżkę, od Badur pod drzewo ketapanu wiodącą. Cokolwiek spostrzegał zmysłami z Adindy łączyło się imieniem.

Oto tam na lewo była przepaść i tu z tego gliniastego gruntu bawół stoczył się w otchłań. Wszyscy mieszkańcy siola zbiegli się, by wyratować zwierzę—boć to nie igraszka stracić młodego bawołu! I spuścili się w dół na mocnych trzeińowych sznurach... a najodważniejszym był ojciec Adindy... o, jakże radośnie Adinda klaskała rączkami!

A tam po drugiej stronie, tam gdzie korony lasu kołyszą się nad chatami, mały Si-unah spadł z drzewa i na miejscu umarł. A matka jego płakała, wołając: „taki mały był mój Si-unah...“ czyżby mniej była zmartwiona, gdyby był większy?

Ale był mały w istocie, mniejszy i słabszy od Adindy...

Nikogo nie było widać na drodze z Badur. Ale wnet przyjdzie, niewątpliwie przyjdzie — jeszcze przecież wcześniej...

Saïdjah ujrzał wiewiórkę, która w wesołych podrygach skakała tam i napowrót po pniu palmy kokosowej. Małe to z wyglądu i ruchów zwierzątko wspięło się i schodziło niezmordowanie tam i napowrót, w kółko. Saïdjah spostrzegł je i starał się nie stracić go z oka, myśl bowiem zmęczona ciężką od wschodu słońca trwającą pracą, myśl zmęczona czekaniem, potrzebowała spoczynku. Po chwili, wrażenia, jakich doznawał, ujawniły się w słowach, wzbila się śpiewem pieśń jego duszy...

Patrz, jak szuka wiewiórka karmu,
Na kokosowej szuka go palmie.
Wschodzi i schodzi, skacze wprawo, wlewo.
Nie ma skrzydełek, a jak ptak jest szybką.
Szczęść Ci Boże, szczęść ci wiewiórko miła!
Znajdziesz, znajdziesz pokarm, którego szukasz...
Ja zaś siedzę samotny u stóp ketapanu
I pokarmu dla serca czekam a czekam.

Już się nasycała mała wiewiórka...
Wróciła wiewiórka do gniazdka swego...
Lecz wciąż jeszcze duszę moją i serce
Głód pożera... Adindo!

I nie było nikogo na ścieżce wiodącej z Badur pod drzewo ketapanu.

Spojrzenie Saïdjaha padło na motyla, który zdawał się witać radośnie ciepło promieni słonecznych:

Patrz, jak krąży a krąży motyl,
Mienia się skrzydła niby kwiat różnobarwny,
Miłością zapłonął dla kenarji wonnej
I oto pewnie ukochanej szuka.

Szczęść ci Boże, szczęść ci, motylu mój,
Znajdziesz, znajdziesz upragnioną kochankę..
Ja zaś siedzę samotny u stóp ketapanu
I umiłowanej czekam a czekam.

Już się nasycił motyl różnobarwny
Pocałunkami miłej kenarji...
Lecz wciąż jeszcze duszę moją i serce
Głód pożera... Adindo!

I nie było nikogo na ścieżce wiodącej z Badur pod drzewo ketapanu.

Słońce wspinało się już wysoko... było już gorąco.....

Patrz jak świeci słońce na wyżynie,
Jak nad wzgórzem Waringi wzniosło się wysoko.
Lecz wkrótce zejdzie i poszuka ochłody
W objęciu morza, w małżonka objęciu.

Szczęść Ci Boże, szczęść ci, o słońce,
Znajdziesz, znajdziesz to, czego szukasz...
Ja zaś siedzę samotny u stóp ketapanu
I spokoju dla serca czekam a czekam.

Zejdzie słońce i gdy mroki zapadną
Ułoży się w morzu na sen, na spoczynek...
Lecz i wtedy jeszcze duszę moją i serce
Szarpać będzie ból... Adindo!

A nie było nikogo na drodze wiodącej z Badur pod drzewo ketapanu... ..

Gdy już nie będą bujały motyle,
Gdy już nie będą gwiazdy świeciły,
Gdy pachnieć nie będzie melatti kwiecie
I gdy już smutku nie stanie dla serc,
Gdy dzikich zwierząt nie stanie w lesie...

Gdy słońce zatoczy odwrotny krąg
 Gdy miesiąc zapomni, gdzie wschód, gdzie zachód,
 A nie będzie tu jeszcze Adindy,
 Natenczas anioł z płomiennymi skrzydły
 Znajdzie na ziemię szukać samotnego...
 Trupa mego znajdzie u stóp ketapanu...
 Ból zjada mi duszę... Adindo!

Nie było nikogo na drodze, wiodącej z Badur
 pod drzewo ketapanu...

I zobaczy anioł trupa mego
 I braciom swoim palcem go wskaże:
 „Patrzcie, tam zapomniano o zmarłym człowieku,
 Zastygłymi usty kwiat melatti całuje.
 Tu do mnie, bracia, ku niebu wzniesiemy
 Tego, co Adindy czekał aż do zgonu.
 Zaprawdę, nie może zostać tu samotnie
 Kto tyle, tyle siły miał w kochaniu!”
 Raz jeszcze otworzą się zastygłe me usta,
 Wymówią imię, które serce me kocha...
 Raz jeszcze kwiecie melatti ucałuję
 Kwiecie przez *nia* mi dane... Adindo... Adindo...

Nie było nikogo na drodze wiodącej z Badur
 pod drzewo ketapanu.

Tak, całonocnym czuwaniem znużona, zasnęła
 prawie nad ranem. Może przez wiele nocy

nie spała! Tak, z pewnością nie spała od ty-
 godni!

Możeby pójść do Badur? Nie. Wydałoby
 jej się, że wątpił o tym, że przyjdzie.

Gdyby tak przywołał człowieka, który wy-
 prowadzał właśnie bawołu swego na pole? Ale
 człowiek ten znajdował się za daleko. Zresztą
 Saïdjah nie chciał mówić o Adindzie, ani o Adin-
 dę chciał pytać... Chciał ją zobaczyć, ją samą, ją—
 przed innemi. Z pewnością, z pewnością nadejdzie
 lada chwila.

Chciał czekać, czekać...

Ale, gdyby była chora, gdyby... nie żyła?

Jak jeleń postrzelony zerwał się Saïdjah i po-
 czął biec drogą, wiodącą od ketapanu do siola,
 gdzie mieszkała Adinda. Niczego nie widział,
 nie słyszał niczego, gdyby zaś był słuchał, musiał-
 by zauważyć, że u wjazdu do siola byli zebrani
 ludzie, którzy wołali: Saïdjah, Saïdjah!

Cóż to... czyżby to pośpiech, czyżby to namięt-
 ność nie pozwalały mu poznać domu Adindy? Prze-
 biegł już całą wioskę i wracał znów jak szalo-
 ny i bił się w czoło, że to minął jej dom, ani się
 spostrzegszy. I znów stanął u początku siola,
 i Boże mój, czyżby śnił?—znowu domu Adindy nie
 znalazł. Zawrócił jeszcze raz i nagle stanął, obu-

rażąc chwytając się za głowę, jak gdyby chciał wydrzeć z głowy ogarniające ją szaleństwo. „Tracę zmysły—zawołał—jestem pijany, pijany!”

I wyszły z chat niewiasty z Badur i spoglądały ze współczuciem na Saïdjaha, poznały go bowiem i wiedziały, że szuka domu Adindy i że niema domu Adindy w siole Badur.

Gdy naczelnik okręgu Parang-Kudjang odebrał bawołu ojcu Adindy...

— zapowiedziałem ci, czytelniku, że jednostajną będzie ta opowieść moja!—

....matka Adindy umarła ze zmartwienia. I umarła najmłodsza jej siostrzyczka, ponieważ karmić jej nie było komu. Ojciec zaś Adindy, bojąc się kary, która go czekała w razie niezapłacenia podatku — wiem, wiem dobrze, że opowieść moja jest jednostajna!— ojciec Adindy wywędrował z Badur. Zabrał Adinę i jej braci. Dowiedział się wszakże, że w Buitenzorg ukarano ojca Saïdjaha kijami za to, że opuścił Badur bez paszportu. I dla tego nie udał się ani do Buitenzorg, ani do Krawang, ani do Preanger, ani do prowincji Batawskiej... poszedł do Tjilangkahanu, do prowincji Lebak, która graniczy z morzem. Tu ukrył się w lasach i czekał, by przybyli Pa-suto, Pa-lentha, Si-uniah, Pa-ansin, Abdul-isma i inni jeszcze:

wszyscy ci, którym naczelnik okręgu Parang-Kudjang zrabował bawoły i którzy, nie mogąc uiścić podatków, bali się kary. Tu nocą dopadli łodzi rybackiej i wypłynęli na morze. Płynęli na zachód aż do Jawapunt. Stąd zawrócili się na północ i płynęli do miejsca, z którego dojrzeć było można Tanah-item. O płynęli wyspę ze strony zachodniej i skierowali się ku zatoce Cesarskiej, przyczym wskazywał im drogę wysoki szczyt Lampongski. To zaś była droga, o której opowiadano sobie w prowincji Lebak, gdy była mowa o urzędowym rabunku bawołów i niezapłaconych podatkach.

Aliści w pomieszeniu swoim Saïdjah nie zdawał sobie sprawy z tego, co mu mówiono. Nie zrozumiał nawet wiadomości odnoszącej się do śmierci ojca. Miał szum w uszach, zdawało mu się, że gra mu w głowie gong. Czuł, jak coraz to nową falą krew biła mu o skronie, które omal nie pękały pod tym naporem. Nie przemówił ani słowa, patrzył w około siebie martwym spojrzeniem, w końcu zaś straszliwym wybuchnął śmiechem.

Jakaś staruszka zabrała go do swej chaty i zajęła się biedakiem. Śmiech ustał, lecz Saïdjah i teraz jeszcze nie przemówił ani słowa. W nocy wszakże budził domowników bezdźwięcz-

ny śpiew: „Nie wiem, kędy mi umrzeć przyjdzie. Niektórzy z pośród mieszkańców złożyli się między sobą na ofiarę dla boajasa *), który mieszkał w wodach Tjudjungskich. W ten sposób chcieli wyprosić zdrowie dla Saïdjaha, mniemali bowiem, że oszalał. Lecz Saïdjah miał zmysły zdrowe. Bo oto pewnej nocy, gdy księżyc jaśniej świecił, niż dotychczas, Saïdjah podniósł się ze swego baleh-baleh **), wyslizgnął się cichaczem z domu i poszedł szukać miejsca, gdzie mieszkała Adinda. Nielatwo je było znaleźć, bowiem niejedna runęła tu chata. Starał się jednak określić miejsce według kąta, pod którym załamywało się w jego oczach światło, idące od szpar w zaroślach. Tak żeglarz miarkuje położenie statku według latarni i szczytów.

Tak, to było tutaj... tu mieszkała Adinda! Krocząc po odłamkach bambusu i szczątkach zawalonego dachu utorował sobie drogę do świętego miejsca, którego szukał. I istotnie znalazł jeszcze

*) Boaja, kaiman=krokodyl. Ofiarę stanowi koszyzek ryżu lub innego jada. Przytwierdza się doń małą świeczkę i puszcza się go wieczorem na wodę, przeciw fali.

***) baleh-baleh=łóże.

resztki ściany, pod którą stało baleh-baleh Adindy, znalazł tu jeszcze mały bambusowy kołek, na którym zwykła była Adinda zawieszać suknie, zanim kładła się na spoczynek.

Lecz z łoża, podobnie jak i z domu, pozostał zaledwie proch. Wziął garść tego prochu, przycisnął go do ust i bardzo głęboko westchnął.

Nazajutrz zapytał się staruszki, która go przygarnęła, gdzie podziąła się stępa, należąca do zagrody Adindy. Staruszka ucieszyła się, że wreszcie przemówił i wybiegła na wieś szukać stępy. Gdy wymieniła Saïdjahowi nazwisko obecnego jej właściciela, Saïdjah kazał się doń prowadzić. Szedł w milczeniu, gdy zaś przybył, wyliczył na stępie trzydzieści i dwa karby!...

Poczym dał staruszce tyle hiszpańskich dolarów, ile potrzeba było na kupno bawołu i opuścił Badur. W Thilangkahan kupił łódź rybacką i po kilku dniach żeglugi dopłynął do wybrzeża Lampongskiego. Tu wrzał bunt przeciwko Niderlandom. Przyłączył się do oddziału Bantancyków. Uczynił to nie tyle dla chęci walki, ile w celu odszukania Adindy. Był bowiem łagodnego usposobienia, bardziej do smutku niż do goryczy skłonny.

Pewnego dnia, gdy powstańcy nową ponieśli porażkę, Saïdjah błąkał się po wsi, którą zdobyło właśnie wojsko niderlandzkie, która więc stała w płomieniach. Saïdjah wiedział, że oddział pobity składał się przeważnie z ludzi z Bantam. Szedł jak widmo wśród płonących domów i oto znalazł trupa ojca Adindy, a na piersi jego znaczyła się bagnetem zadana rana.

Nieopodal leżeli trzej bracia Adindy, wszyscy pomordowani,—a były to młodzieńce, dzieci jeszcze niemal. Trochę zaś dalej leżały zwłoki Adindy, zwłoki z sukien odarte, zohydzone...

Do rany, która, zda się, położyła kres rozpaczliwej obronie, wdarł się był kawałek błękitnego płótna...

Natenczas Saïdjah rzucił się na kilku żołnierzy, którzy ze spuszczoną bronią spędzali żywych jeszcze powstańców w płomienie. Chwycił za szerokie ich szable, parł się naprzód i ostatnim wysiłkiem odepchnął żołnierzy piersią, w której po rękojeść zatopiono miecze...

Zaś po upływie niedługiego czasu święcono w Batawji zwycięstwo, które armję niderlandzko-indyjską nowym okryło wawrzynem. I namiestnik doniósł krajowi, że w Lampong przywrócono

spokój. I król Niderlandów przez służbę swoje oświecony, rycerskimi krzyżami nagradzał bohaterów.

I prawdopodobnie pobożne serca słały niebu dziękczynienia za to, że znowu „Pan Zastępów” błogosławił sztandarom niderlandzkim...

Parabole.



O dobrej woli.



Nałem pewną modniarkę, która miała „nie-naturalne” dziecko. Powiadam „nienaturalne”, aby nie narazić na szwank dobrej sławy tej modniarki, była bowiem zamężna. Za chwilę wyjawię wam nazwisko ojca.

Pocziwa kobiecina kochała bardzo swoje dziecko i stroiła je, jak umiała, najgustowniej: tu wstążeczkę, tam wstążeczkę. Raz skromnie, raz znowu barwnie. Jedyną rozkoszą matki było strojenie dziecka.

I jakkolwiek niejednen mógł powiedzieć: ten oto kolor jest za czerwony, albo za żółty, albo też za blady... ten kapelusz jest za wielki, ta woalka — za gęsta, ten tiul—za gruby... jakkolwiek ten i ów mógł zarzucić matce brak smaku albo zręcz-

ności... nikomu wszakże nie przyszłoby na myśl wytknąć jej brak miłości dla dziecka.

Matce było na imię *Parabola*.

Ojcu—*Poietès*.

Dziecku zaś było na imię *Prawda*. I to oto dziecko matka tak bardzo lubiła stroić.

*

Pewnego razu pokazała komuś dziecko. Oczy jej zaś zdawały się pytać:

— Jakże podoba ci się moje dziecko, mój skarb, moje wszystko? Patrz tylko na te kolory!

— Owszem, ten żółty kolor jest niczego.

— Co?... żółty?... Te liczka są żółte? Przecież są różowe! „Żółte”—powiała!

— Miałem na myśli sukienkę.

I znowu pokazała komuś dziecko. Oczy jej zaś zdawały się pytać:

— Jakże podoba ci się moje dziecko, mój skarb, moje wszystko? Patrz tylko na te kształty, na tę krągłość... na te linje...

— Za krótki stan.

— Co, moje dziecko ma za krótki stan?

— Miałem na myśli sukienkę.

Natenczas... rozgniewała się matka. Smuciło ją, że nie widzą jej dziecka. Lubiła wprawdzie stroić swoją pieszczotkę, lecz gniewało ją, że patrzą tylko na strój i że wskutek tego *nie widzą jej dziecka*.

*

Ból czyni niesprawiedliwym. Parabola rozgniewała się na Poietesa, który był niewinny. Rozwiodła się z nim i przyjęła napowrót swoje panieńskie imię: *Ameleia* *).

Zdjęła z dziecka sukienki, które na jego niekorzyść pochłaniały ludzką uwagę. Poczym pokazała dziecko wielu ludziom i oczy jej zdawały się pytać:

— Jakże podoba się wam moje dziecko, mój skarb, moje wszystko?

Jeden z nich rzekł:

— Jest nieprzyzwoite.

Inni nic nie odpowiedzieli, nie zrozumieli pytania matki, nie zauważyli dziecka.

Zasmuciło to Ameleię. Pogodziła się znowu z Poietesem, on zaś chętnie przystał na zgodę.

*) Obojętność, niedbałość.

I jak dawniej, tak i teraz zwała się Parabolą i jak dawniej, tak i teraz stroiła dziecko.

— Niechże widzą przynajmniej sukienkę i te śliczne tasiemeczki, i wstążeczki niech widzą! — mówiła. Może z czasem zwrócą wreszcie uwagę na moje dziecko, może przekonają się, że jest piękniejsze od swego stroju.

Impresarjo.

Pewien pan pięknie ubrany, pan ze złotym łańcuchem i okazałą sumą zadowolenia, przejechał się wzdłuż jednego z amsterdamskich kanałów. „Interesa“ sprowadziły go do miasta. Jakże? Wnet się dowiedzie. Przed nim szła jakaś pani z dzieckiem. Nieszczęśliwy przypadek zrządził, że dziecko wpadło do wody. Matka krzyknęła... za dzieckiem wskoczyła do wody i ocalała je.

Pan od interesów przyglądał się całemu zajściu, wyjął notes i okazywał zamiar złożenia w nim notatki

— Łaskawa Pani, czy wolno mi spytać o jej adres i nazwisko?

— Dziecko, moje dziecko, mam cię znowu, moje dziecko!

— Ślicznie, ale czy mogę zapytać...

— Dziecko moje jest uratowane! — powtarzała uparcie matka, nie pojmując, że można mówić do niej w tej chwili o czym innym, niż o jej dziecku.

— Z nią się nie dogadam—mruknął ciekawym jegomość. Słuchajcie-no, człowieku, przyzwójcie was wynagrodzę, jeśli podacie mi do jutra adres i nazwisko tej pani!

Z tą prośbą zwrócił się do jednego ze stojących wokoło ludzi. I zdaje się, że tym razem dowiedział się, czego chciał się dowiedzieć. Nazajutrz bowiem zjawił się u owej szczęśliwej matki.

— Łaskawa Pani, miałem zaszczyt widzieć...

— Pan widział? Ja bo nic nie widziałam, nic nie słyszałam, skoczyłam...

— Nie oto idzie, łaskawa Pani, słyszałem...

— Pan słyszał?

— Tak, łaskawa Pani, słyszałem, jak Pani...

— Cóż Pan takiego słyszał?

— Słyszałem, jak Pani *krzyknęła*... przychodzę więc, aby zaofiarować Pani „engagement” w teatrze.

Biedna matka!

Człowiek ten był to impresarjo, poszukujący „kawałów”, które „robią”. Imię jego: publiczność.

Pygmeusz.



powiem wam, w jaki sposób przyszła na świat *pokora*.

Pygmeusz był bardzo małego wzrostu. Zależało mu wszakże na tym, aby patrzeć z góry na innych. Lecz udawało mu się to bardzo rzadko, ponieważ taki był niestety mały.

Wybrał się w podróż, aby poszukać mniejszych od siebie ludzi: nie znalazł ich. Żądza zaś patrzenia z góry na innych rosła w nim i stawała się coraz gwałtowniejszą.

Przybył do Patagonji; tu ludzie są tak wielcy, że noworodki patrzą z góry na rodziców.

Nie podobało się to Pygmeuszowi... u innych. Lecz zwątpiwszy już o możliwości znalezienia mniejszych od siebie ludzi, wziął się na sposób. Wy-

myślił cnotę i ustanowił ją jako „pierwszy warunek”: „ktokolwiek większy jest od Pygmeusza, będzie się schylał aż pod poziom Pygmeuszowej twarzy.” Nowość przyjęła się. Wszyscy patagończycy stali się cnotliwi. Jeśli znalazł się ktoś, kto, prosto chodząc, wykroczył przeciwko „pierwszemu warunkowi” Pygmeuszowej cnoty, w osobliwy karany bywał sposób. Rzucali się na niego wszyscy skrzywieni i cnotliwi i póty opornemu zginali szyję, póki twarz jego nie pochyliła się do punktu patagońskiej cnotliwości. Tego zaś, co całą Patagonję dźwigał na swoich barkach, a nie chciał być cnotliwym, postawiono pod pręgierz z tablicą, na której wypisano jednym patagońskim słowem: *człowiek ten zawadzał Pygmeuszowi*.

Przetłumaczywszy wyraz patagoński na nasz język, otrzymamy: *Pychę*.

Moralność dźwięków.



tary pan Schöps wpadł w nastrój filozoficzny i tak rzekł:

Synu mój, pamiętaj, abys baczył więcej na słowa twoje, niżli na czyny, a będzie ci się dobrze działo w kramiku, który ci dam, a który umieścisz obok izby urodzenia.

Mniejsza o to, mój synu, czy śliwki, które sprzedajesz, są dobre; mów i powtarzaj: „Jakie to niezwykle, nadzwyczajne śliwki!”

Myśl sobie o pastorze Teokracie, co ci się podoba, mój synu. Możesz mu odmówić kredytu, gdy przyśle po cukier lodowaty na rachunek. Możesz go za drzwi wyrzucić, jeśli w dni handlowe zawracać ci będzie głowę świeżemi rodzynkami, lecz bacz, mój synu, abys nigdy *nie powiedział*, że

pastor jest głupi lub że właściwie masz na składzie zeszlóroczne rodzynki.

Bij i popychaj żonę, jeśli jesteś pewny, że mocniejsze masz od niej kułaki. Lecz *nie mów* nigdy, mój synu: „chciałbym, aby ta bestja nie żyła!” i nie mów jej, że ma piegi.

Wydrap sąsiadowi oko, jeśli trzeba, *nie mów* jednak nigdy, mój synu: „ten człowiek zezuje”.

Gardź ludźmi, którzy publicznie wyzywają opinię, unikaj spotkania z niemi na ulicy, wymijaj ich, lecz *mów*: zboczyłem, aby dowiedzieć się o zdrowie tej a tej położnicy. Jeśli zaś położnicy niema pod ręką, mów, żeś poszedł zobaczyć, czy niema *przypadkiem* położnicy w sąsiedztwie.

A jeśli zobaczysz leżącego na drodze pijaka, *mów*: widziałem człowieka, który spoczywał.

A jeśli na drodze swojej spostrzeżesz plugastwa, *mów*: było dziś dużo ryb na targu, albo: kiedy wiatr ustanie, deszcz spadnie, albo: kiedy deszcz spadnie, wiatr ustanie—tak *mów*, albo *nic nie mów*, mój synu, w żadnym jednak razie nie wspomnij o plugastwach, któreś widział.

Bowiem człowiek, synu mój, jest stworzeniem, które może wprawdzie karmić się plugastwem, lecz żadną miarą mowy o plugastwie nie znosi.

I tak, synu mój, jeśli nie będziesz dawał rzeczom właściwego ich imienia, lub też jeśli zupełnie o nich przemilczysz, sprzedasz dużo rodzynek—choćby były stare—i w kramiku będzie ci się działo, jak rzekłem w chwili, gdy ogarnął mnie nastrój filozoficzny.

Sokrates.

Sokrates był zarozumiałym, pysznym głupcem i zasądzać go mieli Ateńczycy zupełną słusność. Uważam tylko, że kara była za lekka. Śmierć! Śmierć czeka przecież wszystkich, nawet tych, którzy żadnej dobrej nie zawinili sprawy. Bardzo to niesłusznie, moim zdaniem, aby człowiekowi, który służył powszechnemu dobru, wymierzyć jako karę to, czemu poddać się musi najtrzeźwiejsza ludu miernota. Ateńczycy mieli za mało rozmysłu, podobnie jak żydzi.

Sokrates bowiem... posłuchajcie, co o nim mówi Plutarch.

„Istniał w Atenach zwyczaj, według którego oskarżony winien był bronić się przed sądem za pomocą misternie zbudowanych zwrotów i winien był wpływać na usposobienie sędziów za pomocą

łez i pokornego błagania. Sokrates uważał, że użycie tak niegodnych środków uwłaczałoby jego godności”...

Powiedziałem wam już, że Sokrates był głupi.

„W prostej obronie przypomniał swoje życie...”

I to znowu było bardzo głupie. Myślał zapewne, że zwrócą uwagę na to, co *uczynił*. O to nie szło, Sokratesie. Powinieneś był powiedzieć: „jestem *liberałem*... albo jestem *konserwatystą*” — stosownie do tego, z jakiej strony szedł właśnie wiatr. Powinieneś był mówić o swojej *wierze* — starożytności albo nowości, stosownie do chwili; powinieneś był opowiadać to i owo o zasadach i dogmatach i to wszystko z myślą o żądaniach dnia! Widzisz, tu tkwi twój błąd. Plutarch miał chyba słuszość, mówiąc, że obrona twoja była prosta, była bowiem tak prosta, że aż głupia.

A więc przypomniał swoje życie. Aliści...

„Obrona ta nie znalazła uznania w oczach sędziów i zasądziła go na śmierć...”

Tylko tyle? Tu przebija ta przekłeta słabość Ateńczyków, którzy nie mieli pojęcia o torturach. Ot, rozmiłowani w zwięzłości poganie!

„Według zwyczaju, panującego w Atenach, oskarżony winien był sam oznaczyć karę, na którą według swego mniemania zasłużył. Na pytanie to

Sokrates oświadczył, że według swego mniemania zasłużył, aby, podobnie jak zwycięzców w olimpijskich igrzyskach, utrzymywano go kosztem państwa!”

Czyż nie miałem racji, mówiąc, że ten Sokrates był niespełna rozumu? Ani śladu chrześcijańskiej pokory... No... i naturalnie...

„Odpowiedź ta jeszcze więcej rozgoryczyła sędziów...”

Wierzę. Przyjemnością nie jest, jeśli osoba, którą się ma zamiar zasądzić bez jakichś tam ceremonii, oświadcza nagle, że rości sobie prawa do nagrody. Odpowiedź taka słusznie mogła rozgoryczyć sędziów i...

„Wielu z tych, którzy początkowo głosowali przeciwko karze śmierci, głosowali teraz za tą karą. Sokratesa skazano”.

Tyle — Plutarch. Jako suchy biograf nie znajduje ani jednego słowa pochwały dla rozgoryczonych sędziów. Przypuszczam, że Plutarch był liberałem, sędziowie zaś konserwatystami, albo — odwrotnie. W Grecji nie chwalono nigdy człowieka, który należał do przeciwnej partji.

N ę d z a r k a.

Nod bramami Haarlemu siedziałem z Fancy na ławce. Nagle w oddali spostrzegłem jakąś kulejącą staruszkę. Schylała się często, podnosiła coś z ziemi i podniesione przedmioty zbierała w fartuch. Szukała odpadków, drobnych kawałków drzewa...

Cóż za nędza! — pomyślałem. Wymiarkowałem, że lada chwila zbliży się do ławki, na której siedziałem i rzuciłem na ziemię pieniądz, aby go podniosła.

I cieszyłem się każdym jej zbliżającym ją do daru krokiem i chciałem, aby otrzymała dar z ręki przypadku.

Lecz babina, zbierająca chróst a kometa—to dwie różne rzeczy. Ta oto kometa zakreśliła koło z moim obliczeniem niezgodne i bałem się...

— Matko!

— Co?

— Tak pilnie czegoś szukacie... zdaje mi się, że tam coś leży, tu!

Nie podeszła i, zbierając, szła dalej. Oczywiście! Szukała pod drzewami trzask i chróstu, przedmiot zaś przeze mnie wskazany leżał na ścieżce. Na ścieżce nie było drzewa, a szukała drzewa. Prawdopodobnie pomyślała, że żartuję sobie z niej.

— Ale doprawdy, prawdę mówię, matko!... Chodźcie tu! Zdaje mi się istotnie, że tu coś leży... bodaj, czy nie pieniądz...

— *Ho-ho!... gdyby wam się tak zdawało, samibyście go podnieśli!*

Natenczas podjąłem pieniądz, zaniósłem go jej i zdjął mnie smutek na myśl, że staruszka ta w ciągu całego swego długiego życia tak niewielu dobrych spotkała ludzi.

Życie na wyżynach.



Wysoko, wysoko w powietrzu bujał motyl. Rozkoszował się swobodą swoją, pięknnością, nadewszystko zaś widokiem, który obejmował, unosząc się w górze!

— Chodźcie tu, tu do mnie... w górę! zdawał się wołać ku braciom, kołyszącym się w nizinie na kwiatach ziemi!

— Pijemy miód i i zostaniemy tu, na dole.

— O, kochani bracia, gdybyście wiedzieli jaka to rozkosz ogarnąć wszystko okiem! Chodźcie tu, chodźcie!

— A czyż są tam kwiaty, z których mogłybyśmy czerpać miód, potrzebny nam, motylom, abyśmy żyły?

— Widać stąd wszystkie kwiaty, ta zaś rozkosz...

— A masz-że ty tam miód na tych wyżynach? Co prawda, miodu tam nie było!

Biedny motyl, którego mieszkanie na nizinach przejmowało wstrętem, tracił siły...

Wszelakoż usiłował utrzymać się w górze.

Możność objęcia, uchwycenia wszystkiego jednym spojrzeniem, wydawała mu się tak piękną...

Ale miodu... miodu tu nie było!

I biedny motyl słabł. Skrzydełka poruszały się leniwie, coraz leniwiej. I spadał niżej, coraz niżej i coraz mniejszą przestrzeń ogarniał okiem.

Jednakże chciał...

Nie, zbrakło mu sił. Osunął się.

— Cóż to, więc wracasz, zawołali bracia. A co mówiliśmy? Przyszedłeś, aby, podobnie, jak my, pić tu, na dole, miód z kwiecica. Wiedzieliśmy, że tak będzie!

Tak zawołali bracia, ciesząc się, że słuszność jest po ich stronie, jakkolwiek po ich stronie był tylko brak tęsknoty za owym pięknem, jakie mieszkało na wyżynach.

— Chodź i pij miód, jak my pijemy!

I motyl opadał niżej, coraz niżej... i jeszcze pragnął... oto był krzak kwietny... może jednak zdoła wzbić się na ten krzak. Już się nie osunął...

padł! Padł obok krzaka, na drodze, na jezdnię drogę...

I tu zdeptał go osioł.

*

Wysoko, wysoko w powietrzu bujał motyl. Rozkoszował się swobodą swoją, pięknnością, nadewszystko zaś widokiem, który obejmował, unosząc się w górze. Nawoływał braci, aby się wzbili w górę, lecz bracia wahali się, nie chcąc porzucić miodu, który zbierali tu, na dole. Motyl nie miał ochoty sfrunąć na nizinę, bał się bowiem, że roztratują go tam ciężkie kopyta. Ponieważ jednak potrzeba mu było miodu, podobnie jak braciom-motyłom, wleciał na szczyt, na którym rosły piękne kwiaty, a który dla osłów był za stromy. Bujał tu sobie wesoło i zbierał dużo miodu i czuł wdzięczność za to, że kwitły tu kwiaty i że minęła go w ten sposób przykra konieczność sfrunięcia w dół. Gdy zaś z góry dostrzegął, że któryś z braci zanadto się zbliżył do jezdnej drogi, gdzie tyle pod kopytami ginie motyli, ze wszystkich sił poczynął trzepotać skrzydełkami, byleby brata ostrzec.

Lecz nie zwracano na to uwagi. Motyle w nizinie wogóle nie dostrzegały brata na szczycie, zajmowało ich bowiem wyłącznie zbieranie miodu w dolinie. A nie wiedziały, że tam, wysoko, rosły również kwiaty.

122

W tym miejscu...

19

W tym miejscu...

B a j k a.

(Z dzieła: „Przygody Walterka“)



Helenko, wiesz, jestem królewiczem!

Tejże chwili weszła matka Walterka i za pomocą kilku policzków usunęła go od towarzystwa służącej.

„Królestwo” Walterka istniało na księżycu—
co mówię, jeszcze dalej.

Posłuchajcie, w jaki sposób zdobył sobie tę godność.

Za dawnych, bardzo dawnych lat żyła królowa duchów... Zwała się A-O.

Nie mieszkała w jaskini, przeciwnie przebywała wraz z swoim dworem wysoko, ponad obłokami. Więcej tu powietrza niż w jaskini i przy-
stojniejsze to bądź co bądź dla królowej mieszkanie.

Miała naszyjnik z gwiazd, zaś w pierścieniu jej osadzone było słońce.

Gdy wychodziła na przechadzkę, mgławice rozsypywały się jak proch, poruszeniem wachlarza rozpędzała światy.

Dzieci jej bawiły się planetami, jak grą w kostki, i skarżyły się, że trudno je odnaleźć, gdy zatoczą się, gdzieś, wśród domowe sprzęty.

Gniewało to synka królowej, królewicza Ypsilonona, zażądał tedy innej zabawki.

Królowa kazała mu dać pudełko Syrjuszów, lecz po jakimś czasie i te zabawki poginęły. Jednakowoż była to tylko wina Ypsilonona. Powinien był starannie pilnować zabawek.

Usiłowano w miarę możności zaspakajać pragnienia królewicza. Ale bez względu na to, co mu dawano, żądał wciąż innych zabawek i coraz to większych i żądał, aby ich było raz w raz więcej. Była to już wada charakteru małego królewicza.

Matka, która, jako królowa duchów, była rozumną kobietą...

Przepaść między rozumem a duchem nie jest tak wielka, jak utrzymują ludzie, pozbawieni zarówno rozumu jak i ducha... matka tedy pojęła, że byłoby z korzyścią dla malca, gdyby przyzwyczaił się trochę do braku.

Dla tego rozkazała, aby przez jakiś czas żadnych Ypsilonowi nie dawać zabawek.

Tak się stało. Odebrano mu wszystkie zabawki, nawet komętę, którą zwykł się był bawić jak piłką z siostrzyczką swoją, królowną Omikron.

Królewicz Ypsilon miał usposobienie porywcze i zapomniał się w słowach tak dalece, że uwłoczył matce.

A idąc za jego przykładem — niema bowiem rzeczy niebezpieczniejszej nad zły przykład — królowna Omikron gwałtownym ruchem cisnęła zabawkę o przestwór. To zaś nie przystoi dziewczynce.

A oto istniało w państwie duchów prawo, mocą którego, ktokolwiekby zapomniał o uszanowaniu winnym królowej lub pozwoliłby sobie godzić w przestwór jakimikolwiek bądź przedmiotami karany być miał czasową utratą wszystkich godności.

Tak tedy królewicz Ypsilon stał się ziarnkiem piasku.

Gdy w ciągu kilku tysięcy wieków sprawował się dobrze, ucieszono go nowiną, że odtąd wolno mu być mchem.

Jako mech był bardzo grzeczny i czynił wszystko, co taki poczciwy mech czynić powinien.

Pewnego ranka przebudził się jako polip.

Było to mniej więcej w czasie, kiedy ludzie zaczęli używać ognia do przygotowywania żywności.

Zbudował kilka światów. Pilność jego została nagrodzona w ten sposób, że po upływie mniej więcej tysiąca wieków zamieniono go w skorupiaka.

I w tej pozycji zachowywał się tak, że nie dał nikomu powodu do najmniejszej skargi; posunięto go wtedy do rzędu węzów morskich.

Uprawiał z żeglarzami niewinną grę w chowanego, lecz nie czynił nikomu nic złego. Otrzymał więc cztery łapy, tytuł mastodonta i pozwolenie na przechadzki po lądzie.

Zastosował się do nowej pozycji z filozoficznym spokojem i zajmował się spostrzeżeniami geologicznymi.

Po upływie kilku milionów wieków...

Proszę zważyć, że te wieki, o których mówię, że cały ten czas razem wzięty w państwie duchów był zaledwie małym kwadransem... a raczej czas ten był absolutnie *niczym*. „Czas” bowiem jest wynalazkiem, uczynionym dla wygody ludzkiej, jest mniej więcej tym samym, czym jest elementarz dla dzieci. Dla duchów pojęcia „dawniej”, „teraz”, „później” są zupełnie identyczne. *Jednym*

spojrzeniem obejmują „wczoraj”, „dziś” i „jutro”, podobnie jak bez sylabizowania czytamy całe słowa... Cokolwiek było i będzie—*JEST*. Egipcjanie i Fenicjanie wiedzieli o tym bardzo dobrze, lecz chrześcijanie zapomnieli o tej prawdzie.

...Tak tedy po upływie kilku milionów wieków p odniesiono go do godności słonia, w minutę zaś później, w minutę w rozumieniu duchów, a więc po upływie dziesięciu lat w ludzkim rozumieniu, został przeniesiony do rzędu ludzi...

Fancy rozumiała, że Walterek nie umie czytać, oto dlaczego przesyłabizowała mu dzieje królewicza Ypsilon, co czynię też i ja dla czytelników...

Fancy zdawała się być czymś w rodzaju damy dworu matki Walterka. Odwiedziła go na wygnaniu, aby mu dodać otuchy i aby pokrzepić go pewnością, że czasowa kara, której podlega, nie jest bynajmniej dowodem gniewu królowej ducha.

Przyrzekła, że odwiedzi go od czasu do czasu...

— A cóż porabia moja siostrzyczka? zapytał Walterek.

— Siostra twoja również odbywa karę... znasz prawo. Ale to kochane dziecko. Cierpliwie znosi wyrok i obiecuje poprawę. Najpierw była kulką powietrzną i sprawowała się bez zarzutu. Potym

stała się księżycowym promieniem i na tym stanowisku zachowywała się również wzorowo. Jaśniała tak, że aż przyjemność było patrzeć. Matka twoja musiała uzbroić się w dużą siłę woli, aby nie skrócić jej kary. To też po bardzo już krótkim czasie stała się wonią i spełniała swą powinność w sposób nadzwyczajny: cały przestwór pachniał tak, że dostaliśmy aż bólu głowy. Było to mniej więcej w tym czasie, kiedyś ty zaczął jeść trawę. Wkrótce została motylem. Lecz matka twoja uważała, że to powołanie dla dziewczynki nieodpowiednie i kazała jej przeto co prędzej przyjąć postać gwiazdy... patrz oto... jest tu, pod nami.

Walterek szukał siostrzyczki, lecz nie mógł jej znaleźć.

Zdarza się często, że nie widzimy jakiegoś przedmiotu dla tego, że jest za wielki...

— Patrz! — mówiła Fancy, tu... na prawo... — nie, trochę dalej... tu... tu... gwiazda północna! Oto jej lewe oko. Prawego nie dojrzysz, bo nachyliła się nad lalką swoją, nad Orjoną, którą trzyma na kolanach i pieści...

Walterek widział ją wyraźnie i zawołał: Omikron!—Omikron!

— Nie, nie—rzekła dama dworu — nie, to nie uchodzi, królewiczu! Rozkaz królowej opiewa wy-

rażnie, że masz być odosobniony. I tak wielka to już łaska, że wolno wam obojgu przebywać w *jednym* świecie. Kiedy niedawno bracia twoi zbrukali mleczną drogę, osadzono ich bardzo daleko od siebie.

Walterek bardzo się tym zasmucił. Tak chętnie byłby pocałował ten świat gwiazd, który, trzymając lalkę na kolanach, tworzyła jego siostra.

— O, Fancy! — zawołał—pozwól mi pójść do Omikron!

Fancy nie rzekła ani „tak”, ani „nie”. Była jak osoba, która myśli nad dokonaniem jakiejś niesłychanie trudnej rzeczy.

Czerpiąc zaś odwagę z jej nieokreślonego milczenia, Walterek powtórzył prośbę.

— O pozwól mi pójść do mojej siostrzyczki!... Choćbym miał znowu jeść trawę i budować światy, będę jadł trawę i budować będę pilnie a z ochotą, byleby mi wolno było być razem z Omikron!

Zdawać się mogło, że Fancy boi się dać przyrzeczenie, któreby przekraczało jej władzę i że zarazem boli ją, iż dać go nie może.

— Zapytam się! szepnęła.....



Przyjęcie u pani Petersenowej.

(Z dzieła „Przygody Walterka”).



— Nic nie wiem na razie, odparł Stoffel bez najmniejszej sokratesowej pychy.
— No, dalej-że, gadaj, coś to kiedyś gadał, no, prędzej—tak to zawsze, moja pani Mabelowa, trza go zagnać, bo inaczej nie chyci. Ale jak się rozgada, to i mądrze gada, zobaczy Pani. No, śmiało, Stoffel! Zmęczony jest po tej szkole, bo to też kęs roboty z taką szkołą! Tak, moja pani Krümmelowa, ani Pani uwierzy, co tam wszystko trza wiedzieć! No, bo to ani się przyśni człowiekowi, że wszystkie wyrazy mają rodzaj albo męski, albo żeński? Czy nie tak, Stoffel?

— Nic nie wiem na razie, odparł Stoffel bez najmniejszej sokratesowej pychy.

— No, dalej-że, gadaj, coś to kiedyś gadał, no, prędzej—tak to zawsze, moja pani Mabelowa, trza go zagnać, bo inaczej nie chyci. Ale jak się rozgada, to i mądrze gada, zobaczy Pani. No, śmiało, Stoffel! Zmęczony jest po tej szkole, bo to też kęs roboty z taką szkołą! Tak, moja pani Krümmelowa, ani Pani uwierzy, co tam wszystko trza wiedzieć! No, bo to ani się przyśni człowiekowi, że wszystkie wyrazy mają rodzaj albo męski, albo żeński? Czy nie tak, Stoffel?

— Nie.

— Nie? Więc jak... a toć kiedyś sameś rzekł — widzi Pani, pani Zippermanowa, chcę, aby się rozgadał, ale to nie tak łatwo wie Pani, że to zmęczony jest po szkole — a kiedyś sameś rzekł, że wszystko...

— Nie. Powiedziałem, że wyrazy są rodzaju męskiego, żeńskiego i nijakiego. Tak mówiłem.

— No, słyszała pani Mabelowa... skąd on to wszystko wie! Niech Pani wyobrazi sobie, panno Laps, że ja jestem rodzaj żeński, i lampa też, a i czapka Pani, ta kornetka, wie Pani, ta też...

— Nie, matko, kornecik jest rodzaju męskiego... wszystkie męskie zawody...

— Ktoby to powiedział! zawołali wszyscy goście, zdumieni temi nowinami.

— Tak, moiściewy, i to nie wszystko! zawołała pani Petersenowa rozradowana, że udało jej się wreszcie skłonić mądrego Stoffla, aby mówił.— To jeszcze nie wszystko! Jak to usłyszycie, to i po was. Czym Pani jest, pani Krümmelowa, no, jak Pani myśli?

— Ja? ja? — czym jestem?

— Tak, tak, czym Pani jest, czym pani właściwie jest?

— Phu... ja jestem pani Krümmelowa — odrzekła zapytana.

Lecz odpowiedź brzmiała trochę niepewnie, ze zwycięskiego spojrzenia bowiem pani Petersenowej zarówno jak z mądrze zaciśniętych ust Stoffla wnioskowała, że musi być czymś zupełnie innym, niż panią Krümmelową.

Napięcie było tak miłe, że żalby go było nie przedłużyć i dla tego, czyniąc z rzeczy prywatnej ogólną, matka Stoffla jęła zapytywać wszystkich gości z osobna.

— No, co myślicie, czym jesteście wszyscy razem, pani Mabelowa i panna Laps i pani Zippermanowa i pani Stotternowa — czym jesteście?

Nikt tego nie wiedział. Ludziom, znającym trudność samopoznania, dziwnym się to nie wyda, innego jednak zdania był przewesoły Stoffel. Szło mu o coś głębszego. Panna Laps odpowiedziała pierwsza, wołając z dumą:

— Jestem panna Laps.

— Gdzie-ta, gdzie-ta... ani się śni!

— Ale dla Boga świętego, nie jestem-że panną Laps?

— Ta...a...k... jesteś Pani panną Laps, ale Stoffel nie pytał się, *ktos* Pani jest, tylko *czym* Pani jest... takie buty!

— Czym jestem? No, protestantką!

— T...a...a...k, z religji to tak, ale to nie to. Pytam się, czym Pani *jest*? Stoffel, pomóż mi trochę!...

Wśród dwóch obłoków dymu, a więc sposobem możliwie profesorskim, Stoffel rzekł:

— Panno Laps, pytałem się, czym Pani jest z punktu widzenia zoologicznego, to znaczy—ze zwierzęcego punktu widzenia!

— To mnie nic nie obchodzi — odparła panna Laps tonem osoby, która ma zamiar obrazić się.

— Ja jestem akuszerką, rzekła pani Stottern—nie sobie nie dam wmówić.

— A ja jestem żoną piekarza i cukiernika—zawołała sąsiadka z przeciwka, i był w jej głosie dźwięk tak stanowczy, jak gdyby chciała dać do zrozumienia, że bezwzględnie przy tym pozostanie zdaniu.

— Dobrze, dobrze, pani Mabelowa, lecz mam na myśli punkt widzenia zoologiczny, tj. zwierzęcy.

— Jeśli to ma być coś nieprzyzwoitego, wołę sobie pójść—rzekła panna Laps.

— Ja też! zawołały jednocześnie pani Krümmelowa i pani Zippermanowa — bośmy tu przyszły dla przyjemności.

— Ależ cichajcie, moiściewy, ludzie... toć to stoi w książce,—powiedz-że Stoffel — będziecie się

śmiały, a najzabawniejsze, że to właśnie stoi w książce! To już chyba nie może was gniewać—dalej, Stoffel, mów!

— Panno Laps! — rzekł uroczyście Stoffel— a była to w „przyjęciu” pani Petersenowej wielka chwila—Panno Laps, Pani jest *zwierzęciem ssącym*.

Wyznaję, że nie rozporządzam środkami, jakimi powinien władać historyk, mający opisać przesilenie, które nastąpiło po wypowiedzeniu owego strasznego słowa.

Na obliczu panny Laps, która była w ten sposób bezpośrednio przedmiotem ataku, wystąpiły wszystkie kolory, jakich się używa zazwyczaj w celu opisania gniewu. Przedostatnia szkoła powieściopisarzy francuskich posługiwała się w tym wypadku kolorem zielonym, ponieważ jednak panna Laps nie czytała po francusku, zdecydowała się na budzący postrach kolor fioletowy i zawołała... nie, nie nie zawołała, bowiem zbrakło jej tehu. Natomiast ciastko, które trzymała w ręce, zgmiotła na miązgę, Stoffla zaś i jego matkę obrzuciła kolejno spojrzeniem, które byłoby ją bardzo obciążyło przed sądem, gdyby osoby te umarły były owego wieczoru.

Stoffel uniknął tego spojrzenia, bowiem skrył się w kłębach dymu, niby sepja w chwili, kiedy

przewiduje nieprzyjemność. Wszelako biedna pani Petersenowa, która nie paliła, była bezbronna. Nieśmiało wykrztusiła:

— To stoi w książce, dalibóg w książce stoi! Ależ na Boga świętego, ludzie, rozum straciliście, czy co?... tak stoi w książce.

Panna Laps wreszcie odsapnęła i to tak skutecznie, że niebezpieczeństwo uduszenia się minęło. Chwilkę poczekała, odkaslnęła, rzuciła resztki zniweczonego ciastka na stół i tak poczęła:

— Pani Pete rsenowa, Pani jest starym bydłciem! Sama Pani jest zwierzęciem ssącym, Pani i syn Pani, to ja Pani mówię! Jestem porządna panna, jaka porządna! Tego Pani nawet nie rozumie, bo mój ojciec robił w zbożu i nigdy, nigdy nikt tyle... o, widzi Pani, choćby *tyle* powiedzieć na mnie nie mógł! Niech się Pani pyta, kogo Pani chce; czy choć raz wdawałam się z jakimś facetem albo coś podobnego... i czy nie oddaję każdemu co do niego należy... i że on prowadził interes... i jak mieszkaliśmy... bo robił w zbożu, więc może się Pani pytać o mnie, rozumie Pani? Chwała Bogu wszystkich można się o mnie pytać... ale nigdy, nigdy nie trefiło mi się, żeby mi ktoś zrobił coś takiego... żebym tylko tak chciała, tobym Panią nawyzywała od ssących zwierząt, że miałaby Pani

tego od góry do dołu,... tak, takbym zrobiła! I jeszcze raz powiadam Pani, żeś Pani stare bydlę, Pani i syn Pani i cała familija. Idź precz, Truda! — mój ojciec robił w zbożu, wie Pani, a ja jestem za porządna, aby mi tu Pani...

— Ależ Lapsiuniu, to stoi w książce... dalibóg, niech mi Pani wierzy... to stoi w książce!

— Et, co mi tam, stuliłaby Pani głowę z tą książką! Nie gadałaby Pani lepiej o tej książce...

— Stoffel, leć, przynieś tę twoją książkę,—zawołała matka—i pokaż ją pannie Laps—mój Boże, co też to ja narobiłam!

— Do djabła z waszemi książkami i z waszemi zwierzętami ssąciami! Nic mi Pani nie pokaże w tej książce, rozumie Pani? I jeszcze raz powtarzam Pani, żeś Pani — stare bydlę, i ten bałwan, syn Pani, też i te córunki Pani, co to rosną jak...

Wszyscy powstali, chcąc odejść. Można dużo znieść, ale tego to już za wiele! Pani Krümmelowa odgrażała się, że opowie tę historję mężowi. Pani Zippermanowa postanowiła odwołać się do towarzystwa ubezpieczeń albo do urzędu katastralnego. Pani Stotternowa groziła panem z Prinzengracht, którego to pana niegdyś spowijała, kim zaś groziła pani Mabelowa, nie wiem. Słowem wszystkie postanowiły zająć ludzi tą sprawą i kto

wie, czy nie utrzymałyby się przy groźbie, gdyby dobry duch Petersenów nie zesłał w tej chwili szanownego męża, który u drzwi domu zadzwonił...

...Pani Petersenowa odetchnęła i znajdując, że dobrze uczyniła, chociaż właściwie niema sensu sądzić, że ktoś dobrze uczynił, skoro się tym „kimś” nie jest. Wydaje mi się tylko, że dobrze uczyniła, ponieważ odetchnąłbym i ja na jej miejscu. Po pierwsze dla tego, że według mego obliczenia, musiała jakiś czas siedzieć z zapartym oddechem. Po wtóre dla tego, że wiadomym jest, iż w ciężkiej chwili człowiek spodziewa się pomocy od każdej zmiany, zmiany zaś—od każdej drobnostki. Wreszcie zaś dla tego jeszcze, ponieważ przypuszczam, że pod tym względem pani Petersenowa była podobna do innych ludzi.

— Uspokójcie się, ludzie, uspokójcie się! To pewnie panowie!

„Panie” utrzymywały, że to nie „panowie”— że to na „panów” zawczasie i ta oto niepewność sprowadziła pomyślny zwrot w przesileniu.

Niepewność o bezwładnia bez względu na to, czy jest lub nie jest w związku z rzeczą, która nas chwilowo zajmuje. Nadto, gdy przerwie się człowiekowi wybuch gniewu, trudno mu odnaleźć punkt, na którym się zatrzymał. Panna Laps szu-

kała tego punktu, ale daremnie, bowiem okrzyki jej: „Zwierzę ssące... ja jej dam zwierzę ssące!... ginęły w okrzykach: „Cóż to dla Boga, mój nigdy nie przychodzi przed dziesiątą!...

Pani Petersenowa skorzystała z chwili i potrafiła skłonić panie, aby zajęły znowu miejsca... Zabierała się właśnie do zoologicznego wykładu, którym chciała przywrócić szczery spokój, gdy w tym otworzyły się drzwi i przed zagniewanym jeszcze towarzystwem stanął dyrektor szkółki ludowej, Pennewip.

— Dobry wieczór pani Petersenowej, służa uniżony! Jak widzę, Pani ma gości, ale...

— To nie, dyrektorze! Proszę wejść i usiąść.

Pani Petersenowa pojęła w mig, że ma sposobność odzyskania utraconej przewagi. Stoffel mówił przecież, że to stoi w książce... a cokolwiek stoi w książce, dyrektor musi wiedzieć. A więc:

— Powiedzcie, dyrektorze, zawołała—prawda to, czy nie, że panna Laps jest zwierzęciem ssącym?

Jestem przekonany, że Pennewip zaliczył to pytanie do rzędu „dziwnych zwrotów”. Spojrzał z pod okularów, zwolna powiódł wzrokiem wokół i zauważył szereg wyciągniętych głów, podanych wprzód szyi i otwartych ust. Nikt nie oddychał

Zwłaszcza zaś groźna mina i ruch panny Laps zdawały się mówić: „Odpowiadaj albo giń! Czy jestem zwierzęciem ssącym?”

— Z kim mam przyjemność?—zapytał Penne-wip, ani myśląc o tym, że zapytanie jego czyni kwestję sporną jeszcze bardziej dziwną. W tej chwili bowiem wydawać się mogło, że zwierzęce właściwości panny Laps zależą od jej nazwiska miejsca zamieszkania, wieku, zawodu i stosunków rodzinnych.

— Jestem panna Laps, tu z dołu, z frontu!—odparła zapytana.

— Ach... tak! Panno Laps, Pani należy istotnie do rządu zwierząt ssących!

Odezwało się w towarzystwie dziesięciokrotne westchnienie. Zwycięstwo było po stronie pani Petersenowej.

W polityce i prywatnych domach niema nigdy doskonałej równowagi. Partje i mocarstwa już to wzbijają się, już słabną.

Mocarstwo Laps, przekonawszy się, że gwałtowność do zwycięstwa nie pomaga, postanowiło walczyć uprzejmością.

— Ależ, dyrektorze! Jak dyrektor może powiedzieć coś podobnego. Mój ojciec robił w zbożu...

— Panno Laps, proszę mi odpowiedzieć...

— Owszem, mistrzu, ale..

— Proszę mi odpowiedzieć, panno Laps, gdzie Pani mieszka, albo właściwiej, *w czym* Pani mieszka?

— W czym pani mieszka? No... w moim pokoju, tu, na dole... są podwójne okna... wolne wejście... z prawem do jednej czwartej beczki z deszczówką *).

— Nie o to mi szło, panno Laps. Pytałem, aby się dowiedzieć, czy należy Pani do rządu tych istot organicznych, które przebywają w ostrygo-wej skorupie!

Tak, tak, panno Laps!—zawołała zwycięska gospodyni,—o to idzie, właśnie o to tylko idzie, rozumie Pani?

I Stoffel dodał, że właściwie tylko o to idzie.

Panna Laps pojęła, że jest zgubiona, musiała bowiem przyznać, że jej miejscem zamieszkania nie jest zazwyczaj skorupa ostrygowa.

Patrzała ze zdziwieniem na dyrektora, który jednakże nie pozwolił zbić się z tropu przez wrzenie, jakie czyniło jego przesłuchanie i pytał dalej,

*) Deszczówka była podówczas przedmiotem pożądań wszystkich gospodyń.

a był ton sędziowski w głosie jego i był wyraz sędziowski w jego peruce:

— Czy może Pani żyć w wodzie? Czy ma Pani dychawki?

— W wodzie? Ależ dyrektorze...

Peruka uczyniła zwrot w lewo. To znaczyło żadnych „ale”.

— Albo też po części w wodzie, po części na lądzie?...

— Dyrektorze, jakżebym mogła...

Peruka przesunęła się na prawo: bez wykrętów!

— Niech mi Pani odpowiada, panno Laps! Czy ma Pani zimną krew? Czy rodzi Pani żywe młode?

— To grzech, dyrektorze!

Peruka miała w tej chwili pozór kozła, który gotuje się do skoku. I słusznie. Bo oto zabrzmiało rogate pytanie:

— Czy Pani składa jaja, panno Laps? Tylko o to pytam, o to jedno: czy Pani składa jaja, co? Nie, nie składała jaj.

— W takim razie jest Pani zwierzęciem ssącym, panno Laps!

I peruka znalazła się znowu na środku głowy i spoczęła tu nieruchomie. Świeciła zwycięstwo nad panną Laps.

Chciałbym wiedzieć, jak wyobraża sobie czytelnik to towarzystwo po strasznym wyroku, od którego nie było już odwołania, ponieważ oblicze Pennewipa nosiło znamiona ostatniej instancji. I w ściągniętych brwiach jego nie było ani śladu litości.

Otóż oświadczam, że po orzeczeniu Pennewipa zdumione towarzystwo poprzestało na wykrzykniku: „T...a...k!” Nie pobito się, nie wydrapano sobie oczu, żadnej sobie wogóle nie przyczyniono wzajem szkody...

Rzewna opowieść o ptakach.

(Z dzieła: „PRZYGODY WALTERKA”).



Przyjaciel mój, Ornis, kupił sobie po śmierci żony, w celu pocieszenia się, ptaki. Gdybym chciał mierzyć jego ból po stracie połowicy ilością ptactwa, które miało ją zastąpić, musiałbym powiedzieć, że smutek jego był bardzo wielki, bowiem liczba jego ptaków była wielka. Miał zięby widzące i ślepe zięby. Miał kanarki czarne, zielone i żółte. Miał siedemnaście gatunków gołębi. Miał papugi, kakadu, drozdy, wrony, sroki, kury, kruki, pawie, kaczki, indyki, gęsi, ciecioriki, strusie i inne jeszcze ptaki, dużo innych, za wiele, aby je wszystkie wymieniść, podobnie jak nie sposób wymieniść wszystkich ojczystych morskich bohaterów, których mieszcza holenderskie podręczniki szkolne

Jaką drogą skutecznił ten zbiór, nie wiem, i nie ma to zresztą związku z rzeczą, którą chcę opowiedzieć.

Pewnego dnia Ornis zmuszony był opuścić miasto. Musiał wyjechać na jakiś czas.

— Kochany przyjacielu, rzekł do mnie, chcę powołać się na naszą przyjaźń!

Te „powoływania się” nie mają w moich oczach znaczenia. Są bowiem ludzie, którzy biorą przyjaźń à la lettre i którzy z takich „powoływań się” czynią sobie powołanie.

— Muszę wyjechać, mówił dalej — i nie wiem, co robić...

— No, kup sobie bilet kolejowy!...

— Nie, nie oto idzie. Nie wiem, co począć z moimi ptakami.

— Możebyś je wziął z sobą? zaproponowałem.

— Niepodobna, koszta byłyby za duże. Poza tym Liwi siedzi właśnie na jajach...

Liwi był to młody kanarek, który śpiewał melodję do słów: „Starą panną nie umrę, nie umrę!”

— W takim razie zostaw tu ptaki!

— Widać, żeś nigdy nie był żonaty, to jest właściwie... żeś nigdy nie miał ptaków. Łatwo powiedzieć: „zostaw tu ptaki”! A kto będzie ich doglądał, gdy mnie nie będzie? Kto się nimi zajmie, kto im zagra, kto je nakarmi, kto klatki porządzi?

— Ach, o to idzie! I powoływałeś się na moją przyjaźń...

— Tak, właśnie o to idzie. Chciałem cię prosić, abyś podczas mojej nieobecności objął pieczę nad moimi ptakami.

— Taki jestem zajęty...

— Odłóż robotę! Widzisz, moje ptaki...

— Ojciec mój jest chory.

— Cóż to ma do rzeczy? Moje ptaki...

— Dzieci mają odrę.

— Każ je tylko ciepło trzymać. Moje ptaki..

— Interesa źle idą.

— Żądaj zwłoki w zapłacie. Moje ptaki...

— Ależ miły Ornisie, nie mam pojęcia o ptakach.

— Co?

— Wierz mi, nigdy zajmowałem się ptakami. Nie wiem doprawdy, jak się koło nich chodzi.

— To co innego. Dobrze, żeś mi to powiedział. W takim razie poszukam kogoś, komubym mógł powierzyć moje pieszczołki!

I Ornis dał mi pokój, nareszcie dał mi pokój, ponieważ „nie miałem pojęcia o ptakach.”

Pytam tedy, na jakiej zasadzie pani Peterse-nowa i tylu innych ludzi hoduje sobie dzieci?

Pocziwy Ornis nie dbał ani o chorobę mego ojca, ani o pilne moje zajęcia, ani o chorobę moich dzieci, ani o ciężkie moje materjalne warunki, wszystko to było mu obojętne, póki nie usłyszał, że „nie mam pojęcia o ptakach”! To był motyw. Po tym moim oświadczeniu cofnął prośbę!

Człowiek nie ma pojęcia o ptakach? Więc jakże? Nie może przecież pozwolić, aby zięby były traktowane jak wrony, a drozdy—jak indyki! Czyż może złożyć w moje nieświadome ręce talent Liwi, która potrzebowała zdwojonej troskliwości, raz z powodu swojego śpiewu, po wtóre i dla tego jeszcze, że siedziała na jajach? Czyż mógł narazić uczuciowe turkawki na słuchanie rozpustnych piosenek dzierlatek? Czyż mógł narazić delikatną pliszkę na spożycie resztek podkowy albo starego pantofla, któreby pozostały ze śniadania kazuara? A po rękach, jak moje niezręcznych, można się było spodziewać takiej pomyłki! „O nie! Po stokroć nie! Nie masz pojęcia o ptakach? Więc niegodzien jesteś doglądać ich i mieć pieczę o nich!”

Tak mówił Ornis i oto jeszcze raz pytam: dla czego pani Petersenowa hodowała dzieci?

I gdy obliczę, że liczba istniejących dzieci wynosi około sześciuset milionów...

I że dzieci te „hodowane są” przez trzy czy też cztery miliony ludzi, którzy po największej części nie mają pojęcia... o ptakach...

Natenczas...

Mit i historia. Prawda i kłamstwo. Potrzeba miłości, pragnienie wiedzy—jako główne skłonności jednostki i ludzkości.

(Z dzieła: „PRZYGODY WALTERKA”).



Miłość, wiedza, walka—: *ruch*, oto psychologiczna analiza celu, który pociąga młodzież. Analiza ta objaśnia też niejako dzieje świata, które przywykliśmy nazywać czasami pogrążonemi w mroku, które wszelakoż w pewnym rozumieniu rysują się nam jaśniej, aniżeli tak zwane czasy ściśle historyczne.

Przyjmijmy na chwilę, że nigdzie niema zupełnej prawdy: natenczas będziemy musieli przyznać, że nieraz, analizując myt, znacznie bliżsi jesteśmy prawdy niż wtedy, gdy szukamy jej w rozmyślnych kłamstwach dziejopisów.

A i wtedy, gdy historyk nie ma zamiaru kłamać, wpływy, zmierzające do fałszowania historii, są bardzo liczne. I jest większe prawdopodobieństwo, że przyjmie się wiara w nieprawdy, wysłane

w świat jako „sprawozdanie o zdarzeniach” a mające ton urzędowej relacji woźnego sądowego, niż że zakorzeni się wiara w opowiadania, które nie mają pretensji do dosłownej prawdziwości i przyodziane są w przejrzyste i do rozpoznania łatwe szaty dziecięcej lub poetyckiej twórczości. Po przeczytaniu Phaedra lub Lafontaine’a nikt nie pomyśli, że lisy i kruki istotnie mówią, tymczasem wielu ludzi trwa w złudzeniu, jakoby Wilhelm Milezający był takim prawdziwym ojcem ojczyzny, która nigdy nie była jego ojczyzną. Tak rozumując, znajdziemy więcej prawdy w księdze Genesis, aniżeli w historii, to zaś, co zarówno w historii, jak i w księdze rodzaju skłonniibyśmy byli nazwać kłamstwem, w Genesis o tyle jest usprawiedliwienia godne, że poeta nie mógł przewidzieć, iż wizje jego staną się punktem wyjścia dla pogwałcenia i zniewolenia ludzkości. Nie można zaprawdę winić opowiadającego, jeśli słuchacz w dobrej opowieści nie potrafi wyróżnić rzeczy głównej od podrzędnej, albo, co gorsza, przyjmie jako fakt prostą grę wyobraźni.

Chociaż właściwie takiej prostej gry wyobraźni niema. Poeta, prawdziwy poeta — o wierszokletach nie mówię — zbiera materiały i układa je... podobnie jak budowniczy, który zszukuje materia-

ły, wybiera, zgromadza je i łączy w pewien określony sposób. Poeta i budowniczy nadają *formę* nagromadzonym materiałom, lecz treść ich dzieł — myśl lub przestrzeń — nie były ich własnością. Treść ta od niepamiętnych czasów istniała jako składowa część nieskończonego *Bytu*.

Tak, tak, poezja zawiera zawsze prawdę i nasza to wina, że prawdy tej nie dostrzegamy. W niedowierzaniu okazywanym poezji zdradza się oschła małoduszność; raczej w stosunku do prozy należałoby zachować pewne ostrożności, po niej raczej należy spodziewać się oszustwa. Wierzajcie mi, sługa państwowy, filantrop, statystyk, który w dowodzeniu swoim lub w wykazach liczbowych nie ma miejsca dla okruszyny radości lub bólu, wierzajcie mi, ludzie ci nie zasługują na większą wiarę, niżli pierwszy lepszy, najpowierzchniejszy spostrzegacz. *Uczucie, wyobraźnia i odwaga* są to sprężyny niezbędne w działaniu męża, który chce *wiedzieć*. I dla tego to filozofja i poezja stanowią *jedność*.

Prawda jest w całej swojej prostocie serdeczna, jest pełna obrazów i barw. Kłamstwo jest prostolinijne, odmierzone, trzeźwe.

Oceńmy przez chwilę te względne widoki prawdy, jakie daje nam poezja i grożące nam w prozie widoki kłamstwa.

Psyche zbliża się do śpiącego Amora. Zbliża się ostrożnie, powoli. Jest nieśmiałość w jej krokach, obawa upadku, lęk przed osiągnięciem celu. Lecz oczy jej zadają kłam ruchom; oczy jej przesywają przestrzeń, płomienną wymową przeczą powściągliwości stóp. Światło, które trzyma wysoko w ręce, nie oświetla jej drogi, pada na Amora. Sama posuwa się w mroku. Na przedmiot jej pożądania spływa jasność, która właściwie miała rozświetlić jej drogę. O tym Psyche nie myśli. Jeśli jest na drodze jakaś przeszkoda... potknie się. Jeśli jest przepaść... wpadnie do przepaści. Jest jak niewprawny lecz namiętny żeglarz, co to zdąży wprost do przystani, nie bacząc, czy niema skał, o które rozbić się może tram okrętu, zanim dobieje do przystani...

Jest już blisko, bardzo blisko. I gdy staje przy śpiącym młodzianie, budzi go. Czy wymówiła dźwięcznym głosem jego imię? Czy budzi go pieszczotą? Czy też westchnieniem? Tak, chciała go obudzić, lecz jest głęboka otchłań między jej chceniem a odwagą. Chciała go obudzić... niewątpliwie! Chciała, póki jej gorące pragnienie nie było tak blizkie celu. Ale teraz? Teraz, na myśl o rozkoszy spełnienia, ogarnia ją niemal przestrasz. Miała dość siły, aby się zbliżyć, lecz, aby pozostać,

brak jej mocy. Jest wyczerpana pragnieniem, traci odwagę, którą trzeba mieć, aby osiąść i posiadać, waha się między ucieczką a chęcią pozostania, zmęczona jej ręka drży, drży ręka, która trzymała światło... Ból budzi Amora...

Kłamstwo! powiada filister.

Prawda, prawda!—odpowiadam. Tak jest za prawdę! Tak budzi się *miłość*: budzi ją płomień bólu i pada ten płomień z niedoświadczonych pierwszych tęsknot nieustraszonej duszy.

Czymże, wobec tej prawdy, jest twoja proza, o trzeźwy kupczyku, co to nie wahasz się powiedzieć, że „jedenaście”—to „dziesięć”, albo „siedem”; że „dużo”—to „mało”, albo że „mało”—to „dużo”: zależnie od tego, co w danej chwili wygodniejszym będzie na giełdzie lub w kramiku?

Czymże, wobec tej prawdy, jest *twoja* proza, o statystyku, co to obwieszczasz ogólny dobrobyt, podczas gdy większa część twoich bliźnich ginie z nędzy i troski?...

Czym, wobec tej prawdy, jest twoja prawda, o sługo państwowy, co to mroźnemi pozorami zdajesz się mówić, żeś jest „osobistym centrem ludzkości”...

Czym, wobec tej prawdy, jest wasza prawda, o kapłani, gaduły, mówcy, wy, upusty od mówienia, paplania, dowodzenia, bronienia i paktowania na miarę tyłu a tyłu słów na godzinę, po tyle a tyle groszy za słowo! Wy, skubacze uczuć, handlarze mądrości, co to ją sprzedajecie w małych i dużych zdaniach, na wiadra i na miarę... czym jest wasza prawda wobec tej głębokiej myśli, drzemiącej w baśni, którą wysnuła poezja młodej ludzkości?

Nie rozumiem księgi rodzaju! Lecz byłbym raczej skłonny przyjąć to i owo z dziwnej opowieści o raj, aniżeli wierzyć w owe wielkie zyski, jakie osiągnąć można, wkładając pieniądze do takiego a takiego banku, do takiego a takiego „Towarzystwa eksploatacji,” do takiego a takiego „Towarzystwa ubezpieczeń” i tak dalej. Jest prawda w powieści o Hiobie, o Tobjaszu, o Machabeuszach—a jaki to wspaniały poemat bohaterski!—lecz niema prawdy w mowach, wygłaszanych w naszej Izbie. Podobnie jak księga rodzaju, tak i one nie trzymają się faktów. Lecz różnica polega na tendencji. Starożytni poeci usypiają mimowoli czujność czytelnika i budzą w nim mimowoli błędne pojęcia. Dzisiejsi prozaicy kłamią z wyraźnym celem i tanio kłamią, bo nie opłacają nawet kłam-

stwa tym bolesnym wysiłkiem, jakiego wymaga wielka koncepcja.

Kłamstwo niewiele kosztuje prozaika, najczęściej nic go nie kosztuje, wytwarza je, poprostu milcząc o rzeczy, o której *powinien* był mówić. Każdy członek Izby, który w czasie debatów o powikłanych interesach indyjskich mileczy o sprawie Have-laara, jest kłamcą. Każdy członek Izby holenderskiej, który słowem nie wspomina o rozpaczliwym położeniu ludu, jest kłamcą. Każdy członek Izby holenderskiej, który nie wierzy w chrześcijaństwo, zmartwychwstanie, wieczność, nagrodę zaświatową, łaskę, karę itd., a który bez protestu zgadza się na uchwalenie budżetu, wyznaczającego miliony na popieranie tych właśnie celów, jest kłamcą *)...

...Wskazawszy na oschle urzędowe kłamstwa historii, zwróć się dla kontrastu do tej dziecięcej serdeczności, jaką tchną legiendy z młodzieńczych dni naszego pokolenia. Świadczą one, że dzieckiem, któremu jest na imię „ludzkość” rządziła, podobnie jak Walterkiem, potrójna siła: *potrzeba miłości, wiedzy i walki.*



*) Trzy rozdziały „Myśli” poświęcone są rozbirowi kłamstw historycznych, urzędowych, profesorskich i zawodowych.

Walterek opowiada swojej towarzyszce Femke
bajkę peruwjańską.

(Z dzieła: „PRZYGODY WALTERKA“).



leż, Walterku, czy nie czytasz w domu książek o wierze?

Tak pytała Femke małego swego przyjaciela, gdy ten siadł sobie znowu przy niej na wywróconym koszu od bielizny.

— Owszem, ale są nieładne.

— Nie umiesz czegoś na pamięć?

Walterek wypowiedział wiersz z jakiejś protestanckiej pieśni—wiersz ten wszakże nie znalazł łaski w oczach Femke. Jednakoż oświadczyła, że wypowiedział go pięknie.

— Nic innego nie czytasz?

Walterek namyślał się. Objął pamięcią całą bibliotekę Stoffla: „Utwory stowarzyszenia popierającego poezję”, „Nauka o świecie”, „Traktat o prawie”... „Regulamin straży pożarnej”, „Historja

Józefa przez Hulshoffa"... „Szlechetny Henryk"... „Patryjarcha Jakób wśród swoich dzieci"... „Kazania pastora Hellendoorna"... tegoż „Katechizm"... Rozumiał doskonale, że żadna z tych rzeczy nie przypadnie do smaku Femke. Wreszcie rzekł:

— Znam jedną rzecz, — ale niema w niej mowy o wierze... Bohaterem jest Glorioso...

Femke zgodziła się posłuchać i Walterek zaczął opowiadanie. Najpierw jąkał się, zahaczał się wciąż o nieuniknione w opowiadaniu „więc... tego"... lecz po chwili rozmyślił się w położeniu swego bohatera i opowiadał lepiej niż książka, którą przeczytał. Przy każdym napadzie i uprowadzeniu, przy każdym czynie bohaterskim powstawał z kosa, tak gwałtownie podkreślając ruchami czyny bohatera, że aż się mała Femke bała. Ale jednocześnie sprawiało jej to przyjemność, a gdy wreszcie skończył, serduszko jej biło w takt z jego sercem niekłamany zachwytem nad wszystkimi temi pięknymi rzeczami, które on z zapalem opowiedział, a których ona słuchała. Policzki ich pały i gdyby w tej chwili było pod ręką jakieś czółno, którym popłynąćby można do Włoch, nie wątpię, że Femke usiadłaby bez namysłu, byleby doświadczyć tylu przygód, tylu niebezpieczeństw i tyle... gry miłosnej. A z opowiadania Walterka wy-

nikało nadto, że taki bandyta włoski nie ma żadnych wątpliwości w rzeczach wiary — i bardzo się to podobało małej Femke...

— Może jeszcze coś umiesz?

— Umieć — odrzekł Walterek, nabrawszy już pędu. To było w małej książeczce, w Almanachu, jeśli się nie mylę.

I opowiadał:

— Wiesz, Femke, był raz w pewnym wielkim kraju król, który nazywał się *Inca*. Wszyscy królowie tego kraju nazywali się *Inca*...

— Tak jak u nas Orańscy...

— Tak jak u nas Orańscy... Ale tam w Peru — bo kraj nazywał się Peru — królowie zeszedli na ziemię ze słońca i wracali do słońca, gdy umierali. I nie wolno im było żenić się z dziewczynką, któraby nie pochodziła od słońca. To było takie prawo w Peru...

— Czy tak było naprawdę Walterku?

— Tak było w książce, Femke. No, i był raz król, który miał troje dzieci, córkę i dwóch synów. Synowie nazywali się *Telasco* i *Kusco*, ale jak się nazywała córka, zapomniałem.

— Wszystko jedno — niech się nazywa *Marja*.

— Zdaje mi się, że nie jest to imię peruwjańskie. Może *Ludwika*, albo... *Ema*? Albo może wolisz, żeby się nazywała *Femke*.

— Nie, niech już się lepiej nazywa *Ema*, bo gdyby była *Femke*, nie wiedziałabym, czy o mnie mówisz, czy też o tej królownie.

— A więc *Ema*. *Ema* w całym Peru była jedynym dzieckiem słońca. I nikt nie wiedział, kto po śmierci króla zostanie Inca, gdyż *Telasco* i *Kusco* przyszli na świat jednocześnie. Czy to się czasem zdarza?

— Pewnie—to są bliźnięta. Jedna nasza kuzynka miała odrazu troje... owszem to bywa!

— Więc... tego—*Telasco* i *Kusco* byli bliźniętami i król nie wiedział, kto po nim nastąpi. Obu jednakowo lubił, a i lud Peru byłby chciał, aby obaj zostali królami. Lecz to było niemożliwe, ponieważ prawo mówiło, że może być zawsze tylko jeden Inca. Więc król zwołał wszystkich kapłanów na wysoką górę, aby być bliżej słońca... bo to słońce miało oznaczyć, kto będzie królem.

— Ależ to niemożliwe, *Walterku*!

— Tak było w książce, *Femke*. A działo się to dawno, już bardzo dawno. Peru to taki kraj z dawnych czasów, wiesz!

Na rozkaz króla kapłani wzniesli dwa wielkie stosy drzewa i ułożyli na nich mnóstwo wieńców. Lecz drzewa nie zapalili, bo to miało uczynić samo słońce.

— Takim szkłem palącym—można!

— Nie, bez szkła palącego, bo Peruwjanie nie mieli takiego szkła. A wogóle szło im o to, aby dowiedzieć się o woli słońca. Na jednym stosie ułożono wieńce w ten sposób, że tworzyły jakby literę T., co oznaczało *Telasco*. Na drugim—napisano K., w kwiatach rozumie się. K. znaczyło *Kusco*. Wtedy król padł na kolana, i wszyscy kapłani też, i zaśpiewali modlitwę do słońca.

— To bardzo brzydko, *Walterku*! Powinno się klękać tylko przed świętymi. I ta modlitwa też jest brzydka... to jest bałwochwalstwo.

— Z pewnością, to też w książce powiedziane jest, że w Peru ludzie byli bałwochwalcami. Ale, widzisz, *Femke*, tak to powinnaś brać... to było dawno i był to inny lud... zupełnie inny, rozumiesz? Weź na przykład: we Francji ojca nazywają *père*... widzisz więc, że każdy naród ma swoje obyczaje...

To przekonało *Femke*: kiwnęła główką.

— Zaśpiewali modlitwę do słońca. *Telasco*, *Kusco* i *Ema* także śpiewali, bo byli jeszcze bardziej ciekawi od innych, rozumiesz, bo jeśli się się stos *Kusco*'a najpierw zapalił, *Kusco* zostałby królem, a *Telasco* byłby tylko królewiczem. A gdyby się zapalił stos *Telasco*'a, on zostałby królem, nie zaś *Kusco*. A dla *Emy* było to również waż-

ne... bo miała obchodzić wesele z nowym królem. Chciała więc wiedzieć, kto nim będzie.

— Jakże to... przecież to byli jej bracia?

— Tak. Ale inaczej być nie mogło, ponieważ ona była jedynym dzieckiem słońca. Mieszkali przecież w Peru, tam jest inaczej niż u nas...

— Tak, to prawda, rzekła Femke, bojąc się, że zbyt nia niewiara pozbawi ją opowiadania. To niby tak, jak Glorioso i Hrabina. Tego u nas nie ma... to zdarza się tylko w dalekich krajach.

— Tak... albo za dawnych czasów. Więc po długich modlitwach słońce nie zapaliło żadnego ze stosów...

— Co?—zawołała zdziwiona dziewczynka, bo-wiem po tylu dziwnych rzeczach spodziewała się rzeczy jeszcze dziwniejszych.

— Nie, słońce nie zapaliło stosu, lecz zawołało do króla i ludu peruwjańskiego, aby Ema *wybrała* jednego z braci. Ten, którego najbardziej kochała, miał zostać królem.

— Więc prędko się skończyło, pomyślała sobie Femke i powiedziała to.

— Właśnie, że nie, Ema nie chciała wybierać. Słońce dało jej miesiąc czasu do namysłu. Myślała, namyślała się i nie mogła powziąć postanowienia. Albo też jeśli przez chwilę zdawało jej

się, że jednego z braci więcej kocha, nie chciała wyznać tego, bo drugiego za nadto kochała, aby mu sprawić przykrość, bo wiedziała, że kochają ją obaj, i że, gdy jednego wybierze, drugi wybierze sobie śmierć. Zapytała o radę Telasco'a. Poradził jej, aby wybrała Kusco'a...

— Co?—zawołała Femke. Zdawało jej się, że źle zrozumiwała.

— Działo się to w Peru... i to bardzo dawno. A potem błagała Kusco'a, aby powiedział jej, co ma uczynić. Kusco zapewniał ją, że Telasco uszczęśliwi ją i że jego wybrać powinna. I uważał też, że Telasco bardziej od niego zasługuje na to, aby zostać królem.

Tak więc bracia nie dali Emie pociechy. I kapłani też nie. I król też nie, bo w żaden sposób nie chciał radzić, mówiąc, że to rzecz słońca i że mieszać mu się w nią nie wolno. Ema nie miała pojęcia, co czynić. Wiedziała, jak bardzo ją kochał Kusco. Słyszała, jak wieczorem śpiewał w lesie piosenkę, w której powiadał, że bez niej żyć nie może. Rzuciła mu się na szyję i usiadła przy nim na ławeczce darniowej i rzekła: kochany Kusco... i oparła główkę na jego ramieniu i poczęła gorzko płakać, bo go tak bardzo kochała. Jest przy tym obrazek, Femke!

— Czy nie mógłbyś kiedyś przynieść tej książki?—zapytała dziewczynka. Chciała bardzo zobaczyć ten obrazek.

— Nie mogę, to książka Stoffla, a powiedział mi, żebym nie wyjmował książek z jego szafy. To jest jego biblioteka, wiesz, że to on jest nauczycielem szkolnym. Więc... tego płakała z miłości. I Kusco też... czy to może być?...

— E, skąd znowu?

— A jednak tak było w książce. Ale słuchaj dalej:

Kiedy tak siedzieli, nadszedł Telasco. Przez chwilę już stał—tylko przez chwilę był ukryty—i nagle ukazał się. Padł na kolana przed bratem i rzekł: „Chwała Ci, o Inca ziemi Peru, ciebie wybrała córka słońca!” I pochylił głowę do ziemi i chciał oprzeć stopę brata na swoim karku. To oznaczało w Peru uczucia poddańcze. Lecz Ema i Kusco spieszenie powstali i oboje zawołali jednocześnie, że się Telasco pomylił. „Ciebie kocha, bracie—rzekł Kusco, o tobie myśli, o tobie śni, ciebie kocha, o Telasco! Tyś jest królem jej serca, a więc i królem Peru!”

Telasco drżał. Bo zanadto kochał brata i nie mógł chcieć, aby to było prawdą. Z niedowierzaniem spojrzął na Emę i jeszcze cięższa przyszła

na niego chwila, bo Ema oto *jemu* rzuciła się na szyję i całowała go serdecznie i kazała mu sięść przy sobie na ławeczce. Lecz obejmując z jednej strony Telasco'a, drugą ręką przyciągała do siebie rękę Kusco'a i... i tak siedziała, w pośrodku między obu braćmi. I całując Telasco'a, wdychała: „kochany Kusco!”, a pieszcząc Kusco'a szeptała imię Telasco'a... ach, Femke, tak jej było ciężko!...

— Tak, westchnęła Femke, ciężko!

— A gdy Telasco zdawał się dostrzegać, że jest odrobinę serdeczniejsza wobec Kusco'a, mówił jej: „Wybierz, Emo—w nadziei, że uszczęśliwi Kusco'a. Lecz nie śmiał nalegać, aby ostatecznie postanowiła, gdy mu się wydawało, że jego wybierze. Bo własny ból mógł przenieść, lecz przerażała go rozpacz brata.

Kusco zaś wołał za każdym razem, gdy Ema zwracała się Telasco'a: „Wybierz Emo!”, lecz milczał, gdy główka Emy na jego spoczywała ramieniu. Nie bał się śmierci, bo chciał umrzeć, Femke, jeśli nie chciał żyć z *nią*—ale trapił się bólem Telasco'a, bo wiedział, że będzie cierpiał Telasco, gdy będzie musiał obraz Emy zatrzeć w swoim sercu. Rozumiesz to wszystko, Femke? Nie wiem, czy ci to dobrze opowiadam, ale tak było w książce.

— Rozumiem doskonale, odparła Femke. — Byli bliźniętami, widzisz, to dla tego.

Walterek był bardzo rad, że Femke rozumiała rozdźwięk w sercu Emy zarówno jak i szlachetność obu braci. Gdyby musiał jej wszystko to tłumaczyć, byłby zupełnie bezradny. Prędkie wszakże rozumienie, jakie okazała Femke, utwierdziło go w upodobaniu dla tej peruwjańskiej bajki, i w tej chwili wydała mu się piękniejszą, niż kiedykolwiek. Sprawilo to, że stał się jeszcze wymowniejszy. Uważał teraz za rzecz honoru, aby podtrzymać dobre mniemanie małej Femke i, przechodząc mimowoli z tonu epicznego w ton dramatyczny, wprowadził przed Femke osoby mówiące. Była quousque tandem rzewność w jego głosie, gdy powtarzał słowa Telasco'a:

„Córko słońca, wybieraj! Kocha cię Kusco, brat mój, szlachetny Kusco! Czyliż zwinniejszym od niego jest jelen w górach, jest-li myśliwy pewniejszy strzału wśród walecznych ziemi Peru — bohater bardziej szybki, pewny i waleczny?”

„Córko słońca, wybieraj! Kocha cię Kusco, brat mój, szlachetny Kusco. Patrz, oto nadszedłem znienacka, gdy spał, i słyszałem, jak we śnie twoje szeptał imię. Wyciągnął ramiona, jak gdyby ciebie szukały, mocno przycisnął cię do serca

i jak do pocałunku układały się wargi jego. Córko słońca, wybieraj i wybierz szlachetnego Kusco'a!”

„Nie tak!” odpowie Kusco. I ja śledziłem Telasco'a, tę najwynioślejszą latorośl królów. Sztucznymi węzłami wypisał imię twoje, o córko słońca, w pasie swoim i głośno wzywając twego imienia zwalczał wrogów Peru. Uciekli na dźwięk tego imienia, jak gdyby zbawcze Słońce samo na ziemię zstąpiło, aby wytępić tych, co byli zdradzieckimi przeciwnikami jego dzieci. Telasco'a wybierz, walecznego Telasco'a wybierz... o wyniosła córko światła!...”

„Kusco pośpieszył mi na pomoc w walce. Gdyby nie on, jużbym nie żył. On to zdobywał nagrody na wszystkich igrzyskach młodzieży tego kraju. Ścierał się, walczył i zwyciężał w twoim imieniu!”

„Telasco dla mnie zrzekał się zwycięstwa. Zabił dumę swoją w twoim imieniu!”...

„Kusco opiewał cię we wspaniałych pieśniach...”

„Telasco w boskie melodje ujął słowa moje...”

„Rozważ, że Kusco umrze, jeśli jego, jego jednego kochać nie będziesz nadewszystko.”

„Mniemasz-że, iż żyłby Telasco bez twojej miłości?”

Wreszcie przemówiła dziewczyna:

„Kocham cię, Telasco, i ciebie, Kusco, kocham. Nie mogę wybierać, jak prawdą jest, że światła jestem córką. Drży moja ręka pod twoim dotknięciem, o Kusco, lecz tak samo drży, gdy, o Telasco, twojej dłoni czuję dotknięcie. Truchleje mi serce wśród niebezpieczeństw wojny, gdy wiem, że obaj walczyście w pierwszych szeregach dzieci słońca i nie mogłabym powiedzieć strzale: *tego ugodź*, gdyby skazano mnie na karę znaczenia jej drogi.

„Gdy słucham twojego śpiewu, o Kusco, czuję cały ból i całą rozkosz miłości; zda się, nieskończony, aliści wszechwładny płomień goreje w mym sercu, gdy wehłaniam boskie tony twoich do słów Kusco'a śpiewanych melodji! Dusza moja żyje, karmiąc się waszym, was obu, bytem. Imię jednego i drugiego przypomina mi głos turkawki w zarosłach, przynosi mi powiew i burza. Imię jednego i drugiego czytam w słodkich znakach na powierzchni morza, w migotaniu barw na płatkach kwiatowych — wypisuje mi imiona wasze płomienne pismo słońca, które jest nieskalanym źródłem naszego bytu. I słuchaj, Telasco: gdy klękam obok króla, aby dospołu z wszystkimi dziećmi Peru prosić o błogosławieństwo dla kraju, modlitwa moja

jest westchnieniem, westchnienie zaś twoim imieniem! I patrz, Kusco, gdy dziękczynienia za błogosławieństwa, któremi Źródło Światła darzy promienną ziemię Peru, składam, natenczas, ja, córka królewska, *jednym* dziękuję słowem: Kusco!

„Dla tego, szlachetni bracia, zdejmijcie ze mnie brzemię wyboru. *Nie mogę... nie mogę wybierać!*”

Tak rzekła córka słońca.

Lecz Telasco odparł:

„Słońce przemówiło i rozkazało, abys wybrała *Aztalpa!*...”

— Jak? Przecież „Ema” było jej na imię!

— Nie, *Aztalpa*, zawołał Walterek, któremu zapal przywracał pamięć, — nazywała się *Aztalpa!*

Telasco rzekł:

„Słońce rozkazało, abys wybrała! Mogłabyś nie usłuchać rozkazu słońca?”

„Pozwól mi umrzeć, Telasco!”

„Nie, to ja umrę, to ja! — zawołał obaj bracia jednocześnie.

„Wy postanówcie, którego z was mam wybrać: będe posłuszną!”

— Telasco'a wybierz! — zawołał Kusco.

— Wybierz Kusco'a! — zawołał Telasco.

Lecz dziewczyna nie mogła słuchać obu poleceń, a bała się nieposłuszną być jednemu z nich.

Telasco zamyslił się.

— Wiem już, wiem, zawołał. — Posłuchaj, Aztalpo i ty, Kusco, posłuchajcie, co wam powiem. Bóg zesłał mi natchnienie. Czyż nie są błękitne pióra twoich strzał, mój bracie? Czyż moje nie są czerwone? Posłuchaj! Jutro, zanim wyjrzy słońce, wyjdziemy obaj na miejsce łowów. Staniemy w zaroślach... ty na sto kroków od drzewa, na którym obaj wycięliśmy imię Aztalpy,—ja na sto kroków od tegoż drzewa po drugiej stronie. Stamtąd widzieć będziemy wzgórze, po którym uciekają zwierzęta płoszone przez towarzyszy łowów. Obaj weźmiemy na cel pierwszą łanię, jaka wymknie się z lasu. Jeśli pióra strzały, która ją śmiertelnie ugodzi, będą czerwone, żądam, aby *mnie* wybrała Aztalpa. Jeśli twoja strzała, Kusco, zabije łanię... jeśli ugodzona łania twoją nieś będzie barwę...

Obaj bracia zakryli twarz rękami, jak gdyby przerażeni widokiem, jakim miał się skończyć straszliwy, przez Telasco'a nakreślony, turniej.

— Przyjmuję—zawołał nagle Kusco,—tak, Telasco, przyjmuję. Zaprawdę, bogowie oświecili serce twoje. Zgadzam się, przystaję... *mnie* wybierz, jeśli pióra będą błękitne. O, zgódź się, Aztalpo, rzeknij, że przyjmiesz wyrok turnieju!

— Przysięgnij nam ważną przysięgą, Aztalpo! błagał drugi brat.

I dziewczyna przysięgła, wzywając świętego słońca, aby pokierowało jej sercem wedle barwy piór strzały, która dnia następnego ugodzi w pierwszą wypływającą z lasu łanię.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, przy pierwszym brzasku dnia usłyszał Telasco okrzyki, dźwięk trąb i kotłów, któremi towarzysze łowów naganiali zwierzynę. I oto, wprost, naprzeciw niego leżało małe wzgórze, na które zazwyczaj wybiegała zwierzyna, gdy rozlegały się w kniei trwożące ją, złowróżbne głosy. *Tak* nie zwykł był polować Telasco. *Tak* zbyt łatwą byłaby zdobycz i takie łowy wydały mu się niemal zdradą. Lecz i teraz w ten sposób nie polował, bo oto kołczan spoczywał przy nim, ręka zaś, która miała naciągnąć cięciwę, podierała głowę.

Poczym zwolna ujął czerwonopiórą strzałę, i zwolna ujął lewą ręką łuk, aby gotowym być do chybionego strzału, gdy ukaże się pierwsza łania. „Może uważny Kusco policzył moje strzały, gdy wyruszaaliśmy razem nocą!” Tak pomyślał, dbał więc, aby brakło jednej strzały.

Krzyk szedł bliżej... Już... już.

Wtym wypadł z kniei jeleń o wysokich rogach... dzikie bawoły... dzikie świnie... wdzięczne gazele... Boże, Boże—łanię!—oto i łania! Wystraszona zwierzę przystało, chrapiąc, na wzgórze i godziły w nie dwie celne strzały obu strzelców... nie, ochroniła je tym razem szlachetność obu.

Telasco bowiem strzelił w powietrze i szedł spojrzeniem za strzałą, ale zamknął oczy na myśl, że ta sama strzała przeszła mu serce.

A i Kusco nie zabił łani. Ukrył swoją strzałę w ziemi i nakrył ją ziemią i zdało mu się, że sam sobie usypał mogiłę.

Lecz obaj ze zdziwieniem patrzyli na łanię, której nikt uciekać nie przeszkadzał.

— Oszukałeś mnie Telasco! nie strzeliłeś! zawołał Kusco, wyskoczywszy.

— Strzelałem bracie! Lecz to ty zawiodłeś mnie. Umyślnie chybiłeś—wołał Telasco, biegnąc na spotkanie brata.

— Przysięgam, że nie chybiłem umyślnie, Telasco!

I zasmuceni wrócili obaj do domu i opowiedzieli Aztalpie, co się stało. Oskarżali się wzajemnie o oszustwo.

Tym razem promień światła padł w duszę Kusco'a. Rzekł:

— Jeszcze raz staniemy o świecie w zaroślach. Jeszcze raz towarzysze łowów spędzą zwierzynę na wzgórze. I znowu barwa strzały, która zabije łanię, określi wybór Aztalpy—lecz przysięgnij mi, Telasco, że strzelisz tym razem!

— Strzele! Ty, zaś, przysięgnij mi, że trafisz!

— Trafie!

— Będziesz strzelał, jak strzela dobry myśliwy z zamiarem trafienia i zabicia? I naprawdę weźmiesz na cel pierwszą łanię? Naprawdę? Przysięgasz?

— Tak, tak, przysięgam! A ty Telasco?

— Kusco, przysięgam ci!

Nazajutrz, podobnie jak poprzedniego dnia, obaj bracia zjawili się na placówce. Obaj byli łowcami chciwie czatującymi na zwierzynę. I rychło lewa ręka chwyciła łuk, a dwa palce prawej ręki oparły strzałę o naciągniętą cięciwę. Oko i strzała godziły po przez palce w wyręb kniei. O, zginie tym razem łania, zanim dobiegnie wzgórze! Nagle, sapiąc, wypadł z gąszczu piźmowiec... i znów dziki... jelenie... bawoły... łania...

Biedne zwierzę padło śmiertelnie ugodzone...

— Pokłon tobie, królu Peru!

Tak jednocześnie zawołali Telasco i Kusco, spiesznie wychodząc z zarośla.

— Wygrałeś Kusco!... to twoja strzała!

— Twoja, Telasco!... ręka mi drżała, gdy strzelałem, nie trafiłem!

— Oko moje mgłą zaszło, gdy celowałem!

— Chwała ci, królu Peru, chwała ci, Telasco! Ciebie kocha Aztalpa!

— Chwała ci, królu Peru, chwała ci, Kusco, ulubieńcze słońca!

— To ty, bracie!

— Ty!

— Zapewniam cię, że moja strzała...

— Nie moja...

— Chodźmy więc na wzgórze!

Tak zawołali jednocześnie. I razem pośpieszyli na miejsce, gdzie padła łania.

— Widzę twoją barwę!... zawołał Kusco wśród drogi.

— To niemożliwe bracie!... pióro jest błękitne!... I musi być błękitne, gdyż...

— Musi być czerwone, gdyż...

Dwie strzały przeszły były serce łani. Obaj bracia trafili, lecz obaj strzelali wymienionymi barwami.

Bowiem w nocy Kusco skradł się był jak złoczyńca do mieszkania Telasco'a i wyjął był czerwonopiórą strzałę z kołczana brata. I kradzież ta nie była do spełnienia trudną, jako że puste było łoże Telasco'a. Nikt nie strzegł broni, którą nie chciał zwyciężyć. Gdzie był płochy Telasco w chwili, gdy ograbiał go Kusco? Telasco wkradł się do mieszkania Kusco'a, aby zabrać błękitnopiórą strzałę, która miała uczynić Kusco'a wybranym Aztalpy i królem Peru. Rozumiesz Femke?

— Tak... ale...

— Pamiętaj o tym, że działo się to w dalekich od nas krajach i za dawnych czasów. Słuchaj dalej. Obaj bracia bardzo się zasmucili i Aztalpa również. Nie wiedziała, co czynić i modliła się do słońca. Lecz słońce wciąż jeszcze dawało odpowiedź: *musisz wybierać!*...

— Czy słońce odpowiadało za każdym razem, gdy je proszono o radę?

— Za każdym razem. Tak powiedziano jest w książce... to daleko od nas... wiesz. A więc Aztalpa musiała wybrać. Nie było rady. A jednak wybierać nie chciała; powtarzała wciąż, że raczej umrzeć woli. I znowu padło światło na duszę Telasco'a i rzekł:

„Wspaniała córko słońca, niechaj się stanie jako rzekłaś. Nie chcesz wybierać, Aztalpo, — umrzesz zatem!

— Boże mój! — zawołała Femke.

— Cicho, Femke, uważaj dalej! Telasco miał inne zamiary, zobaczysz... Powiedział, że Aztalpa musi umrzeć, a ponieważ rozumiał, iż Aztalpa nie uwierzy, aby tak myślał rzeczywiście, tłumaczył jej, dla czego umrzeć musi:

„Musisz umrzeć, Aztalpo! Z twojego powodu powstałyby niesnaski w ziemi Peru. Ktokolwiek miłuje Kusco'a, pragnie, abyś mnie wybrała, wie bowiem, jak zmartwiłby się Kusco, gdybyś mną wzgardziła. A kto mnie kocha, żąda, abyś bratu mojemu oddała rękę, pojmujesz bowiem, jakby bolało mnie szczęście kupione za cenę rozpaczy. Musisz umrzeć Aztalpo! Niechaj nie będzie wojna domowa owocem rozdzwięku twego serca! Po śmierci twojej, gdy połączysz się ze źródłem twego bytu, nie będzie rozłamu w chmurach ofiarnych, które ci miłość naszą poniosą, ani dwóch różnych tonów w śpiewach ludu peruwjańskiego. Jednogłośnie wzniosą się nasze modły i nie będzie rozdzwięku w pieśniach, na cześć twoją śpiewanych. Tam... tam... Aztalpo, nam obu jednako będziesz blizką! Stamtąd obdzielisz nas porówni niezmiernym bo-

gactwem swojej opieki. Szumem palm odpowiesz bratu memu, ja zaś słuchać będę głosu twego w muzyce morza. Jemu i mnie ukazesz się we śnie... i nie opadnie mi bezwładnie ręka na myśl o osamotnieniu Kusco'a, ani on się nie zasmuci myślą, że szczęście jego duszę mi rozdziera. Miłości takiej, jak twoja, Aztalpo, potrzebna jest wszechmoc. Bądź wszechmocną, — możesz, musisz nią być! Taką jest wola słońca, które wiedziało, że nie wybierzesz ani mnie, ani Kusco'a, jeno śmierć i ducha wywyższenie — bowiem za małe jest serce ludzkie, by tyle pomieścić uczucia! Umrzyj zatem, Aztalpo, umrzyj i wznies się ku światłu! W sercu twoim niema miejsca dla nas obu, lecz stanie dla nas obu miejsca na grobie twoim, gdy wzlecisz ku niebiosom...”

Tak rzekł Telasco. Kusco zaś milczał.

A Aztalpa przemówiła...

„Bracia moi, gotowam!”

I wkrótce potym w lesie, na górze, kędy słońcu składano ofiary, zebrali się kapłani wraz z królem. I zebrało się mnogo luda, by ujrzeć dym, w którym unieść się miała Aztalpa. Po śmierci bowiem miano ją spalić.

— Wiesz, Femke, że dym wznosi się zawsze w górę. To dla tego, że uchodzi do nieba, wiesz?

— Rozumie się, — odparła Femke z taką siłą przekonania, jak gdyby sama była Velledą. Zapomniała o różańcu i książce do nabożeństwa, sprzeniewierzyła się wszystkim swoim świętym.

— Boże mój!—Walterku! jakże mi strasznie żal. Czy doprawdy Aztalpa musiała umierać? To było okrutne ze strony Telasco'a...

— A cóżbyś ty była uczyniła, Femke?

— Jabym... jabym... doprawdy, że nie wiem, Walterku!

— Widzisz więc, sprawa była ciężka. I Aztalpa stanęła między obu braćmi. Była biało ubrana, i biała zasłona pokrywała jej lica. Lud zaśpiewał smutną pieśń. Klęknięto. I Aztalpa ucałowała ojca swego, pozdrowiła tłum i zawołała: „Gotowam! Bracia prowadźcie mnie!”

Podążyła im dłonie i śmiało poczęła iść ku stosowi. Kusco szedł z pochyloną głową i chwiał się jego kroki. Natomiast Telasco był, zda się, pełen otuchy...—O, Femke, wiedział, że nie umrze Aztalpa!

Femke aż odetchnęła. Z otwartymi ustami patrzyła na Walterka, jak gdyby ze wszystkiej mocy siliła się rozwikłać straszliwą zagadkę.

— Nie, nie było jej sądzono umrzeć i jestem pewny, że wiedział o tym Telasco. Ujął poświę-

cony sztylet, prosząc, aby mu Aztalpa przebaczyła. Kusco stał, zakrywając twarz dłońmi... Aztalpa skrzyżowała ręce na piersiach... pochyliła głowę...

I w tym nagle padła na kolana:

— O, Telasco, bracie, poczekaj chwilę! Proszę-ć, niech z ręki Kusco'a śmierć odbiorę!”

Telasco precz odrzucił sztylet i zawołał:

„Błogosławione niech będzie słońce! Wybrała. Ludu Peru, oto twój Inca! Bądź zdrowa, Aztalpo!”

Poczym wszyscy Peruwjańczycy pochylili głowy przed nowym królem

Lecz gdy ten ją oglądać się za bratem, okazało się, że Telasco znikł. I nigdy go już nie zobaczono.

— Nieprawda, że to piękne, Femke?

— Wiesz, Walterku, gdyby Aztalpa była wiedziała, że Telasco w ten sposób wytłumaczy jej próbę, byłaby milczała. Historyjka jest śliczna! Chciałabym wiedzieć, czy coś podobnego może się zdarzyć naprawdę?

— Daleko od nas i za dawnych, dawnych czasów, Femke. W każdym razie tak było w książce. Ale teraz muszę już wracać, bo nie mam ani grosza dla stróża, gdybym wrócił po ósmej. Ach, Femke, takbym chciał już skończyć ten mój wiersz!...

— Skończysz, zobaczysz! Telasco też miał ciężkie zadanie, a dokonał go! Myśl tylko o nim!

— Nie, wolę myśleć o królownie... Dobranoc, Femke!...

Pocałunek, jaki otrzymał Walterek dorównywał serdecznością piękności opowiadania. I marząc o Aztalpie, chłopczyk wędrował do domu. Księżyc jasno przyświecał i żał mu było, że nie został dłużym u Femke. Wmawiał sobie, że przy świetle księżycy byłby opowiadał jeszcze lepiej. Ale nie miał grosza przy duszy i trzeba było wracać.



Słowo wstępne.

	<i>Str.</i>
Przemowa Havelaara do naczelników prowincji	
Lebak	35
Batavus Droogstoppel i poglądy jego na poezję	47
Batavus Droogstoppel spotyka starego znajomego	61
List i rozmowa	77
Do Tiny	101
Do Fancy	107
Ewang. Mat. XIX	111
Bajka o kamieniarzu japońskim	119
Do Fancy—dziesięć historji o autorytecie	125
Rozmowa z Japończykami	147
Saidjah i Adinda	175
Parabole: O dobrej woli, Impresarjo, Pygmeusz, Moralność dźwięków, Sokrates, Nędzarka, Życie na wyżynach	215
Bajka	239
Przyjęcie u pani Petersenowej	249
Rzewna opowieść o ptakach	265
Mit i historja. Prawda i kłamstwo i t. d.	273
Bajka peruwjańska	283

KSIĘGARNIA

ANTYKWARIAT

DOM
KSIĄZKI
DOM

90

947240 E
XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

Miejska Biblioteka Publiczna
w Kolnie



0017825